

SERIA KRYMINALNA O LILY BARD

Autorka
bestsellerowej serii o Sookie Stackhouse

Charlaine HARRIS

CZYSTA JAK ŁZA

Wszyscy wiedzą, że Lily sprzątała mieszkanie Pardona
Wielu sądzi, że sprzątnęła także jego.

CHARLAINE HARRIS

**CZYSTA
JAK ŁZA**

TŁUMACZENIE
RAFAŁ ŚMIETANA

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2011

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

*Dla wszystkich moich znajomych – pensjonariuszy Izby Tortur doktora
Thana, zwłaszcza Marthy, Johna i Wayne'a.*

ROZDZIAŁ 1

Zebrałam się w sobie. Bosymi stopami zapałam się na drewnianej podłodze i gotowa do ataku napięłam mięśnie ud. Zrobiłam wykrok lewą nogą i obracając się, uniosłam prawą nogę zgiętą w kolanie. Gwałtownie wystrzeliłam stopę do przodu i natychmiast cofnęłam. Czarny worek treningowy marki Everlast zakołysał się na łańcuchu.

Stałam na prawej nodze. Lekko obróciłam się na niej, tym razem mając worek przed sobą. Lewą nogą wykonałam dłuższe, silniejsze kopnięcie, zwane *mae geri*. Kopałam na przemian to lewą, to prawą nogą, z przodu i z boku, wykonywałam obroty, ćwicząc słabsze uderzenia piętą. Oddychałam coraz głębiej, lecz ani na chwilę nie wypadłam z rytmu: kopnięcie – wydech, powrót – wdech.

Worek zatańczył na łańcuchu, huśtając się tam i z powrotem, co wymagało ode mnie coraz większego skupienia, by kolejny cios trafił równie precyzyjnie. Zaczęłam czuć zmęczenie.

Na koniec silniejszą prawą nogą wyprowadziłam potężne kopnięcie, uchyliłam się przed powracającym workiem i wykonałam *seiken*. Wyprostowaną ręką trafiłam w cel.

Skończyłam ćwiczenie. Automatycznie się ukloniłam, zupełnie jakbym miała żywego sparring-partnera, i pokręciłam głowę, zdeglustowana własną głupotą. Sięgnęłam po ręcznik wiszący na specjalnym haczyku przy kłamce do drzwi. Poklepując się po policzkach, zastanawiałam się, czy trening wystarczająco mnie zmęczył. Ciekawe, czy gdybym teraz wzięła prysznic i wskoczyła do łóżka, zasnąłabym od razu? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję.

Umyłam włosy, namydliłam i spłukałam całe ciało. Po pięciu minutach byłam gotowa. Wytarłam się, a potem wmasowałam we włosy piankę. Stanęłam przed lustrem i za pomocą palców oraz szczotki trochę nastroszyłam fryzurę. Owinęłam się ręcznikiem, żeby nie patrzeć na siebie w lustrze.

Teraz noszę krótkie jasnoblonde włosy. Jedną z nielicznych ekstrawagancji, na jakie sobie pozwalam, to farbowanie, ondulacja i strzyżenie w Terra Ann, najmodniejszym salonie fryzjerskim w Shakespeare. Niektórzy z moich pracodawców też się tam cheszą – zdarza im się zapomnieć języka w gębie, gdy mnie widzą.

Większość ludzi korzystających z siłowni uważa, że nie może się obejść bez głębokiej opalenizny, ale ja jestem blada. Dzięki temu blizny nie są aż tak widoczne. Ale nie lubię nadmiaru włosów – wyrywam każdą nierówną brew, nogi i pachy golę na gładko.

Kiedyś, wiele lat temu, wydawało mi się, że jestem ładna. Jak to zwykle bywa, rywalizowałam pod tym względem z moją siostrą Vareną i pamiętam, że stwierdziłam, iż moje oczy są większe, w odcieniu jaśniejszego błękitu niż jej, nos prostszy i cieńszy, a usta pełniejsze. Z kolei jej podbródek wypadł lepiej – był bardziej kształtny i zdeterminowany.

Mój jest zaokrąglony. Nie widziałam jej od trzech lat. Chyba jednak jest ładniejsza ode mnie. Choć twarz mi się nie zmieniła, zmienił się mój umysł. Stan umysłu odbija się na twarzy i zmienia ją. Czasami bywają takie poranki – przychodzą po naprawdę złych nocach – zaglądam w lustro i nie poznaję kobiety, którą w nim widzę. Tym razem zanosilo się na jedną z naprawdę złych nocy (choć nie miałam pojęcia, jak bardzo złych). Ale czułam, że nie ma sensu się kłaść. Wprost paliłam się do wyjścia. Wrzuciłam przepocony strój treningowy do kosza na brudną bieliznę i

ubrałam się. Wciągnęłam dzinsy i T-shirt, który wsunęłam do spodni, a przez szlufki przeciągnęłam pasek.

Włosy miałam jeszcze trochę wilgotne, więc potraktowałam je suszarką. Na wierzch narzuciłam ciemną wiatrówkę. Drzwi frontowe, tylne, a może kuchenne? Są takie wieczory, że tracę dość dużo czasu, żeby się zdecydować. Tylne. Chociaż wszystkim drzwiom smaruję zawiasy, żeby zamykały się i otwierały prawie bezszelestnie, tylne działają najciszej.

Mój dom jest otwarty na przestrzał, co oznacza, że tylne wejście znajduje się dokładnie naprzeciwko drzwi frontowych. Wystarczy, że spojrzę na drugą stronę korytarza i salonu, który zajmuje całą szerokość domu, i od razu wiem, czy zamknęłam zasuwę.

Oczywiście, że zamknęłam – nigdy nie zaniedbuję środków bezpieczeństwa. Wyszłam tylnymi drzwiami i w ich zamku też przekręciłam klucz. Wepchnęłam go na samo dno przedniej kieszeni spodni, skąd raczej nie powinien wypaść. Przez minutę stałam na maleńkim ganku, wdychając delikatny zapach młodych listków pnącej róży. Roślina wspięła się już do połowy drabinki, którą zrobiłam, żeby przydać uroku mojemu gankowi.

Oczywiście uniemożliwiła mi zauważenie osób, które chciałyby zakraść się do mojego domku, lecz gdy mniej więcej za miesiąc pojawią się pierwsze kwiaty, nie pożałuję tego. Od dziecka uwielbiam róże. Ich krzaki gęsto porastały duże podwórko mojego rodzinnego domu w małym miasteczku.

Ogród, jaki pamiętam z dzieciństwa, był przynajmniej pięć razy większy od mojego, który po sześciu metrach od ściany domu kończy się nagle w stromiźnie nasypu kolejowego.

Pochyłość porastają chwasty, lecz co jakiś czas pojawiają się tu wynajęci kosiarze i starają się je likwidować. Gdy stoję twarzą ku torom, po lewej

stronie mam wysokie drewniane ogrodzenie otaczające niewielki blok mieszkalny, noszący dumną nazwę Apartamentów Ogrodowych Shakespeare. Leży nieznacznie wyżej niż mój dom. Po prawej, nieco poniżej, widzę równie małe podwórko ostatniej posesji przy mojej ulicy. Jest prawie dokładną kopią mojego domku i należy do księgowego nazwiskiem Carlton Cockroft.

W oknach u Carltona panowała ciemność, co – ze względu na późną porę – wcale mnie nie zdziwiło. W bloku dostrzegłam światło tylko w mieszkaniu Deedry Dean. Lecz gdy uniosłam głowę, natychmiast zgasło.

Pierwsza po północy.

Cicho zesłam z ganku. W sportowych butach stapałam po trawie prawie bezszelestnie. Niewidziana przez nikogo ruszyłam ulicami Shakespeare. Noc była cicha i ciemna. Powietrze stało nieruchome, a na zimnym nieboskłonie wisiał samotny półksiężyc.

Nawet gdybym chciała, nie mogłam dostrzec sama siebie. I tak było mi najlepiej. Półtorej godziny później poczułam się wystarczająco zmęczona, by wreszcie położyć się spać.

Zawróciłam do domu i już nie próbowałam się ukrywać. Można nawet powiedzieć, że zachowywałam się nieostrożnie. Ruszyłam chodnikiem wzdłuż arboretum (taką fantazyjną nazwą obdarzono zaniedbany mały park z tabliczkami poprzyczepianymi do kilku drzew i krzewów). Estes Arboretum zajmuje cały kwartał zdecydowanie najpodlejszej dzielnicy Shakespeare. Każda z czterech ulic okalających park nazywa się inaczej. Moja ulica, Track, po wschodniej stronie parku, ma długość zaledwie jednego kwartału. Niewiele aut nią przejeżdża. Co rano, kiedy wstaję i wyglądam przez okno, zamiast cudzych garaży widzę drzewa po drugiej stronie ulicy.

Szłam od ulicy Latham biegnącej wzdłuż południowej strony parku. Znajdowałam się właśnie naprzeciw skrawka zarośli, do którego nikt nie rościł sobie pretensji, tuż na południe od domu Carltona Cockrofta. Nie byłam nieostrożna i nie przystanąłam pod rzucającą mizerną poświatę latarnią uliczną, jedną z czterech postawionych na każdym rogu arboretum.

Miasteczka Shakespeare nie stać na instalowanie latarni w środku kwartału, zwłaszcza w takiej części miasta. Przez całą noc nie widziałam żywej duszy, lecz nagle odniosłam wrażenie, że nie jestem sama. W ciemności po drugiej stronie ulicy ktoś się poruszył. Instynktownie ukryłam się za pniem dębu amerykańskiego rosnącego na skraju parku.

Jego długie gałęzie zwisały nad chodnikiem. Miałam nadzieję, że ich cień ukrył mnie przed wzrokiem tajemniczej postaci wynurzającej się z mroku. Serce waliło mi nieprzyjemnie szybko. Co z ciebie za twardziel! – zadrwiłam z siebie. Co pomyślałby Marshall, gdyby cię teraz zobaczył? Lecz gdy po sekundzie uspokoiłam się, stwierdziłam, że na pewno pochwaliliby mnie za to, że nie straciłam głowy.

Ostrożnie wyjrzałam zza pnia. W środku kwartału, gdzie znajdował się ten ktoś, panowała prawie zupełna ciemność. Nie wiedziałam nawet, czy patrzę na mężczyznę, czy na kobietę. Powróciło nieprzyjemne wspomnienie mojej prababki, wypowiadającej porzekadło: „Czarniejszy niż Murzyn z zamkniętymi ustami w kopalni węgla”, czym zupełnie nieświadomie wywoływała zakłopotanie całej rodziny. Chociaż może nie, może to delikatne skinienie zadowolenia nie dotyczyło zgrabnego wyrażenia, lecz umęczonych spojrzeń, jakie wymieniali między sobą moi rodzice. Prababka wyszłaby pewnym krokiem na środek ulicy i zapytałaby, z kim ma do czynienia, przekonana, że nic jej nie grozi.

Ale ja wiem lepiej.

Okryta mrokiem postać pchała coś przed sobą. A to coś miało kółka. Wbijając wzrok w ciemności, próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej podczas bezsennych nocy, gdy snułam się po miasteczku, ktoś jeszcze pojawił się na mojej ulicy. Owszem, widywałam czasem jakiś samochód, mieszkańców bloku lub ich gości, lecz nie sądzę, bym w ciągu ostatnich czterech lat spotkała kogokolwiek idącego piechotą – przynajmniej w tej części miasta. W złe noce, kiedy zdarza mi się dojść do samego centrum, to co innego.

Ale tu i teraz zaniepokoiłam się nie na żarty. Tajemnicza postać starała się, by jej nie zauważono. Ten drugi mieszkaniec nocy popychał coś, w czym teraz rozpoznałam dwukołowy wózek. Miał specjalny uchwyt i podpórkę, więc gdy się go stawiało pionowo, nie przewracał się. Mieściły się na nim dwa studwudziestolitrowe pojemniki na śmieci.

Instynktownie zacisnęłam dłonie w pięści. Nawet w ciemnościach poznałam znajomy kształt. Wózek należał do mnie. Kupiłam go na wyprzedazy od ludzi, którzy wyprowadzali się z miasta. Pan domu zrobił go własnoręcznie.

Teraz wózek był załadowany czymś zawiniętym w ciemny plastik, być może matą do nakrywania rabat, żeby nie rosły na nich chwasty. Na gładkiej powierzchni widziałam blade refleksy światła.

Poczułam wściekłość, jakiej dawno nie doświadczałam. Działo się coś złego, a złodziej wózka chciał mnie w to wmieszać. Spokój, którego osiągnięcie tak wiele mnie kosztowało, miał zostać zniszczony, i to zupełnie nie z mojej winy. Sama nie mogłam zaczepić złodzieja. Nie miałoby to sensu – mógł być uzbrojony i oczywiście bardzo chciał coś ukryć przed światem.

Zacisnęłam zęby, patrzyłam i czekałam.

Przez nierówną nawierzchnię zaniedbanej uliczki Track tajemnicza postać wiozła jakiś ciężar na wózku na śmieci. Poznałam, że musi to być coś ciężkiego, gdyż złodziej przemieszczał się powoli, przygarbiony.

Coś niesamowitego. Zadrżałam. Zebrałam poły wiatrówki i z cichym świstem zasunęłam zamek. Z kieszeni wyjęłam ciekawą ciekawą apaszkę i obwiązałam nią jasne włosy.

Ani na chwilę nie spuszczałam oczu z mozolnych postępów złodzieja. Kierował się w stronę parku. Poczułam, jak kąciki ust wędrują mi ku górze w uśmiechu, gdy patrzyłam, jak mozoli się z wciągnięciem wózka z ulicy na chodnik. Najwyraźniej ułatwienia dla inwalidów nie zaliczały się do priorytetów, gdy przed wielu laty te chodniki wykonywano.

Wreszcie wózek wskoczył na chodnik. Złodziej musiał przyśpieszyć kroku, żeby go dogonić. W ciemności, podążając jedną z wąskich brukowanych alejek arboretum, toczył swój ładunek. Zaczęłam liczyć sekundy. Za trzy minuty wrócił, nadal popychając mój wózek.

Tym razem wózek był pusty.

Gniew ustąpił miejsca zaciekawieniu, chociaż tylko na krótką chwilę. Patrzyłam, jak tajemnicza postać popycha wózek po moim podjeździe, ledwo mieszcząc się w wąskiej przestrzeni między samochodem a ścianą garażu. Złodziej pojawił się na tyłach mojego domu. Szedł szybkim krokiem. Zanim dotarł do południowego podjazdu bloku mieszkalnego, musiał obejść ogrodzenie. Okrążył budynek. On lub ona najwyraźniej miał zamiar wejść do niego od tyłu. Drzwi frontowe za bardzo skrzypiały. Zawsze zapamiętuję takie szczegóły.

Dość często wchodzę i wychodzę z tego budynku.

Tak jak się spodziewałam, złodziej nie pojawił się ponownie po drugiej stronie bloku. Więc musiał to być jeden z jego mieszkańców, a może gość,

który zatrzymał się tam na noc. Ponieważ mieszkają tam jedna niezamężna kobieta i czterej kawalerowie, coś takiego zdarza się dość często.

Jeszcze przez kilka sekund trzymałam się w cieniu drzewa. Czekałam, czy gdzieś nie zapali się światło. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałam okna po południowej stronie budynku, a także okna frontowe. Jednak ktokolwiek to był, zachowywał się bardzo ostrożnie. Budynek tonął w ciemnościach.

Wiedziałam, że ja też muszę być bardzo ostrożna. Odczekałam pięć minut według elektronicznego zegarka i dopiero wtedy odważyłam się poruszyć. Po chwili znalazłam się w arboretum. Nie podążałam za niczymi śladami, poruszałam się w ciemności tak cicho, jak to tylko było możliwe. Oceniałam, w którym miejscu mniej więcej dotrę do ścieżki. Układ alejek w parku znałam równie dobrze jak rozkład mojego własnego domu. Są pewne plusy wielogodzinnych wędrówek po różnych zakamarkach Shakespeare.

Złodziej owinął swój łup czarnym workiem, nie byłam więc pewna, czy uda mi się go znaleźć ze względu na panujące wszędzie egipskie ciemności. Gdybym nie musnęła nogawką dżinsów o plastik, który wydał z siebie charakterystyczny szelest, mogłabym po omacku wędrować po alejce przez następną godzinę.

Gdy tylko usłyszałam odgłos, przykucnęłam. Po chwili to, co początkowo uznałam za matę z tworzywa sztucznego, okazało się dwoma ogromnymi workami na śmieci. Jeden założony od góry, a drugi od dołu, nachodziły na siebie w połowie, okrywając coś dużego i miękkiego. Dotknęłam pakunku i pod czymś miękkim wyczułam coś twardego i nierównego.

Coś, co trochę za bardzo przypominało ludzkie zebra.

Przygryzłam dolną wargę, żeby przypadkiem nie krzyknąć. W milczeniu walczyłam z wszechogarniającym pragnieniem, by zerwać się na równe

nogi i uciec. Po kilku głębokich oddechach wygrałam. Przygotowałam się na to, co musiałam zrobić, lecz nie odważyłabym się działać w ciemności.

Sięgnęłam do kieszeni wiatrówki i wyciągnęłam lekką, małą, lecz silnie świecącą latarkę, która kiedyś spodobała mi się w WalMarcie. Nie wstając, przesunęłam się tak, by moje ciało znalazło się między blokiem mieszkalnym a tym, co było na ziemi. Pstryknęłam przyciskiem.

Znów rozgniewałam się na siebie, gdy zobaczyłam, jak bardzo trzęsą mi się ręce. Rozsunęłam worki na jakieś dziesięć centymetrów. Zobaczyłam podartą, spraną koszulę męską w zielonopomarańczową szkocką kratę. Kieszeń klatki piersiowej musiała o coś zaczepić – była częściowo odpruta wzdłuż szwu i brakowało fragmentu materiału. Poznałam tę koszulę. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, nie była podarta. Wsunęłam rękę do worka trochę z boku i znalazłam dłoń. Chwyciłam nadgarstek w miejscu, w którym powinnam wyczuć tętno. W środku chłodnej nocy w Shakespeare kucalam wśród drzew, trzymając za rękę martwego mężczyznę.

A teraz na plastikowych workach bezmyślnie zostawiłam odciski palców. Mniej więcej czterdzieści minut później siedziałam w swojej sypialni. Wreszcie padałam na nos ze zmęczenia.

Wyjęłam ciało z worków.

Potwierdziłam tożsamość trupa i jego stan. Nie oddychał, nie mogłam też wyczuć tętna. Wyszłam z arboretum, wiedząc, że zostawiłam za sobą ślady. Nie mogłam tego uniknąć. Wpadłam na pomysł, że przynajmniej wyjdę tą samą drogą, którą przyszedłam, żeby chociaż trochę je zatrzeć. Wynurzyłam się z krzaków na ulicę Latham i przeszłam na drugą stronę daleko poza zasięgiem wzroku mieszkańców bloku. Skradając się, okrążyłam dom Carltona Cockrofta, cicho przechodząc przez jego podwórko, by na koniec dotrzeć do własnego domu.

Zauważyłam, że złodziej odstawił wózek. Na pierwszy rzut oka pojemniki na śmieci znajdowały się na swoich miejscach, lecz po chwili stwierdziłam, że odwrócił ich kolejność.

Niebieski pojemnik zawsze stał po prawej, a brązowy po lewej stronie. Otworzyłam tylne drzwi i weszłam do środka, nie zapalając światła. Znalazłam właściwą szufladę kuchennej szafki i wyjęłam dwie zapinki. Użyłam ich do zamknięcia worków na śmieci, które wcześniej znajdowały się w pojemnikach. Potem włożyłam do środka nowe worki – te, w które wcześniej zapakowano ciało – i zamknęłam pierwszy komplet worków w drugim.

Pomyślałam sobie, że nie powinnam oglądać wózka w środku nocy, a wciąganie go do domu spowodowałoby za dużo hałasu. Będzie musiał poczekać do rana.

Zrobiłam wszystko, co mogłam, by zatrzeć mimowolny współudział w wydarzeniach, które rozegrały się tej nocy. Powinnam już się położyć, lecz nie opuszczało mnie przeczucie, że o czymś zapomniałam. W ten sposób przypominało o sobie wychowanie dziewczynki typowe dla klasy średniej, zresztą jak zawsze w najmniej spodziewanej i odpowiedniej porze. Doczesne szczątki znanej mi osoby leżały samotnie w ciemnościach. Tak nie powinno być.

Nie mogłam zatelefonować na posterunek policji, bo prawdopodobnie połączenia przychodzące nagrywano lub inaczej notowano, nawet w tak małej miejscinie jak Shakespeare. A może powinnam po prostu o wszystkim zapomnieć? I tak ktoś znajdzie go rano. A jeżeli będą to małe dzieci, mieszkające przy ulicy Latham... Nagle przyszedł mi do głowy pomysł, do kogo powinnam zatelefonować. Zawahałam się, kręcąc młynka palcami.

Podświadomość mówiła, że to niezbyt rozsądna decyzja. Weź się do roboty i skończ wreszcie z tym wszystkim – powiedziałam sobie.

Wyjęłam latarkę. Posiłkując się jej słabnącym blaskiem, w maleńkiej książce telefonicznej odczytałam numer. Wystukałam właściwe cyfry, wysłuchałam trzech sygnałów, po których odezwał się zaspany męski głos:
– Claude Friedrich.

– Posłuchaj – powiedziałam, zdziwiona, jak szorstko i chrapliwie zabrzmiały moje słowa. Oczekałam chwilę.

– Okej – w głosie mojego rozmówcy zabrzmiała nutka czujności.

– W parku po drugiej stronie ulicy jest trup – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Dyskretnie wśliznęłam się do pokoju treningowego. Przez okno dostrzegłam, że na pierwszym piętrze w mieszkaniu Claude’a Friedricha tuż obok Deedry Dean zapaliło się światło.

Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Z miłym poczuciem dobrze spełnionego obowiązku przebrałam się w nocną koszulę. Z ulicy dobiegł mnie odgłos samochodu, więc na palcach weszłam do ciemnego salonu, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Friedrich potraktował mój telefon bardzo poważnie. W pośpiesznie narzuconym na siebie ubraniu rozmawiał z jednym z policjantów z nocnego patrolu, Tomem Davidem Meicklejohnem. Jak się spodziewałam, ruszyli do parku tą samą alejką, którą wybrał złodziej wózka. Obaj mieli w dłoniach potężne latarki „czaszkołupy”.

Sprawa zamknięta – pomyślałam, wracając do sypialni i wpełzając do dwuosobowego łóżka. Okryłam się kołdrą przebraną w świeżą poszewkę, przyłożyłam głowę do poduszki i natychmiast – wreszcie – zapadłam w sen.

ROZDZIAŁ 2

Nazajutrz był wtorek. Tego dnia przed południem przychodzę do pani Marie Hofstettler. Jej syn Chuck mieszka w Memphis. Interesuje się matką, lecz nie na tyle, by zadać sobie trud przyjazdu do Shakespeare i zobaczyć się z nią osobiście. Zamiast tego dobrze mi płaci za to, bym dwa razy w tygodniu dotrzymywała jej towarzystwa.

Zawsze trochę sprzątam, przepuszczam garderobę pani Hofstettler przez pralkę i suszarkę, a od czasu do czasu zabieram ją do znajomych, do K-marta lub Krogera, jeżeli pani Hofstettler czuje się wystarczająco „zwinna”, jak to określa.

Drogę z domu do bloku pokonałam piechotą. Weszłam skrzypiącymi drzwiami frontowymi. Chociaż mam własny klucz do jej mieszkania, lekko zastukałam w pierwsze drzwi po lewej stronie, informując ją, że mam zamiar wejść. Na szczęście już wstała. Ucieszyłam się, bo były i takie dni, gdy zboląca leżała jeszcze w łóżku.

– Zeszłej nocy w ogóle nie zmrużyłam oka! – wykrzyknęła na powitanie.

Marie Hofstettler skończyła osiemdziesiąt pięć lat. Z wyglądu przypomina pomarszczony, suszony owoc moreli. Ma siwe jedwabiste i cienkie włosy, które czesze w niezbyt foremny kok. (Wiem, ile kosztuje ją samodzielne ułożenie fryzury. Kiedyś w chwili zaćmienia umysłu zasugerowałam, żeby ścięła się na krótko. Naburmuszona nie odzywała się do mnie przez całą godzinę). Dzisiaj rano zdążyła nawet włożyć sztuczną szczękę i ubrać się w sukienkę w niebiesko-czerwone paski, w której chodzi po domu. Najwyraźniej ekscytacja dobrze jej robi.

– Widziałam, że policja zamknęła taśmą ścieżkę do parku – skomentowałam najbardziej beznamiętnym głosem, na jaki było mnie stać.

Żaden rodowity mieszkaniec Shakespeare nie nazywał Estes Arboretum inaczej jak tylko „parkiem”. Czas najwyższy, żeby po czterech latach nabrać choć trochę miejscowego sznytu.

– Nie słyszałaś tego okropnego zamieszania?

– Nic a nic – odparłam zgodnie z prawdą. – Spałam jak zabita. – Z tymi słowami poszłam do sypialni pani Hofstettler, gdzie stał kosz z brudną bielizną.

– Pozazdrościć głębokiego snu – krzyknęła za mną staruszka. – Kochana, po całej ulicy jeździły radiowozy. Tam i z powrotem. Widziałam też ambulans. A ilu było gapiów!

– Nie mam pojęcia, co mogło się stać, więc nie mogę pani o niczym opowiedzieć – powiedziałam z udawanym żalem.

Zwykle nie plotkuję z klientami, ale podziwiam Marie Hofstettler za to, że nie narzeka ani nie czepia się drobiazgów.

– W takim razie trzeba włączyć radio – zakomenderowała z zapalem. – Może powiedzą, co się stało. A jak nie, to zatelefonuję do Deedry do ratusza. Ona zawsze najlepiej wie, co w trawie piszczy.

Włączyłam pralkę. Wszystkie osiem mieszkań – po cztery na dole i na górze – ma taki sam rozkład, z tym że te od wschodu stanowią lustrzane odbicie zachodnich. Drzwi frontowe i tylne są zamykane o jedenastej wieczorem, a mieszkańcom nie wolno udostępniać kluczy osobom niepowołanym. Od dziesięciu lat, czyli odkąd wzniesiono budynek, Marie zajmuje mieszkanie od frontu na parterze po północnej stronie. Oprócz niej tylko Pardon Albee mieszkał tu od początku. Z klatki schodowej wchodzi się bezpośrednio do salonu, którego część zajmuje jadalnia. Za jadalnią znajduje się kuchnia. Jak na wynajmowane mieszkanie w bloku, nie brakuje w niej szafek ani blatów roboczych. Z kuchni i jadalni wchodzi się do korytarza. Po prawej stronie (w mieszkaniu Marie) stoi szafa wnękowa, w

której zmieściły się pralka, suszarka, półki do przechowywania pościeli, środków czystości i innych drobiazgów.

Prawie dokładnie naprzeciw szafki znajduje się wejście do głównej sypialni – przyjemnej wielkości, z bardzo dużą zabudowaną wnęką. Kolejne drzwi za szafą w korytarzu wiodą do o wiele mniejszej sypialni dla gości, a sam korytarz kończy się łazienką z wielkim balkonowym oknem z matowanego szkła, kryjącym wyjście na drugą klatkę schodową – drogę ucieczki w razie pożaru.

Zawsze ceniłam sobie fakt, że drzwi wejściowe do mieszkania usytuowane są nieco z boku, co uniemożliwia wchodzącym osobom bezpośrednio zajrzenie do łazienki.

Pardon Albee – inwestor i właściciel budynku w jednej osobie – miał chęć nazwać go Apartamentami Ogrodowymi, gdyż mieszkania frontowe wychodzą na arboretum. Jednak z tylnych widać tylko wybrukowany dziedziniec łączący budynek z wiatą garażową podzieloną na osiem miejsc parkingowych, zbyt szerokich na jeden, a zbyt wąskich na dwa samochody. Mieszkańcy piętra mogą rozkoszować się widokiem na tory kolejowe, a dalej na zaplecze sklepu żelaznego ze sprzętem dla drwali.

Na prośbę pani Hofstettler włączyłam radio i zaczęłam robić porządki w większej sypialni. Staruszka nastawiła odbiornik nieco głośniej, żebym mogła słuchać wraz z nią – choć dopiero po wnikliwej analizie tego, komu ewentualnie mógłby przeszkadzać hałas.

Zdecydowała wreszcie, że nikomu, bo najbliżsi sąsiedzi, T.L. i Alva Yorkowie, zapewne wyszli już na swój poranny spacer, a Norvel Whitbread, mieszkający piętro wyżej, był już w pracy, upił się lub jedno i drugie.

Lokalna stacja radiowa, obejmująca swoim zasięgiem większość obszaru hrabstw Hartsfield i Creek, gra tak zwanego klasycznego rocka. W

odbiorniku Marie była zaprogramowana pod osobnym przyciskiem. Melodia, którą usłyszałam najpierw, kiedyś mi się podobała – na długo, zanim porządek dzienny mojego życia uległ tak znacznemu... hmm... uproszczeniu. Uśmiechnęłam się, podnosząc z toaletki stare figurki porcelanowe, i bardzo starannie je przetałam. Piosenka skończyła się, spojrzałam na zegarek i zaraz po sygnale czasu odezwała się spikerka. Mówiła z tak silnym południowym akcentem z Arkansas, że nawet po czterech latach pobytu w miasteczku musiałam dość uważnie się przysłuchiwać, żeby ją zrozumieć.

– Wiadomości lokalne (Wiadomości ląkaalne) – odezwał się nosowy głos z wystudiowaną powagą. – Około godziny drugiej trzydzieści w nocy w parku Estes Arboretum w mieście Shakespeare znaleziono zwłoki Pardona Albee, znanego inwestora w branży budowlanej z Hartsfield County. Policja podjęła działania na podstawie anonimowego zgłoszenia telefonicznego. Komendant Claude Friedrich stwierdził, że przyczyna zgonu na razie nie jest znana, lecz nie wyklucza udziału osób trzecich. Denat przez całe życie mieszkał w Shakespeare i należał do miejscowego Zjednoczonego Kościoła Protestantckiego. Inne wiadomości. Sąd hrabstwa Creek skazał Harleya Dona Murrella na dwadzieścia lat za uprowadzenie i gwałt...

– To niemożliwe! – wykrzyknęła naprawdę poruszona pani Hofstettler.

Ostrożnie odłożyłam na miejsce pasterkę, którą właśnie przecierałam, i pobiegłam do salonu.

– Lily, to straszne! Myślisz, że ktoś mógł go zabić i obrabować właśnie tutaj? Komu teraz będziemy płacić czynsz, skoro Pardon Albee nie żyje? I kto odziedziczy po nim budynek?

Odruchowo podałam staruszce chusteczkę higieniczną. Pomyślałam, że kto jak kto, ale ona zawsze przechodzi od razu do sedna sprawy.

Rzeczywiście – do kogo teraz będzie należał budynek? Gdy zeszłej nocy w świetle latarki poznałam brzydką zielonopomarańczową kraciatą koszulę Pardona Albee, nie o tym najpierw pomyślałam.

Odpowiedź nie miała bezpośredniego wpływu na moje życie, gdyż nie wynajmowałam, lecz kupiłam dom od Pardona, podobnie zresztą jak mój sąsiad. O ile wiedziałam, Pardon sprzedał działki leżące na północ od ulicy Track i do rogu Jamaica Street Zjednoczonemu Kościołowi Protestanckiemu – związkowi różnych odłamów religijnych, który zupełnie nieoczekiwanie rozkwitał. Jediną nieruchomością, którą w ostatnich latach posiadał jeszcze na własność, były Apartamenty Ogrodowe. Wyżywał się w roli właściciela.

Uważał się za główną postać czegoś w rodzaju serialu telewizyjnego, w którym grał rolę dobrego gospodarza domu, pomagającego wszystkim mieszkańcom rozwiązywać problemy i znającego wszystkie ich najintymniejsze sekrety.

A przynajmniej bardzo się starał, aby tak było.

– Muszę zatelefonować. Lily, tak się cieszę, że jesteś dziś ze mną!

Pani Hofstettler była bardziej poruszona niż kiedykolwiek przedtem. Pamiętam, jak kiedyś przez dwa tygodnie kipiała ze złości, gdy ministrant w kościele episkopalnym świętego Stefana zapalił w Adwencie niewłaściwą świecę.

– Do kogo chciała pani zatelefonować? – zapytałam, odkładając ściereczkę.

– Na policję. Pardon był wczoraj u mnie. Wiesz, jak zawsze pierwszego. Na koniec miesiąca Chuck przesyła mi czek, składam go w banku, a pierwszego przychodzi do mnie pan Albee. Punktualnie jak w zegarku. Zawsze mam dla niego przygotowany czek. Kładę go o tu, na stole, a on zawsze... Myślę, że powinnam powiedzieć policji, że u mnie był!

– W takim razie wybiorę numer.

Miałam nadzieję, że uspokoi się trochę po rozmowie. Ku mojemu zdziwieniu i zaniepokojeniu, dyspozytorka komendy policji w Shakespeare obiecała jej, że przyślą kogoś, kto wysłucha, co pani Hofstettler ma do powiedzenia.

– Lepiej zaparz kawę, Lily – poprosiła. – Może policjant będzie chciał się napić? Co mogło się stać Pardonowi? To nie do wiary! Jeszcze wczoraj tu stał. O tu, właśnie w tym miejscu. A teraz nie żyje, choć przecież był o ładne dwadzieścia pięć lat młodszy ode mnie!

Lily, proszę cię, weź tę chusteczkę i ułóż prosto tę poduszkę na kanapie. Ach, te przeklęte nogi! Nie masz pojęcia, Lily, jak starość potrafi człowiekowi dokuczyć.

Na tak postawioną sprawę nie istniała żadna bezpieczna odpowiedź, więc błyskawicznie doprowadziłam pokój do porządku. Ekspres zaczął bulgotać, mieszkanie było wysprzątane, zdążyłam jeszcze musnąć gąbką łazienkę, gdy odezwał się dzwonek do drzwi.

Wyjmowałam właśnie ubrania z suszarki, a ponieważ zaraziłam się od Marie pedantycznym zamiłowaniem do porządku, pośpiesznie zaniiosłam czyste pranie do gościnnej sypialni i, w drodze do drzwi wejściowych, zamknęłam szczebelkowe drzwi zasłaniające pralkę i suszarkę.

Spodziewałam się płotki, więc coś ścisnęło mnie w sercu, gdy poznałam komendanta policji – człowieka, do którego zatelefonowałam w środku nocy. Usunęłam się na bok i gestem dłoni zaprosiłam go do środka, przeklinając w duchu wyrzuty sumienia i przeklęty telefon. Obawiałam się, że gdy tylko się odezwę, natychmiast rozpozna mój głos.

Po raz pierwszy zobaczyłam Claude'a Friedricha z tak bliska, chociaż oczywiście wiele razy widywałam go, jak wyjeżdża z podjazdu pod

blokiem, a od czasu do czasu mijałam go na korytarzu, gdy sprzątałam w jednym z mieszkań.

Claude Friedrich był czterdziestokilkuletnim bardzo wysokim mężczyzną. Mocno opalony, miał jasnobrązowe włosy i wąsy przyprószone siwizną. Z ogorzałej twarzy spoglądały na mnie jasnopozielate oczy. Komendant miał niewiele zmarszczek (za to te, które miał, były tak głębokie, jakby ktoś wystrugał je dłutem), szeroką twarz i kwadratową szczękę, szerokie plecy i ręce, płaski brzuch. Broń na jego biodrze wyglądała bardzo naturalnie. Granatowy mundur sprawił, że natychmiast zaschło mi w ustach, poczułam wewnątrz niepokój i wściekłość.

Jeszcze jeden macho – pomyślałam. Zupełnie jakby mnie słyszał, Friedrich nagle się odwrócił. Przyłapał mnie z uniesionymi brwiami i z sardonicznie wykrzywioną miną. Przez pełną napięcia chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Dzień dobry, pani Hofstettler – powiedział uprzejmie, przenosząc spojrzenie na moją pracodawczynię, która miała chusteczkę w dłoniach.

– Dziękuję, że pan przyszedł, chociaż nie wiem, czy dobrze, że pana fatygowałam – odpowiedziała jednym tchem. – Nie chciałabym panu niepotrzebnie zabierać czasu. Proszę, niech pan usiądzie.

Gestem wskazała mu obitą kwiecistym materiałem kanapę, stojącą na wprost telewizora i naprzeciw jej ulubionego rozkładanego fotela.

– Dziękuję pani. Naprawdę to dla mnie żaden kłopot – uspokoił ją Friedrich. Bez dwóch zdań, umiał się znaleźć. Usiadł z wdzięcznością, jakby stał od tygodnia. Ruszyłam do kuchni i otworzyłam znajdujące się nad blatem okienko. Za plecami naszego gościa postawiłam dzbanek z kawą. Widząc go, pani Hofstettler natychmiast zaczęła zachowywać się jak gospodyni, co pomogło jej odzyskać spokój.

– Co za nietakt z mojej strony – wyrzucała sobie, zwracając łagodne, spłowiałe niebieskie oczy na gościa. – Proszę się poczęstować kawą. Pija pan ze śmietanką i z cukrem?

– Dziękuję bardzo – odparł Friedrich. – Poproszę o czarną.

– Lily, czy mogłabyś podać panu komendantowi kawę? Ja chyba nie będę piła, ale ty nalej sobie i dosiądź się do nas. Młody człowieku, mam wrażenie, że znałam twojego ojca... – Z tymi słowy pani Hofstettler rozpoczęła nieuniknioną analizę pokrewieństw, które sprawiały, że powitania ludzi z amerykańskiego Południa są tak wylewne i trwają tak długo.

Wiedząc, że starszej pani sprawię tym radość, położyłam na tacy serwetki, talerzyk z herbatnikami (tę słabość trzyma w sekrecie – Marie przepada za czekoladowymi Keebler Elves z czekoladowym nadzieniem) i dwie pełne po brzegi filiżanki kawy. Jednocześnie słuchałam, jak Friedrich opowiada o pracy policjanta w Little Rock i podjęciu decyzji o powrocie w rodzinne strony, gdy w krótkich odstępach czasu zmarł jego ojciec, on sam rozwiódł się, a w Shakespeare zwolniło się stanowisko komendanta policji. Wspomniał o radości, jaką czerpie z ponownego odkrycia swobodniejszego tempa życia w małym mieście.

Był dobry w te klocki, musiałam przyznać po raz kolejny.

Układając serwetki w zachodzące na siebie trójkąty na tacy zdobionej jasnymi motywami kwiatowymi, przyznałam się sama przed sobą, że odczuwam niepokój. Jak długo można milczeć jak kołek i nie wyjść na dziwaczkę? Z drugiej strony przecież spał, kiedy do niego zatelefonowałam. Powiedziałam tak niewiele, więc na jakiej podstawie miałby rozpoznać mój głos?

Płynnym ruchem podniosłam tacę i zaniósłam do salonu. Podałam Friedrichowi filiżankę. Teraz, gdy znów znalazłam się blisko niego, jeszcze

wyraźniej uświadomiłam sobie, jak potężnie jest zbudowany.

– Przepraszam, ale my chyba jeszcze się nie znamy – zaczął taktownie Friedrich, gdy przysiadłam na twardym fotelu naprzeciw niego.

– Bardzo pana przepraszam! – powiedziała pani Hofstettler smutnie, potrząsając głową.

– Ta straszna wiadomość zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Panie komendancie, to panna Lily Bard. Mieszka w domu obok naszego bloku. Odkąd się przeniosła do Shakespeare, jest dla nas niezastąpiona.

No tak, na panią Hofstettler zawsze można liczyć. Mogłam się spodziewać, że nie przegapi sposobności do odegrania roli swatki.

– Widziałem już panią tu i tam – powiedział, uprzejmie sugerując, że żaden mężczyzna nie może przejść obok mnie obojętnie.

– Sprzątam u Deedry Dean – odpowiedziałam krótko.

– Czy była pani wczoraj w tym budynku?

– Tak.

Czekał, żebym powiedziała coś więcej. Ale nie powiedziałam.

– W takim razie musimy porozmawiać później, kiedy będzie pani miała wolne – zakończył miękko, jakby zwracał się do zgrzybiałej stulatki lub osoby upośledzonej umysłowo.

Niezbyt uprzejmie skinęłam głową.

– Mam przerwę między czwartą a wpół do szóstej.

– W takim razie zajrzę wtedy do pani – oznajmił, nie dając mi czasu na wyrażenie zgody i jasnopopielatymi oczami spojrzał na gospodynię.

– Wspominała pani, że widziała wczoraj Pardona Albee.

– Było tak – zaczęła pani Hofstettler, jakby z chorobliwą lubością dobierała słowa. – Pardon zawsze przychodzi około dziewiątej rano pierwszego dnia miesiąca... po czynsz.

Wiem, że woli, jak mieszkańcy zaglądną do jego mieszkania, ale przychodzi do mnie, bo czasami mogę się ruszać, a kiedy indziej nie. Dopóki rano nie otworzę oczu, nie wiem, jak się będę czuła. – Pokręciła głową, podsumowując nieprzewidywalną naturę choroby i starości, na co Friedrich odpowiedział współczującym mruknięciem.

– Zadzwoił do drzwi, więc go wpuściłam – kontynuowała w skupieniu pani Hofstettler. – Miał na sobie pomarańczowo–zieloną koszulę w kratę i ciemnozielone spodnie z poliestru... W takich kolorach mało komu jest do twarzy, a już na pewno nie osobie o jasnej karnacji... Ale to nie ma nic do rzeczy. A jeszcze gdy ktoś jest krępy... No dobrze...

Zagadywał mnie o pogodę, a ja mu odpowiadałam. Wie pan, mówił to, co zwykle mówi się starszym paniom, których się za dobrze nie zna!

Claude Friedrich uśmiechnął się do siedzącej przed nim bystrej starszej pani, upił łyk kawy, a potem uniósł filiżankę w moją stronę w geście milczącego uznania.

– Czy wspominał coś o swoich wczorajszych planach? – zapytał tubalnym głosem, przypominającym pomruk grzmotu z oddali.

Lepiej się nie wychylać. Zorientowałam się, że naprawdę będę musiała uważać.

Wbiłam wzrok w swoją filiżankę. Byłam tak wściekła na siebie za wplątanie się w śmierć Pardona Albee, że w wyobraźni rzuciłam nią o białą jak śmierć ścianę pokoju. Oczywiście niczego takiego nie zrobiłam, nie mogłam też w żaden sposób obwinać Marie za kłopoty, które sama ściągnęłam sobie na głowę. Westchnęłam cicho, a potem podniosłam wzrok i napotkałam zdecydowane spojrzenie Friedricha. Niech to szlag.

– Powiedział mi tylko, że musi wrócić do siebie i czekać, bo ludzie będą przynosić pieniądze. Pan też tu mieszka, panie Friedrich, więc wie pan, jak

bardzo Pardon lubił dostawać czynsz na czas. Ale wspomniał też o czymś, co go zainteresowało, kiedy słuchał wiadomości...

– Krajowych czy lokalnych? – zapytał łagodnie Friedrich.

Zauważyłam, że nie przerywał toku myśli pani Hofstettler, raczej naprowadzał ją na właściwe tory rzucaną co jakiś czas dyskretną uwagą. Był dobry w swoim fachu.

Zauważyłam też, że z jego talerzyka niepostrzeżenie zniknęły dwa herbatniki.

– Tego nie powiedział. – Marie Hofstettler z żalem potrząsnęła głową. – Ale miałam wrażenie, że z czegoś się cieszył. Wie pan, Pardon był... nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, skoro już go nie ma... lubił wiedzieć, co w trawie piszczy – dokończyła delikatnie, lekko marszcząc brwi i kiwając głową.

Nazywał to „życzliwym zainteresowaniem”.

Ja nazywałam to zupełnie inaczej.

– A czy wczoraj widziała pani swoich sąsiadów? – padło kolejne pytanie.

Zastanawiała się przez chwilę, wydymając wargi.

– Wydawało mi się, że słyszałam Alvę i T.L. Yorków, moich sąsiadów, ale oni mieli wrócić dopiero późnym wieczorem, więc pewnie się pomyliłam. Słyszałam też innych, jak pukali do drzwi Pardona, wie pan, żeby zapłacić czynsz. Kilka razy rano i po południu. Ale prawie zawsze oglądałam telewizję albo słucham radia, poza tym nie słyszę już tak dobrze jak kiedyś.

– Czy to znaczy, że poznała ich pani po głosie, czy po prostu ktoś kręcił się po mieszkaniu?

Pani Hofstettler znów się zamyśliła.

– Chyba jednak ktoś kręcił się po mieszkaniu.

– To mogłam być ja – wtrącałam. – Zrobiłam im zakupy, głównie jedzenie, i zniosłam do kuchni, a potem miałam podlać kwiaty.

– Słyszałam odgłosy około trzeciej po południu. Właśnie obudziłam się po drzemce.

– W takim razie to pewnie byłam ja.

Friedrich zanotował coś w małym jadownicy różowym kołnotatniku, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w jego dłoniach.

Spojrzałam na zegarek. Musiałam wyjść za pół godziny, żeby zdążyć do kolejnej pracy, a zostały mi jeszcze do uprzątnięcia czyste rzeczy Marie.

– Przepraszam – mruknęłam.

Zniosłam tacę do kuchni, czując na plecach spojrzenie Friedricha. Szybko umyłam i wytarłam naczynia, a potem wymknęłam się z kuchni do gościnnego pokoju. Na szczęście żadna z wypranych rzeczy nie wymagała prasowania, więc w kilka minut udało mi się porozkładać wszystko na miejsca. W myślach odfajkowywałam kolejne pozycje na liście obowiązków. U Marie zrobiłam już wszystko, co zwykle miałam przewidziane na wtorki rano. Wrócę w sobotę. Zabrakło płynu do mycia szyb. Zrobiłam odpowiednią notatkę i przyczepiłam ją w kuchni do drzwi lodówki serduszką na magnesie z napisem „Kocham Babcię”. Marie dostaje pieniądze od Chucka, więc wypisze mi czek w sobotę.

Komendant policji już wyszedł, gdy wynurzyłam się z kuchni. Czekałam na znajome skrzypnięcie drzwi wejściowych.

– Do widzenia, pani Hofstettler – powiedziałam. Marie gapiła się w przestrzeń nieobecny wzrokiem z dłońmi spokojnie splecionymi na kolanach. Wydawała się zaskoczona, że jeszcze tu jestem.

– Do widzenia, Lily – powiedziała zmęczonym głosem. – Tak się cieszę, że dzisiaj przyszaś. Nie wiem, jak bym sobie z tym wszystkim sama poradziła.

- Może powinna pani zadzwonić do syna?
- Nie chcę mu zawracać głowy – stwierdziła Marie.
- Tak, to rzeczywiście coś straszego.

Przypomniałam sobie, co czułam w ciemnościach, wśród drzew, w środku nocy, gdy w wąskiej smużce światła latarki poznałam ofiarę. Lecz dzięki znajomemu ćwiczeniu umysłowemu, powtarzanemu tak często jak ćwiczenia bicepsów, zablokowałam wspomnienie. Oczywiście wszystko wypłynie na powierzchnię w innym miejscu i czasie, ale wtedy będę już sama.

We wtorki mam zawsze mnóstwo zajęć. Dzisiaj było trudniej niż zwykle, bo krótko spałam i przeżyłam wielki stres.

Pobiegłam do domu po jakiś owoc do zjedzenia w samochodzie w drodze do następnej pracy.

Tak się składa, że we wtorki z mojej dzielnicy wywozi się śmieci. Wózek czekał na podjeździe, a kosze z nienaruszonymi workami stały we właściwej kolejności. Nikt nie mógł wiedzieć ani nawet podejrzewać, że w jeden komplet zawinięte były kiedyś ludzkie szczątki.

Tamtego ranka szybko obejrzałam wózek, żeby sprawdzić, czy są na nim jakieś ślady ostatniej przejażdżki Pardona Albee. Gołym okiem nie dostrzegłam na metalu żadnych śladów.

Gdy kuchennymi drzwiami wyszłam pod wiatę samochodową, usłyszałam warkot nadjeżdżającej śmieciarki. Nie mogłam się oprzeć i zaczekałam chwilę. Z jedną nogą w samochodzie i z ręką wspartą na ramie otwartych drzwiczek przyglądałam się ciężarówce.

Czarnoskóra mężczyzna w średnim wieku, ubrany w niebieski kombinezon z wyszytym na plecach napisem: „Służby komunalne miasta Shakespeare”, opróżnił kosze jeden po drugim, odstawił je na wózek, a worki wrzucił na pakę ciężarówce.

Zamknęłam oczy z ulgą, gdy śmieciarka ruszyła w górę do bloku. Duży niezgrabny pojazd ostrożnie manewrował, by zmieścić się na podjeździe w kształcie litery „U”. Ale zabawił tam krócej niż zwykle. Po chwili usłyszałam, jak rusza. Żałowałam, że przez ogrodzenie nic nie widać.

Założyłam się, że po drugiej stronie policjanci w gumowych rękawiczkach przeglądali kosze na śmieci przypisane do poszczególnych mieszkań.

Nie podejrzewałam policji w Shakespeare o tak wyrafinowane metody pracy. Chociaż nie mogłam w żaden sposób potwierdzić swoich podejrzeń, założyłam się, że na ten pomysł wpadł jej szef Claude Friedrich we własnej osobie.

Stałam w drzwiach pokoju Bobo Winthrop a i przyjrzałam mu się ponuro. Bobo to postawny siedemnastolatek, w którym zaczynają buzować hormony. Odkryłam to zeszłego lata. Dzisiaj był w szkole, lecz stan jego pokoju wskazywał na to, że przez ubiegły tydzień dość często zaglądał do domu, przynajmniej po to, żeby się przespać i zmienić ubranie.

Gdzieś pod całym tym nieporządkiem kryły się meble. Nawet dość dobre, jak pamiętałam. Miałam wrażenie, że stan pokoju w pewnym sensie odzwierciedla osobowość Bobo. Mimo całego swojego bałaganiarstwa to dobry chłopak.

Krótko mówiąc, nie zostawił swojego pokoju w takim stanie, żeby zrobić mi na złość po tym, jak walnęłam go w brzuch za to, że klepnął mnie ręką w tyłek. Po prostu przyzwyczał się, że przez całe życie ktoś po nim sprząta.

W takie dni jak dziś mam wrażenie, że jestem na paradzie i idę za słoniem, uzbrojona tylko w małą szufelkę do zbierania guana.

Ale skoro Beanie Winthrop dobrze mi płaci, to – ofuknęłam się surowo – nie mam powodu narzekać. Widząc pokój Bobo, po raz kolejny zaczęłam

mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, wybierając sprzątanie jako sposób zarabiania na życie.

Włokąc za sobą plastikowy kosz na brudną bieliznę, wrzucałam do niego brudne ubrania. Na pocieszenie przypominałam sobie, że kiedyś dostawałam państwowe stypendium za wyniki w nauce, w liceum byłam najlepsza w klasie, a college skończyłam z bardzo wysoką średnią.

Tak brzmi moja wtorkowa mantra.

Odkryłam też, że pewnego wieczoru, gdy w domu nie było rodziców, Bobo zamówił pizzę. Prawdopodobnie – oceniłam na podstawie liczby warstw odzieży leżących na tekturowym pudełku – było to jakieś trzy dni temu.

– Hej, hej! – od strony kuchni dobiegł mnie stłumiony wesoły głos, a po nim trzask drzwi prowadzących do garażu. – Lily! Wpadłam tylko na chwilę, bo śpieszę się na lekcję tenisa!

– Dzień dobry – odpowiedziałam, dobrze wiedząc, że ton mojego głosu w najlepszym razie można było określić jako posepny.

Nie bardzo miałam ochotę widzieć któregokolwiek z Winthropów – ani Beanie, ani jej męża Howella juniora, ani najstarszego syna Bobo, ani też jego młodszego rodzeństwa – Amber–Jean i Howella trzeciego.

Choć trudno w to uwierzyć, nazwisko panięńskie Beanie brzmiało Bobo – Beatrice (Beanie) Bobo. Bobowie zaliczali się do szóstego pokolenia arystokracji stanu Arkansas. W skrytości ducha podejrzewałam, że po DNA Beanie płacze się gdzieś jeszcze gen posiadaczki niewolników.

– Tu jestem, Lily! – zawołała Beanie z przesadną radością, zupełnie jakbym siedziała jak na szpilkach, czekając, aż się pojawi.

Nie potrafi normalnie wejść do pokoju, zawsze zachowuje się, jakby występowała na scenie. Teraz stanęła w drzwiach, jak postać z angielskiej

komedii: atrakcyjna lady Beatrice w drodze na lekcję tenisa przystaje, by porozmawiać z pokojówką.

Co prawda, to prawda – atrakcyjności nie można jej odmówić. Ma czterdzieści parę lat, ale jej ciało jakby o tym zapomniało. Chociaż na twarzy nie jest zbyt urodziwa, osiągnęła prawdziwe mistrzostwo w wykorzystywaniu do maksimum swoich atutów. Długie gęste włosy farbuje na kasztanowaty brąz, szklami kontaktowymi przyciemnia piwne oczy, a opaleniznę w zimie zawsze podretuszowuje jedną lub dwoma sesjami w solarium tygodniowo.

– Posłuchaj, Lily, z tym Pardonem to straszna tragedia, nie sądzisz? – Beanie najwyraźniej miała ochotę pogawędzić. – Chodziłam do szkoły średniej z jego młodszą siostrą! Nawet wtedy Pardon nie zaliczał się do ludzi najłatwiejszych w obejściu, ale żeby tak zginąć... Ludzkie pojęcie przechodzi! Czy to nie okropne?

– Owszem.

– Aha... posłuchaj, Lily, gdybyś znalazła książeczkę czekową Bobo, proszę, połóż ją na moim biurku. Od pół roku nie sprawdzał wyciągów i obiecałam, że się tym zajmę. Chociaż nie wiem, skąd mu przyszło do głowy, że znajdę na to czas!

– Oczywiście.

– Aha, i jeszcze jedno, Lily. Bobo powiedział mi, że trenujesz karate. Czy to prawda?

– Tak.

Wiedziałam, że zachowuję się nieuprzejmie, ale byłam w koszmarnym nastroju.

Wściekłam się na samą myśl, że Winthropowie wzięli mnie na języki. Przeważnie uważam Beanie za zabawną i znośną osobę (ona chyba czuje to samo wobec mnie), ale dzisiaj zirytowała mnie ponad miarę.

– Wiesz, zawsze chcieliśmy, żeby Bobo trenował taekwondo, ale w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby go tego nauczyć, oprócz tego faceta, który zbankrutował po pół roku. U kogo bierzesz lekcje?

– U Marshalla Sedaki.

– Gdzie? W Body Time?

– Uczy tylko dorosłych karate *goju-ryu* w poniedziałki, środy i piątki wieczorem w sali aerobiku w Body Time. Od wpół do ósmej do wpół do dziewiątej.

Te trzy wieczory były dla mnie absolutnie najważniejszymi wydarzeniami tygodnia.

Beanie doszła do wniosku, że przestałam się na nią boczyć, i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Nie sądzisz, że mógłby przyjąć Bobo? Chłopak ma siedemnaście lat i mimo że trudno mi to przyznać, jest praktycznie dorosły – powiedziała, po czym dodała ponuro: – Przynajmniej fizycznie.

– Nie zaszkodzi zapytać – odpowiedziałam. Moim zdaniem, nie było najmniejszych szans, żeby Marshall przyjął tak rozpuszczonego chłopaka jak Bobo, ale to nie mój interes.

Sam może jej o tym powiedzieć.

– I chyba tak zrobię – odparła Beanie, notując coś w małym kołonotatniku, który zawsze trzyma w torebce. (Zauważyłam, że Beanie i Claude Friedrich mają przynajmniej jedną cechę wspólną).

Z pewnością zatelefonuje. Jedną z kilku rzeczy, które podziwiam u tej kobiety, jest oddanie dzieciom.

– A więc dobrze – zakończyła Beanie, unosząc głowę i odwracając się lekko, jakby już znalazła się za drzwiami. – Odświeżę się tylko przez minutkę i pędzę do klubu. Nie zapomnij o książeczce czekowej, proszę!

– Nie zapomnę.

Pochyliłam się, żeby podnieść z podłogi bluzę od dresu, którą Bobo zapewne czyścił przednią szybę swojego samochodu.

– Wiesz co? – po chwili namysłu dorzuciła Beanie. – Pardon był współnikiem tego twojego Marshalla Sedaki.

– Co? – Bluzka od dresu wypadła mi z rąk. Szukałam jej dookoła po omacku, mając nadzieję, że źle usłyszałam.

– Tak – stwierdziła Beanie zdecydowanie. – Właśnie tak. Howell junior powiedział mi kiedyś o tym. Pomyślałam sobie, że to zabawne, bo Pardon w ogóle nie dbał o kondycję. Nie chodził nigdzie, jeżeli tylko mógł tam dojechać. Ale interes z siłownią bardzo mu się opłacił.

Musiał na nim zarobić kokosy. Ciekawe, komu to wszystko zapisał?

Nie zareagowałam. Nadal wrzucałam brudne ubrania do plastikowego kosza. Kiedy wreszcie spojrzałam w górę, Beanie wyszła, a chwilę później z dużej łazienki przylegającej do głównej sypialni dobiegł mnie charakterystyczny chlupot.

Gdy usłyszałam trzask drzwi do garażu, powiedziałam na głos: – Powinnam się grzeczniej zachowywać wobec mojej pani, bo inaczej spuści mnie po brzytwie.

Naprawdę nie powinnam być dla niej nieuprzejma – powiedziałam sobie, tym razem zupełnie poważnie. W końcu płacą mi za dwa sprzątnia w tygodniu.

Do pani Hofstettler też chodzę dwa razy w tygodniu, ale liczę jej taniej – o wiele taniej – bo znacznie mniej czasu i wysiłku zabiera mi doprowadzenie do porządku jej trzypokojowego mieszkania niż ogromnego domu Winthropów, a poza tym dzieciom Beanie nie zdarzyło się jeszcze choćby kiwnąć palcem w tej sprawie. Gdyby chociaż przyszło im do głowy wrzucać brudne ubrania do kosza i nie śmiecić tak koszmarne w swoich

pokojach, mogliby zaoszczędzić rodzicom całkiem sporą część mojej pensji.

Zwykle udaje mi się zachować obojętność wobec zwierzeń Winthropów, lecz dzisiaj rano słowa Beanie wytrąciły mnie z równowagi. Czy Marshall naprawdę wszedł w spółkę z Pardonem Albee? Ani słowem nie wspomniał o żadnym wspólniku w interesie, który zbudował od podstaw. Chociaż Marshall i ja znaleźliśmy się – a raczej nasze ciała znalazły się pewną dziwną, bezosobową zażyłością płynącą ze wspólnych ćwiczeń w siłowni i z treningów karate – zrozumiałam, że tak naprawdę bardzo niewiele nawzajem wiedzieliśmy o swoim codziennym życiu.

Zdziwiłam się, dlaczego informacja na temat Marshalla wywołała we mnie aż tak silną reakcję. Co za różnica: miał czy nie miał za wspólnika akurat Pardon Albee? Nieważne, jak było ciemno, wiem, że poznałabym Marshalla, gdyby to on włókł ciało do parku.

Ta myśl sprawiła, że poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Z całych sił skupiłam się na tym, co zostało mi jeszcze do zrobienia. Znalazłam zabłąkaną książeczkę czekową Boba i położyłam na toalecie jego matki, gdzie z pewnością ją zauważy. Myślenie wpływało niekorzystnie na tempo mojej pracy. Musiałam jeszcze uporządkować pokój Howella trzeciego – chociaż skłonnością do niechlujstwa nie dorównuje Bobo, trudno go zaliczyć do wzorów schludności.

We wtorki u Winthropów zbieram brudne ubrania, piorę je, suszę i odkładam na miejsce, a potem sprzątam łazienki. W piątki odkurzam i mopem ścieram na mokro podłogi.

Winthropowie zatrudniają też kucharkę, która im gotuje – w przeciwnym razie musiałabym do nich przychodzić trzy razy w tygodniu. Oczywiście w piątki muszę też odgruzowywać mieszkanie, żebym w ogóle miała co

odkurzać, i po raz kolejny wściekam się na ludzi, którzy są tak leniwi, że wolą komuś płacić za sprzątanie.

Po kilku głębokich wdechach uspokoiłam się. Wreszcie zrozumiałam, że z równowagi wyprowadzili mnie nie rozrzutni Winthropowie – na ich trybie życia mogę tylko skorzystać – ani nawet domniemana współpraca Marshalla Sedaki z Pardonem Albee, lecz zbliżające się nieuchronnie spotkanie z Claude'em Friedrichem.

ROZDZIAŁ 3

Przyszedł punktualnie co do minuty.

Gdy zrobiłam krok do tyłu, by go wpuścić, znów zdumiały mnie jego wzrost i aparycja. Przypomniałam sobie, że najważniejsze to nie okazywać strachu. Gdy już dodałam sobie otuchy tym małym odkrywczym filozoficznym stwierdzeniem, okazało się, że nie pozostało mi nic innego jak tylko zachować kamienny wyraz twarzy, który bezstronny obserwator mógł równie dobrze zinterpretować jako ponury.

Przyglądał się moim nielicznym meblom kupionym na wyprzedażach w najdroższych miejscowych sklepach. Starannie je dobrałam i ustawiłam dokładnie tam, gdzie mi pasowały.

Ze względu na niewielkie rozmiary salonu zdecydowałam się na rozkładaną dwuosobową kanapę zamiast sofy, fotel z uszakami, małe stoliki, małe obrazy. Telewizor mam też niezbyt duży. Żadnych zdjęć. Są za to książki z biblioteki, wielki stos, pod blatem małego stolika obok fotela. Zarówno tapicerka, jak i obrazy utrzymane są w dwóch dominujących kolorach: granatowym i jasnobrązowym.

– Jak długo mieszka pani w tym domu? – zapytał Friedrich, gdy zakończył lustrację.

– Kupiłam go cztery lata temu.

– Od Pardona Albee?

– Tak.

– I nabyła go pani tuż po przyjeździe do Shakespeare?

– Najpierw go wynajęłam, ale z opcją kupna.

– Co pani właściwie robi? Jak pani zarabia na życie, pani... czy też panno Bard?

Nie obchodzą mnie tytuły ani poprawność polityczna. Nie zdradziłam mu dotąd swojego stanu cywilnego, więc oczekiwał, że go poprawię.

– Sprzątam po domach.

– A oprócz tego?

A więc odrobił zadanie. A może od samego początku znał każdy szczegół mojego życia w Shakespeare? No bo co może mieć do roboty komendant policji w tak małym mieście?

– Niewiele. – Widziałam, że aż go korci, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Uniesione brwi miały mi pewnie zasugerować, że zachowuję się nieuprzejmie, zbywając go tak krótkimi odpowiedziami. Pewnie miał rację. Westchnęłam. – Załatwiam różne sprawy starszym ludziom. Pomagam tym, którzy wyjeżdżają z miasta i nie mogą liczyć na sąsiadów. Robię im zakupy przed powrotem do domu, karmię psy, koszę ogrody i podlewam kwiaty.

– Jak dobrze znała pani Pardona Albee?

– Jak pan już wie, kupiłam od niego ten dom. Sprzątam kilka mieszkań w budynku, którego był właścicielem, ale z najemcami umawiam się indywidualnie. Parę razy sprzątałam też u niego. Co jakiś czas przelotnie go widywałam.

– Czy utrzymywała pani z nim bliższe kontakty?

Prawie wyrwałam się z odpowiedzią, zanim zrozumiałam, że mnie podpuszcza.

Zamknęłam usta i odetchnęłam głęboko.

– Nie utrzymywałam z panem Albee bliższych kontaktów.

Mało powiedziane. Właściwie zawsze czułam do niego fizyczną odrazę. Był jakiś taki biały, sflaczały i nieruchawy. Zupelnego braku kondycji nie rekompensowały żadne przymioty ducha.

Friedrich z uwagą przyglądał się swoim dłoniom, a później zaplótł je. Pochylił się ku mnie, wspierając łokcie na udach.

– Wróćmy do zeszłej nocy – zagadnął, rzucając mi nagłe spojrzenie.

Posadziłam go na małej dwuosobowej kanapie, a sama wybrałam uszak. Nie kiwnęłam głową, nie odezwałam się pierwsza. Czekałam.

– Czy zauważyła pani coś niezwykłego? – wyprostował się nagle, patrząc wprost na mnie.

– Niezwykłego.

Staralam się wyglądać na zamyśloną, lecz poczułam, że udało mi się tylko przywołać na twarz znajomy grymas uporu.

– Położyłam się spać koło jedenastej – powiedziałam w końcu pośpiesznie. Była to prawda, chociaż za pierwszym razem nie mogłam zasnąć. – Marie, to znaczy pani Hofstettler, powiedziała mi dzisiaj rano, że na ulicy przy parku zrobiło się spore zamieszanie, ale obawiam się, że nic z tego do mnie nie dotarło.

– Ktoś telefonował do mnie około wpół do trzeciej w nocy – powiedział miękko Friedrich. – Kobieta. Powiedziała, że w parku po przeciwnej stronie ulicy znajdę ciało.

– Naprawdę?

– Naprawdę, panno Bard. Myślę, że coś widziała. Wie, jak ciało znalazło się w parku, i przestraszyła się, bo widziała, kto to zrobił. Boi się tego kogoś. A może pomogła podrzucić zwłoki do parku i zrobiło jej się żal na myśl o tym, że biedak będzie tam leżał przez całą noc, a rano będzie cały mokry od rosy? Myślę więc, że kimkolwiek jest ta kobieta, z jakiejś przyczyny zaniepokoiła się losem doczesnych szczątków Pardona. Bardzo chciałbym z nią o tym porozmawiać.

Czekał.

Zrobiłam wszystko, co się da, żeby przybrać obojętny wyraz twarzy.

Policjant westchnął ciężko.

– Okej, panno Bard. Nic pani nie widziała, nic pani nie wie. Ale jeżeli coś się pani przypomni – jego słowa aż ociekały ironią – proszę do mnie zadzwonić, w dzień lub w nocy.

Komendant Claude Friedrich wzbudzał tak duże zaufanie, że mało brakowało, a zwierzyłabym mu się ze wszystkiego. Pomyślałam jednak o swojej przeszłości. Gdy wyjdzie na jaw, zniszczy spokojną i stabilną egzystencję, jaką stworzyłam dla siebie w miasteczku.

Zorientowałam się, że mam do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem. Gdy otrząsnęłam się z zadumy, zauważyłam, że czeka, jak zareaguję na jego słowa. Wiedział, że zastanawiam się, czy czegoś mu nie powiedzieć.

– Do widzenia – powiedziałam i wstałam z fotela, żeby go odprowadzić do drzwi.

Wychodząc, Friedrich wyglądał na rozczarowanego. Ale nic nie powiedział, a w pożegnalnym spojrzeniu popielatych oczu nie było wrogości.

Gdy zamknęłam za nim drzwi na klucz, ni stąd, ni zowąd zorientowałam się, że był chyba dopiero piątą osobą, którą wpuściłam do domu w ciągu ostatnich czterech lat.

We wtorkowe popołudnia o wpół do szóstej zaczynam sprzątanie w gabinecie dentystycznym. Kiedy przeniosłam się do Shakespeare i żyłam z oszczędności (a właściwie z tego, co mi zostało po opłaceniu rachunków za leczenie, których nie pokrywała moja polisa ubezpieczeniowa), musiałam wyrobić sobie markę u klientów. Nieufny doktor Sizemore czekał na mnie, patrzył, jak sprzątam, a gdy wychodziłam, zamykał za mną drzwi. Teraz mam własny klucz i sama dobieram płyny czyszczące. Doktor Sizemore woli taki układ, a ja doliczam ich koszty do rachunku. Wszystko mi jedno, czy używam własnych środków, czy klienta. Tak jak oni, mam swoje

ulubione. Chcę być Lily Bard – sprzątaczką, a nie złotą rączką ani dziewczyną do wszystkiego. Nic, co sugerowałoby biznes na dużą skalę.

Nieoficjalnie to, co robię, nazywam Usługami Porządkowymi w Shakespeare. Gdy podejmowałam decyzję, że będę się utrzymywać ze sprzątania, nie mogłam sobie wyobrazić bardziej bezosobowego zajęcia, jednak wkrótce okazało się, że byłam w błędzie.

Nie tylko poznaję osobiste szczegóły z życia moich zleceniodawców (na przykład doktor Sizemore traci włosy i bierze leki przeciwko zaparciom), lecz niekiedy mimo woli dowiaduję się o nich więcej, niż bym chciała.

Czasami podczas pracy zabawiam się, układając teksty do fikcyjnej rubryki dwutygodnika *Shakespeare Journal*. „Ostatnio doktor John Sizemore otrzymał fakturę za prenumeratę bogato ilustrowanych czasopism – i wcale nie były to magazyny poświęcone tematyce medycznej – więc gdzieś je musi ukrywać... Jego recepcjonistka Mary Helen Hargreaves (w miejscowym dialekcie jej imię brzmiało Heln) maluje w pracy paznokcie, a podczas przerwy na lunch czyta angielskie powieści kryminalne... Pielęgniarka Linda Gentry skończyła dziś serię pigułek antykoncepcyjnych, a więc kiedy następnym razem przyjdę sprzątać, w koszu znajdę tampaksy”.

Kogo jednak mogła zaciekawić taka rubryka? Tego rodzaju informacje same w sobie nie interesują nikogo, chociaż byłam jedną z pierwszych osób, które wiedziały, że Jerri Sizemore wystąpiła o rozwód (list od adwokata leżał otwarty na biurku Johna Sizemore’a), a w zeszłym tygodniu odkryłam, że Bobo Winthrop uprawiał z kimś bezpieczny seks, podczas gdy jego rodzice balowali w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym za miastem.

Wiem bardzo wiele o wielu ludziach, nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy dzielić się tym z kimkolwiek. Ale śmierć Pardona Albee... – pewnie

kiedyś będę musiała o niej opowiedzieć.

Podświadomie czułam, że będzie to oznaczać kres mojego dotychczasowego życia. Może i nie jest usłane różami, ale tylko takie mi zostało. Poza tym jest znośne.

Próbowałam innych, ale to odpowiada mi najbardziej.

Skończyłam pracę o wpół do ósmej. Starannie zamknęłam drzwi na klucz i wróciłam do domu. Na kolację przygotowałam pierś z kurczaka, brokuły z parmezanem i zagryzłam bułką. Posprzątałam w kuchni, posnułam się bez celu po domu, próbowałam przeczytać książkę z biblioteki, zatrzasnęłam ją z hukiem, a na koniec włączyłam telewizor.

Zapomniałam spojrzeć na zegarek i niechcący trafiłam na wiadomości. Przed moimi oczami rozgrywały się dantejskie sceny: kobiety trzymały krzyczące z przerażenia dzieci, wybuchały bomby, ulice były zasłane bezwładnymi ciałami w objęciach śmierci. Zobaczyłam twarz jednej ze zrozpaczonych kobiet, której rodzina znajdowała się pod gruzami, i zanim zdążyłam zmienić kanał, po twarzy pociekły mi łzy.

Od lat oglądanie programów informacyjnych jest ponad moje siły.

ROZDZIAŁ 4

W środowe ranki mam więcej swobody. Przeznaczam je na nagłe wypadki (specjalne sprzątanie u pań przed partyjką brydża, przyjęcie z okazji narodzin dziecka) albo wykonuję zamówienia specjalne, na przykład pomoc w sprzątaniu strychów. W tę środę od dawna byłam umówiona z Alvą York na wiosenne porządki. Alva przestrzega tego rytuału, mimo że wraz z mężem T.L., byłym listonoszem, przenieśli się z domu do jednego z mieszkań w bloku Pardona Albee po przejściu T.L. na emeryturę.

Dwa lata wcześniej pomogłam Alvie porządnie wysprzątać dom z trzema sypialniami. Zaczęła jeszcze przed moim przyjściem i wcale nie miała zamiaru kończyć w południe, kiedy wychodziłam. Ale od czasu przeprowadzki bardzo podupadła na zdrowiu i rzeczywiście w tym roku sama może nie poradzić sobie z trzema pokojami.

Yorkowie mieszkają na parterze obok Marie Hofstettler, a ich drzwi wejściowe wychodzą wprost na apartament, który Pardon Albee zachował dla siebie. Nie mogłam się powstrzymać i pukając do Yorków, rzuciłam na nie okiem. Drzwi oklejała policyjna taśma.

Zdziwiłam się, że wygląda dokładnie tak samo jak w telewizji. Kto chciałby się dostać do jego apartamentu? Kto oprócz niego mógł mieć klucz? Domyślałam się, że miał w mieście krewnych, o których nie wiedziałam. Każdy mieszkaniec Shakespeare jest bliżej lub dalej spokrewniony przynajmniej z kilkoma innymi. Od tej reguły istnieją bardzo nieliczne wyjątki.

Poza tym jak zginął? Na głowie miał ślady krwi, ale nie przyjrzałam mu się bliżej. Wtedy w parku byłam zbyt przerażona, poza tym ogarnął mnie wstręt. Spojrzałam na tarczę swojego dużego męskiego zegarka.

Punktualnie ósma. Jedną z cnót podstawowych, które najbardziej ceni sobie Alva, jest punktualność.

Gdy otworzyła mi drzwi, wyglądała okropnie.

– Nic pani nie jest? – wyrwało mi się mimo woli.

Siwe włosy kobiety sterczały na wszystkie strony, najwyraźniej nie uczesała ich ani nie zakręciła, a spodnie i bluzkę dobrała na chybił trafił.

– Nie. Wszystko w porządku – westchnęła ciężko. – Wejdz. T.L. i ja właśnie kończymy śniadanie.

Yorkowie zwykle wstają o wpół do szóstej, a przed wpół do dziewiątej kończą śniadanie, ubierają się i wychodzą na spacer.

– Kiedy wróciła pani do domu? – zapytałam. Nie miałam w zwyczaju wtykać nosa w nie swoje sprawy, lecz chciałam zająć Alvę rozmową. Zwykle po wyjeździe za miasto nie może się doczekać, żeby pochwalić się wnukami i córką, a nawet od czasu do czasu postacią drugoplanową, na przykład ojcem wnuków i mężem tejże córki. Dzisiaj w milczeniu podreptała przede mną do salonu.

T.L., siedząc w małym kąciku jadalnym, bardziej przypominał siebie. Zaliczał się do osób, z którymi rozmowa w trzech czwartych składała się z oklepanych zwrotów.

– Dzień dobry, Lily! Jesteś śliczna jak zawsze. Zapowiada się piękny dzień.

Ale i on sprawiał wrażenie przygnębionego. Mówił głuchym głosem, a gdy wstał zza stolika, zauważyłam, że porusza się mniej sprężysto. Dzisiaj rano naprawdę podpierał się laską z fantazyjną srebrną główką, którą córka dała mu w prezencie pod choinkę.

– Tylko się ogolę, moje panie – mruknął dzielnie – a potem schodzę wam z drogi.

Złożył gazetę obok swojego miejsca przy stole i wyszedł. T.L. jest wysokim, byстрыm, siwowłosym mężczyzną. Ostatnio trochę przytył, ale mimo ciężkiej pracy fizycznej, jaką wykonywał przez całe życie, zachował sporo sił. Patrzyłam, jak dał nura do sypialni. W jego zachowaniu zauważyłam jeszcze jedną różnicę. Po chwili rozjaśniło mi się w głowie: Dzisiaj rano milczał, choć zwykle pogwizduje pod nosem, najczęściej piosenki country and western lub hymny religijne.

– Może jednak powinnam przyjść kiedy indziej?

Alva sprawiała wrażenie zaskoczonej pytaniem.

– Nie, Lily. Jesteś kochana, że tak o mnie dbasz. Ale im wcześniej zacznę porządki, tym lepiej.

Moim skromnym zdaniem, lepiej byłoby, gdyby wróciła do łóżka. Mimo to zaczęłam znosić do kuchni naczynia po śniadaniu, czego nigdy wcześniej nie musiałam robić u Yorków. Z tego rodzaju rzeczami Alva zwykle doskonale sobie dotąd radziła.

Zmyłam naczynia, wytarłam i odłożyłam na miejsce. Alva nie odezwała się ani słowem. Siedziała, tuląc w dłoniach filiżankę z kawą. Wpatrywała się w ciemny płyn, jakby z jego fusów chciała wywróżyć przyszłość. Ogolony T.L. wynurzył się z sypialni. Na zewnątrz sprawiał wrażenie wesołego, ale nadal nie gwizdał.

– Wybieram się do fryzjera, kochanie – oznajmił żonie. – Tylko mi się z Lily nie przepracujcie.

Pocałował ją i wyszedł.

Nie miałam racji, podejrzewając, że Alva ożywi się po wyjściu męża. Nadal w zadumie sączyła kawę. Poczułam, jak ciarki przebiegają mi po plecach. Wiele razy pracowałam z nią ramię w ramię od samego rana, lecz teraz ta siedząca przy stole kobieta wydawała się kimś zupełnie obcym.

Alvie dokucza rwa kulszowa. Ma coraz większe trudności z poruszaniem się, ale zwykle jest praktyczną, dobroduszną kobietą, która wie dokładnie, co chce zrobić, w jakiej kolejności, i potrafi to zwięźle przekazać. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy czują się dotknięci jej prostolinijnością – zresztą miałam okazję się o tym przekonać na własne oczy – ale osobiście nigdy nie miałam nic przeciwko temu. W jej głowie nie kołocze się zbyt wiele niewypowiedzianych myśli, nie zalicza się też do osób przesadnie taktownych, ale jest dobra, uczciwa i serdeczna.

Chwilę później zobaczyłam zakupy, które przyniosłam Yorkom w poniedziałek po południu. Leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiłam. Nikt nie tknął kostki masła ani sałaty w lodówce. Jedno z nich musiało jednak rozpakować ręczniki kuchenne – zauważyłam nową rolę na wieszaku – a chleb schować do chlebaka.

Do tego, co już powiedziałam, nie mogłam dodać nic więcej. Pani domu nie poinstruowała mnie, od czego mam zacząć, więc starałam kuchnię na mokro.

Lubi porządkować mieszkanie w określonej kolejności. Przypomniałam sobie, od czego zwykle zaczyna – od zasłon. Rzeczywiście, zdążyła je zdjąć z okien pokoju wychodzącego na ulicę. A więc do niedawna funkcjonowała zupełnie normalnie. Zabrałam się do czyszczenia żaluzji od strony mieszkania. Były zakurzone. Domyśliłam się, że w tym miejscu przerwała pracę.

– Czy coś jest nie tak? – zapytałam niepewnie.

Alva długo milczała. Zaczęłam mieć nadzieję, że nie powie mi, o co chodzi, jednak wreszcie się odezwała.

– Nie mówiliśmy o tym nikomu – powiedziała zbolalym głosem. – Ten facet z Creek County, Harley Don Murrell, skazany za gwałt... ten drań... to on zgwałcił naszą wnuczkę Sarę.

Czułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

– Co się stało? – zapytałam, siadając naprzeciwko.

– Dzięki Bogu, że nie podają nazwiska ofiary w gazecie ani w wiadomościach – powiedziała. – Już wyszła ze szpitala, ale T.L. uważa, że powinna trafić do innego. Do psychiatrycznego. Ma dopiero siedemnaście lat. Co gorsza, nie może liczyć na męża. Jest wściekły, że właśnie jej coś takiego się przytrafiło. Powiedział, że gdyby nie nosiła obcisłego trykotu i legginsów, ten drań zostawiłby ją w spokoju.

Westchnęła, nadal wpatrzona w filiżankę do kawy. Gdyby spojrzała w górę, zobaczyłaby zupełnie inną kobietę, ale miałam nadzieję, że tego nie zrobi. Bardzo szeroko otworzyłam oczy, żeby powstrzymać cisnące się do nich łzy.

– Właśnie że by jej nie zostawił – stwierdziłam.

Pochłonięta własnym nieszczęściem Alva odpowiedziała: – Ja to wiem, jej matka to wie i ty to wiesz. Ale mężczyźni zawsze się dziwią i niektóre kobiety też. Szkoda, że nie widziałas tej zdziry, żony Murrella, jak siedziała tam w sądzie. Powinna była siedzieć w domu i kulić się ze wstydu. Zachowywała się tak, jakby nie miała pojęcia, co wyprawia jej mąż. Mówiła dziennikarzom, że Sara to... zła dziewczyna, że wszyscy w hrabstwie Creek wiedzieli, jak go podpuszczała...

Rozpłakała się.

– Na szczęście drań poszedł siedzieć – pocieszyłam ją.

– Tak – przyznała. – Płakał, krzyczał, że Bóg mu świadkiem. Na nic mu się to zdało, dostał to, na co zasłużył. Ale kiedyś wyjdzie, chyba że ktoś go zabije w więzieniu. O to się modlę, chociaż kto wie, czy Pan Bóg mnie kiedyś za to nie potępi. Mówią, że więźniowie nie lubią gwałcicieli ani tych, co molestują małe dzieci. Może ktoś go tam zatłucze w nocy?

Znałam ten ton i te słowa. Na chwilę ogarnęła mnie fala paniki. Dobrze, że Alva, pogrążona we własnych myślach, nie zwracała na mnie uwagi. Podświadomie uniosłam rękę do piersi, dotknęłam jasnożółtego T-shirtu i wyczułam pod nim ślady blizn.

– Alva, mogę tylko posprzątać – wykrztusiłam wreszcie.

– W takim razie bierzmy się do roboty – powiedziała drżącym głosem. – Może nam to dobrze zrobi?

Przez trzy godziny sprzątałyśmy nieduże mieszkanie, odkurzając rzeczy, które nigdy nie były zakurzone, i porządkując te, które nigdy nie były w nieładzie. Alva żyje skromnie.

Zawsze myślałam, że świetnie by sobie radziła na łodzi. Wszystko, co zbyteczne, bezwzględnie wyrzuca, a resztę rzeczy układa logicznie w taki sposób, by zajmowało jak najmniej miejsca. Podziwiam ją. Mam podobne skłonności, chociaż pocieszam się, że ich objawy przebiegają łagodniej. Gdy ścierałam szafki w łazience, przyszło mi do głowy, że Alva ma dość ograniczone zainteresowania, a więc sprzątanie to jedna z nielicznych możliwości wyrażenia własnego ja. Co prawda, kiedyś widziałam, jak haftuje jakieś proste wzory, ale nie czyta ani nie szyje. Nieszczerze interesuje ją też gotowanie czy telewizja.

Zamiast tego sprząta.

To poważne ostrzeżenie przed tym, co może mnie czekać w przyszłości.

– A co z przyczepą? – zapytałam, kiedy uznałam porządki w mieszkaniu za zakończone.

– Z czym? – zapytała.

– Zwykle sprzątamy też w przyczepie – przypomniałam jej.

Yorkowie mają przyczepę mieszkalną i pikapa. Kiedy odwiedzają córkę, parkują na podjeździe i tam mieszkają. Często mi tłumaczyli, że mogą sobie rano zaparzyć kawę albo położyć się spać, kiedy mają ochotę, i nikomu to

nie przeszkadza. Bardzo często opowiadali mi też o Sarze, najmłodszym dziecku ich córki. Trzeba przyznać, że była rozpuszczona. W zeszłym roku ni stąd, ni zowąd postanowiła wyjść za chłopaka równie młodego jak ona.

Małżeństwo okazało się nieudane. Mimo to Yorkowie zawsze mieli bzika na jej punkcie.

– Pamiętasz, jak Pardon dawał nam popalić za tę przyczepę? – spytała niespodziewanie.

Pamiętałam. Po obu stronach garażu dla mieszkańców między ścianą i ogrodzeniem znajduje się wolna przestrzeń, mniej więcej szerokości samochodu. Yorkowie poprosili o pozwolenie na zaparkowanie przyczepy na miejscu od północy. Pardon najpierw wyraził zgodę, ale później rozmyślił się i stwierdził, że wystaje zbyt daleko i utrudnia parkowanie innym mieszkańcom.

Nie była to moja sprawa, więc nie zwróciłam na to uwagi. Ale wspominali o tym Yorkowie, widziałam też, jak po parkingu chodził Pardon z taśmą mierniczą. Kręcił głową z niezadowoleniem, zupełnie jakby chciał zbesztać przyczepę za to, że weszła mu w szkodę.

Pardon Albee często robił wiele hałasu o nic. Rzadko zdarzało się, że coś sobie lub komuś odpuszczał.

Specjalista od wywoływania wilków z lasu.

Alva znów się rozplakała.

– Lepiej już idź, Lily – powiedziała. – Przez to wszystko sama nie wiem, jak się nazywam. Kilka ostatnich dni na procesie to było prawdziwe piekło. Ale w przyszłym tygodniu na pewno mi przejdzie.

– No pewnie – zgodziłam się. – Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani chciała rozwiesić zasłony albo posprzątać w przyczepie.

– Na pewno zadzwonię – obiecała.

Nie przypomniałam jej o tym, że mi nie zapłaciła. Po tym też mogłam się zorientować w stanie jej umysłu, bo zawsze skrupulatnie pamięta o regulowaniu należności.

Przecież mogę wpaść jutro – pomyślałam. Może wtedy chociaż trochę wróci do siebie po procesie Murrella?

Co innego Sara. Wiedziałam, że będzie cierpiała przez całe tygodnie, miesiące, a nawet lata... Gdy miałam wychodzić z budynku, we frontowych drzwiach pojawiła się Deedra Dean. Jak pech, to pech. Nie znoszę Deedry, zwłaszcza od czasu naszej rozmowy w ubiegłym tygodniu. Stałyśmy przy drzwiach jej mieszkania na piętrze. Wpadła do domu na szybki lunch i przygotowywała się do wyjścia do ratusza, gdzie prawie zarabiała na siebie jako urzędniczka.

– Cześć, gosposiu! – zawołała, najwyraźniej w szampańskim humorze. – Posłuchaj, miałam ci o tym powiedzieć... W zeszłym tygodniu po pracy zapomniałaś zamknąć drzwi na klucz.

– Niemożliwe – odparłam zdecydowanie. W mojej pracy bardzo ważna jest niezawodność, może nawet ważniejsza niż wzorowe utrzymywanie porządku. – Nigdy nie zapominam o takich sprawach. Może ty nie zamknęłaś, ale ja na pewno.

– Ale w zeszły piątek, kiedy wróciłam do domu, były otwarte – upierała się Deedra.

– Zamknęłam je na klucz, kiedy wychodziłam – nie dawałam za wygraną. – Chociaż – dodałam, nagle sobie o czymś przypominając – kiedy schodziłam na dół, spotkałam Pardona, a on ma przecież uniwersalny klucz do wszystkich mieszkań.

– Tylko po co miałyby do mnie wchodzić? – spytała, ale w jej głosie wyczułam, że pomysł ten wcale nie wydał jej się aż tak nedorzeczny.

Zauważyłam, że im dłużej się nad tym zastanawia, tym wyraźniej na jej twarzy maluje się... no cóż, jakaś dziwna mieszanina gniewu i niepokoju. Zaintrygowały mnie wizualne efekty procesów myślowych odbijających się echem w pustej głowie mojej rozmówczyni.

Deedra Dean. Deedra o lśniących blond włosach, zmysłowej figurze i twarzy oszpeconej brakiem podbródka. Zawsze nosi jasny makijaż i zachowuje się z przesadnym ożywieniem, żeby odwrócić uwagę od tego poważnego defektu urody. Wprowadziła się do bloku trzy lata temu i spała ze wszystkimi mężczyznami, którzy kiedykolwiek tam mieszkali oprócz (zapewne) Pardona Albee i (prawie na pewno) T.L. Yorcka. Matka Deedry – urocza, dobrze sytuowana wdowa, która ostatnio ponownie wyszła za mąż – bardzo pomaga jej finansowo. Lacey Dean Knopp najwyraźniej odnosi wrażenie, że córka znajduje się na etapie poszukiwań swojego księcia z bajki. Tymczasem dla Deedry każdy mężczyzna to księżę z bajki, w każdym razie na noc lub dwie.

Powtarzam sobie, że to nie mój interes, i dziwię się, dlaczego postępowanie tej kobiety doprowadza mnie do białej gorączki. Stopniowo dochodzę do wniosku, że oburza mnie jej całkowity brak szacunku dla samej siebie, przeraża mnie jej skłonność do ryzyka, a jej aktywność seksualna wzbudza we mnie zazdrość.

Ale dopóki jej matka płaci mi na czas, upominam się co dziesięć minut, że Deedra jest dorosłą osobą, przynajmniej metrykalnie, która może sobie układać życie, jak zechce.

– A więc żeby mi się to więcej nie powtórzyło – pouczyła mnie w zeszłym tygodniu, bezskutecznie siląc się na surowość. Resztki szarych komórek Deedry zarejestrowały wreszcie moje oburzenie. – Ach, muszę lecieć! Wróciłam po dowód opłaty ubezpieczenia. W czasie przerwy na

lunch muszę zawieźć auto do przeglądu i nadać na poczcie wniosek o przedłużenie rejestracji.

Chciałam coś powiedzieć na temat jej stylu życia – coś, co poszłoby jej w pięty.

Niestety, prawdopodobieństwo, że cokolwiek do niej dotrze, było znikome. Na dodatek to rzeczywiście nie był mój interes. Przez okno patrzyłam, jak biegnie i wsiada do czerwonego sportowego samochodu, pozostawionego na podjeździe z włączonym silnikiem. Zadek na ten niezbyt solidny, ale szpanerski pojazd wpłaciła Lacey. Deedra powiedziała mi o tym, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

– I co? Wiesz już, czy Pardon myszkował po twoim mieszkaniu? – zapytałam ją dzisiaj.

W korytarzu na parterze nie było nikogo, a ja specjalnie mówiłam cicho. Tak bardzo skupiałam się na własnych myślach, że zapomniałam, iż Deedra może myśleć o czymś zupełnie innym. Obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakbym przed chwilą spadła z księżycy.

– Nie – powiedziała wściekle.

Uniosłam brwi i czekałam.

– I lepiej nie wypapłaj policji, że ze mną o tym rozmawiałaś!

– Co?

– Jeżeli piśniesz choć słowo, nigdy więcej nie dostaniesz żadnej pracy w Shakespeare – zagroziła. – Nie chcę być zamieszana w zabójstwo tego starego piernika.

– Czy naprawę myślisz – odparłam, uśmiechając się ironicznie półgębkiem – że ktokolwiek w tym mieście zrezygnuje z usług tak wspaniałej i godnej zaufania sprzątaczkii jak ja tylko po to, żeby ratować ci skórę?

Zdumiona wybałuszyła niebieskie oczy. W tej samej chwili otworzyły się drzwi na piętrze. Po chwili na schodach pojawił się Marcus Jefferson – przystojny mężczyzna pod trzydziestkę, jedyny czarnoskóry mieszkaniec Apartamentów Ogrodowych. Obrzucił nas pełnym zaskoczenia spojrzeniem, wymamrotał coś na powitanie i przecisnął się do drzwi frontowych, które ciężko zaskrzypiały, z wolna zamykając się za nim.

Odniosłam wrażenie, że dzisiaj blok Pardona zaludniali ludzie zachowujący się co najmniej dziwnie. Gdy znów spojrzałam na Deedrę, twarz jej poczerwieniała. Czekala, aż drzwi zupełnie się zamkną.

Aha. Już wiedziałam, co mogło zmobilizować Pardona Albee do podjęcia działań „w sprawie” Deedry.

– W tym tygodniu tak jak zwykle? – spytałam.

Zatliła się we mnie iskierka nadziei, że ta kobieta nie zechce już więcej korzystać z moich usług. Sprzątam u niej w piątki rano, a to najlepsza pora, bo wszyscy chcą mieć w domu porządek na weekend.

– No... no pewnie. Posłuchaj, zapomnijmy o tym nieporozumieniu z drzwiami. To ja zapomniałam je zamknąć, okej? Dopiero później sobie o tym przypomniałam. Przepraszam, że cię o to podejrzewałam. Jesteś bardzo solidna... – Deedra zamilkła, a na jej twarzy wykwitł fałszywy uśmiech. Gdzie, jak gdzie, ale tu był na swoim miejscu.

W drodze do domu zastanawiałam się, czy tydzień temu Pardon rzeczywiście wszedł do mieszkania Deedry. Jeżeli tak, to po co? Czego tam szukał?

Gdyby interesowały go kompromitujące informacje na temat jej prywatnego życia, znalazłby ich sporo. W górnej szufladzie komody trzyma kilka pornograficznych zdjęć, które zrobił jej jakiś ukochany. Na niektórych występuje w skąpej bieliźnie, a na innych bez. Nie bardzo miałam ochotę zaznajamiać się z tymi szczegółami jej życia, ale do moich obowiązków

należy nastawianie prania i odkładanie suchych ciuchów na miejsce, kiedy sprzątam jej mieszkanie. W tej właśnie szufladzie trzyma bieliznę. Chowa też pod łóżkiem (gdzie odkurzam) różne erotyczne gadzety i kilka okropnych magazynów, do tego zawsze zostawia rozbebeszone łóżko. Kto wie, pewnie znalazłoby się również trochę innych „obciążających” materiałów, które mogłyby zainteresować jej matkę.

Czy Albee ośmieliłby się zatelefonować do matki Deedry, porządnej i przyzwoitej Lacey Dean Knopp?

Takie zagranie było jak najbardziej w jego stylu.

Ledwo zdążyłam wrócić do siebie, zadzwonił dzwonek do drzwi. Wyjrzałam przez judasza i otworzyłam. Tyleż niespodziewanym, co niegroźnym gościem okazał się rzadko widywany sąsiad Carlton Cockroft. Odkąd kupiłam dom, rozmawiałam z nim może trzy, cztery razy do roku.

Od zawsze kojarzy mi się z czymś do jedzenia. W zimie przypomina gorącą czekoladę i karmelki, a w lecie kokosowy zapach płynu do opalania i aromat grilla. Podobne jak ja jest po trzydziestce. Ma czarne włosy, ciemnobrązowe oczy, podbródek z dołkiem i gęste wygięte w łuk brwi. Ładnie pachnie. Jest o jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, a ma niecały metr osiemdziesiąt wzrostu. Mój sąsiad jest uprzejmy, zajęty i heteroseksualny – to wszystko, co o nim wiem.

– Cześć, Lily – zaczął miłym, lecz niewesołym głosem.

– Cześć, Carlton. – Skinęłam mu głową na powitanie, a potem otworzyłam szerzej drzwi, żeby mógł wejść.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a ja zorientowałam się, że nigdy wcześniej nie zaprosiłam go do środka. Szybkim spojrzeniem obrzucił pokój i w przeciwieństwie do mojego pewnego siebie wczorajszego gościa nie bardzo wiedział, co z sobą zrobić.

– Siadaj – powiedziałam, zajmując miejsce w uszaku.

– Lily, przejdę od razu do rzeczy – zaczął, gdy tylko usadowił się na kanapce. Pochylił się naprzód, kładąc łokcie na kolanach. Miał koszulę w granatowo-białą kratę, dżinsy z zaszewkami i sportowe reeboki. Roztaczał wokół siebie aurę swobody, zamożności i komfortu.

Czekałam więc, aż przejdzie do rzeczy. Większość ludzi spodziewa się, że zareagujecie, kiedy wam mówią, iż mają zamiar coś zrobić. Moim zdaniem znacznie ciekawiej jest poczekać i przekonać się, czy rzeczywiście to zrobią.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie, jakby na coś czekał.

Gestem pokazałam mu, żeby powiedział, co go do mnie sprowadza.

– Widziałem, jak wychodziłaś tej nocy, kiedy popełniono morderstwo. – Odczekał chwilę, czekając na mój okrzyk przerażenia. – Wstałem, żeby zażyć pigułki na zatoki, i wyjrzałem przez okno.

– I co z tego? – Wzruszyłam ramionami.

– Lily, z tego mogą być problemy. Nie powiedziałem Friedrichowi ani słowa, ale wypytywał o ciebie. Jeżeli jeszcze ktoś inny cię widział, może zacząć podejrzewać, że masz jakiś związek ze śmiercią Pardona.

Trzymając ręce na kolanach, zastanowiłam się przez chwilę.

– Więc po to tu przyszedłeś? – zapytałam.

– Chciałem cię tylko ostrzec – wyjaśnił, porzucając poprzednią pełną skupienia, lecz jednocześnie odprężoną pozę. – Zawsze trochę się o ciebie niepokoiłem.

Uniosłam brwi ze zdumienia.

– Tak, tak, wiem – powiedział z lekkim uśmiechem. – Nie mój interes. Ale jesteś moją sąsiadką, jesteś bardzo ładna, a skoro mieszkam obok, czuję się trochę odpowiedzialny... Na pewno nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

Przez chwilę miałam zamiar podciągnąć bluzkę i kazać mu się dobrze przyjrzeć, powstrzymałam się jednak. Wszystko, co złe, wszystko, co najgorsze, już mi się przytrafiło.

Ale wiedziałam, że próbował mnie chronić. Nie chciał, żeby mi się coś stało. Wiedziałam, że Carlton uznał, iż właśnie tak powinien zachować się mężczyzna. A ja pomyślałam – co zresztą dość często zdarza mi się podczas kontaktów z mężczyznami – że przysparzają więcej kłopotów, niż są warci.

– Carlton, jesteś moim sąsiadem, a ponieważ jesteś przystojnym facetem i mieszkasz sam, czuję się za ciebie odpowiedzialna – odpowiedziałam.

Poczerwieniał. Zaczął wstawać, ale się opanował.

– Pewnie zasłużyłem sobie na to. Zanim się odezwałem, powinienem był najpierw powtórzyć sobie wszystko kilka razy w myślach, żeby się przekonać, jak to zabrzmiał. Ale do cholery, Lily, nie mam nic złego na myśli.

– Widzę, ale dlaczego uważasz, że moje kłopoty z policją to twoja sprawa? Skąd wiesz, że nie zabiłam Pardona?

Mój przystojny sąsiad spojrzał na mnie, jakby nagle zobaczył syczącą złowrogo głowę hydry. Trafiłam w czuły punkt, odtrącając jego rycerskie zapędy.

– W takim razie... – zaczął chłodno – w takim razie zmarnowałem trochę czasu.

Twojego zresztą też.

Rzuciłam okiem na swoją prawą rękę. Na paznokciu serdecznego palca kątem oka dostrzegłam podejrzaną zadkę. Będę musiała ją spiłować pilnikiem, zanim zrobi się większa.

– Chciałem tylko być dla ciebie miły – powiedział z niedowierzaniem w głosie.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy coś odpowiedzieć.

– Posłuchaj, umawiałeś się ze zbyt wieloma kobietami, którym wydawało się, że jesteś właśnie tym, kogo szukają – powiedziałam.

Przez cztery lata obserwowałam paradę kobiet wchodzących i wychodzących z jego małego domku. Przystojny facet bez żadnych wyraźnych wad ze stałym dochodem. Najlepsza partia we wsi.

– Ale dzięki, że nie powiedziałaś policji o tym, że mnie widziałeś. Tak się składa, że nie mam pojęcia, kto zabił Pardona, i wolałabym nie tracić czasu na przekonywanie o tym władzy.

Uznałam, iż zachowałam się wystarczająco uprzejmie. Jednak Carlton rzucił tylko: „Cześć, Lily”, i wyszedł naburmuszony. W ostatniej chwili opanował się i nie trzasnął drzwiami.

Szukając pilnika do paznokci, kręciłam głową. Gdzieś pod kilkoma warstwami zaskorupiałego nawozu krył się równy gość. Zastanawiałam się, jak wyobrażał sobie przebieg swojej wizyty.

– Lily, jestem przystojnym mężczyzną z sąsiedztwa. Trzymając gębę na kłódkę, okazuję ci, jak bardzo jestem rycerski i jak bardzo można na mnie polegać. Powinnaś się we mnie zadurzyć.

– Dzięki, przystojniaku, który nigdy wcześniej nie zwracałeś na mnie uwagi. Późno w nocy wyszłam załatwić tajemniczą, ale niewinną sprawę. Naprawdę nie jestem dziwaczką, jaką czasami się wydaję, i jestem ci dozgonnie wdzięczna, że ochroniłeś mnie przed brutalnym przesłuchaniem na komisariacie. Jestem absolutnie niewinna, ale mam nieprzepartą ochotę pójść z tobą do łóżka oraz/lub poprosić cię o wypełnienie zeznania podatkowego.

Trochę się pośmiałam sama do siebie. Potrzebowałam tego przed pójściem do następnej pracy. Kilka dni wcześniej zatelefonował do mnie sekretarz Zjednoczonego Kościoła w Shakespeare, prosząc, żebym podała

przekąski i posprzątała po zebraniu zarządu przedszkola, więc za pięć piąta spacerowym krokiem wyszłam z domu. Minęłam blok i znalazłam się na dużym parkingu na końcu mojej ulicy. Przedszkole, w którym co tydzień odbywają się też zajęcia szkółki niedzielnej, mieści się w długim piętrowym budynku za parkingiem. Zadaszone przejście w kształcie litery L łączy je z kościołem, który stoi przy Jamaica Street.

Świątynię z białą iglicą zbudowano z tradycyjnej czerwonej cegły, ale o tej części kompleksu wiem niewiele. Biura pastora i jego sekretarza znajdują się na pierwszym piętrze budynku szkółki niedzielnej.

Jeżeli kiedykolwiek znów zacznę chodzić do kościoła, raczej nie zdecyduję się na Zjednoczony Kościół Shakespeare – lub ZKS, jak nazywają go miejscowi. Powstał w wyniku fuzji wielu konserwatywnych odłamów protestanckich, które postanowiły połączyć swoje dochody, zatrudnić pastora i zbudować obiekt, który posłużyłby wszystkim.

Znaleźli i zatrudnili wielebnego Joela McCorkindale'a i dotąd składali pieniądze, aż wystarczyło na budowę kościoła, a potem szkółki niedzielnej. Wielebny McCorkindale ma prawdziwy talent do zbierania funduszy. Kiedyś widziałam go w akcji. Pamięta wszystkich z imienia i nazwiska. Orientuje się w rodzinnych koneksjach, pyta o dolegliwości, wyraża kondolencje z powodu zgonów, gratuluje sukcesów. Jeżeli kiedykolwiek czegoś nie wie, przyznaje się z pokorą. Ma wspaniałą schludną żonę oraz dwóch zębatych schludnych chłopców i chociaż wierzę, że Joel McCorkindale naprawdę kocha swoją pracę, na samą myśl o nim przechodzą mnie dreszcze.

Nauczyłam się nie lekceważyć tych dreszczy.

O ile wiem, nigdy nie złamał prawa. Prawdopodobnie nigdy go nie naruszy. Czuję jednak, że pod łagodną powierzchownością kotłuje się coś naprawdę straszego. Przez wiele lat żyłam na granicy zupełnego

pomieszania zmysłów. Dlatego teraz szybko i precyzyjnie wykrywam u innych skłonności psychopatyczne.

Dotychczas jedynym przejawem tych skłonności u pastora okazała się decyzja o zatrudnieniu kościelnego. Pewnego ranka w drzwiach plebanii pojawił się pijany jak szewc Norvel Whitbread. Joel McCorkindale wpuścił go do środka, nakarmił i napił strawą duchową (zamiast alkoholu), a na koniec zatrudnił w charakterze konserwatora. Podobnie jak jego pracodawca, Norvel sprawia na zewnątrz dobre wrażenie. Na pozór przestał pić, ma prawdziwy dryg do naprawiania różnych rzeczy, uśmiecha się też do osób chodzących do kościoła. Nie krępuje się wyrażać wdzięczności pastorowi i zgromadzeniu, co wszystkim chwyta za serce.

Chociaż Joel McCorkindale prawdopodobnie ukrywa w swoim mrocznym wnętrzu potwora, monstrum to być może nigdy nie da o sobie znać. Jak dotąd radził sobie doskonale, utrzymując je w ryzach. Natomiast Norvel jest zepsuty do szpiku kości. Wszystko robi na pokaz i nie zdziwiłabym się, gdyby po kryjomu popijał. Nie znam bardziej obłudnej osoby w naszym miasteczku.

Kościół pokrywa Norvelowi czynsz za mieszkanie w Apartamentach Ogrodowych, płaci mu pensję, a jego członkowie regularnie zapraszają go do swoich domów na posiłki. W zamian za to Norvel sprząta budynki kościelne, dwa razy do roku myje okna, codziennie opróżnia kosze i utrzymuje w porządku parking. Do jego obowiązków należą też drobne naprawy. Oprócz tego najął się u Pardona jako dozorca. Ale nie robi niczego, co ma jakikolwiek związek z pracami domowymi, na przykład nie ładuje ogromnej kościelnej zmywarki, nie parzy też ani nie podaje kawy. Te dodatkowe obowiązki przypadają mnie, jeżeli akurat żadna z parafianek nie może ich wykonać bezpłatnie.

W kwartalnym zebraniu rady zarządzającej przedszkolem uczestniczą osoby wybrane na różne kadencje. Podczas tych spotkań panuje ożywiona atmosfera, a mnie prawie zawsze zlecają podawanie kawy i herbatników, bo parafianki podsłuchujące obrady (zależnie od indywidualnego usposobienia) umarłyby ze śmiechu lub wściekłe wypadłyby z sali.

Gdy weszłam, Norvel Whitbread objął się w kościelnej kuchni, znajdującej się w najdalej od kościoła położonej części budynku przedszkola. O blat opierały się wielka miotła i szufelka, na wszelki wypadek zapewniając mu wiarygodne alibi.

– Jak leci (Jagleci), siostró Lily? – wycedził, popijając z puszek jakiś gazowany napój.

– Nie jestem twoją pieprzoną siostrą, Norvel.

– Jak chcesz tu jeszcze pracować, lepiej uważaj, co mówisz, kobieto.

– Jak chcesz tu jeszcze pracować, lepiej przestań dolewać prądu do coli.

Nawet z tej odległości czułam charakterystyczną woń bourbona. Na zdominowanej przez nos chudej i niedożywionej twarzy Norvela pojawiło się osłupienie. Najwyraźniej od dawna nikt szczerze nie rozmawiał z pupilkiem neofitą. Miał na sobie ubranie podarowane przez jednego z członków zgromadzenia – brązowe luźne spodnie i luźną koszulę w pasy.

Sam nigdy nie dokonałby takiego wyboru.

Gdy wyjmowałam dzbanek do kawy na dwadzieścia filiżanek, Norvel ruszył do kontrataku.

– Należę do Kościoła, a ty nie – wysyczał cichym, pełnym nienawiści głosem. – Jak myślisz, komu uwierzą na słowo?

– Coś ci powiem, Norvel. Idź i powiedz im, co chcesz. A oni albo ci uwierzą – a wtedy zwolnią mnie – co oznacza, że następna kobieta, którą tu przyjmą, z największą satysfakcją opowie im o twoim nałogu – albo

wyrzucą ciebie, a przynajmniej zaczną ci się baczniej przyglądać. Moim zdaniem, tak czy inaczej tylko na tym stracisz.

Zawsze starałam się unikać albo ignorować Norvela, ale dzisiaj byłam zdecydowana na konfrontację. Być może moje powściągliwe zachowanie wobec Carltona wyczerpało zasoby uprzejmości na cały dzień, a może zaliczyłam o jedno spotkanie z żywym człowiekiem za dużo. Nieczęsto zdarzają się tygodnie, podczas których odzywam się do tak wielu ludzi jak dzisiaj.

W głowie Norvela kotłowały się jakieś myśli, ja tymczasem przygotowałam i nastawiłam ekspres do kawy, który po chwili zaczął obiecująco bulgotać. Wyjęłam tacę, na którą przełożyłam mieszankę herbatników z pozostawionych na ladzie białych pudełek.

– Czekał, zaraz ci pokażę, suko – warknął Norvel. Pod bezlitosnym światłem jarzeniówek jego zapadłe policzki sprawiały wrażenie jeszcze bardziej wklęsłych.

– Coś mi mówi, że chyba nie – odpowiedziałam z absolutną pewnością siebie.

Pod wpływem alkoholu, diabelskiego podszeptu lub jednego i drugiego postanowił działać. Obiema rękami chwycił miotłę i próbował mnie nią dźgnąć. Chwyciłam fragment kija między jego dłońmi, zanurkowałam mu pod ręką i gwałtownie skręciłam. Na koniec schyliłam się, naciągając mu rękę. Bardzo bolesny chwyt. Wiem, bo sama to przeżyłam, gdy uczył mnie go Marshall. Norvel pisnął cienko, niczym nietoperz.

Jak było do przewidzenia, właśnie w tej chwili pojawił się w kuchni wielebny Joel McCorkindale. Wiedziałam, że to on wchodzi, jeszcze zanim go zobaczyłam. Poznałam jego płyn po goleniu, bo lubił słodkie zapachy. Wsunęłam prawą stopę za nogę Norvela, uniosłam ją lekko i kopnęłam go

od tyłu w staw kolanowy. Zwijając się z bólu, wylądował na czystej kuchennej podłodze.

Założyłam dłonie na piersiach i odwróciłam się twarzą do pastora. Mam wrażenie, że w tych rzadkich chwilach, gdy widzę go z zamkniętymi ustami, Joel McCorkindale wygląda nieswojo. Teraz z wyraźną niechęcią i z zaciśniętymi wargami patrzył to na leżącego na podłodze Norvela, to znów na mnie. Miałam wrażenie, że gdy za młodych lat spojrział w lustro i zobaczył w nim bardzo przeciętnego mężczyznę, poprzysiągł sobie, że zacznie wpływać na innych siłą osobowości i niesamowitym głosem, przewyższając niedostatki fizyczne – przeciętny wzrost i nienadzwyczajną cerę. Sylwetkę też ma przeciętną – nie za wiele mięśni i nie za wiele tłuszczu. Za to gdy otwiera usta, potrafi zniewolić człowieka, wypełnić przestrzeń radością, spokojem lub pewnością siebie.

Teraz wypełnił ją irytacją.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał zniewalającym głosem, jakiego zapewne użył Bóg, gdy przemawiał z gorejącego krzaka.

Miałam jednak nadzieję, że Bóg potrafił powściągnąć irytację.

Norvel jęknął i chwycił się za rękę. Wiedziałam, że nie ośmieli się mnie oskarżyć przed swoim chlebodawcą. Odwróciłam się do zlewu i umyłam rękę, żebym dokończyć układanie herbatników.

– Panno Bard! – zadudnił tubalny głos.

Westchnęłam i odwróciłam się z powrotem. Dlaczego zawsze, dosłownie zawsze, kiedy mam chwilę dobrej zabawy, muszę za nią zapłacić?

Ludzie nigdy nie potrafią skorzystać z okazji i siedzieć cicho.

– Co tu się stało? – dopytywał się stanowczo McCorkindale.

– Norvel trochę się zapędził, więc go uspokoiliam. – Miałam wrażenie, że taka odpowiedź będzie wymagać najmniej wyjaśnień.

Pastor natychmiast mi uwierzył, co też przewidziałam. Raz lub dwa obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Odniosłam wrażenie, że przyjął moje wytłumaczenie za dobrą monetę.

– Norvel, czy to prawda?

Norvel ujrzał zapowiedź nieszczęścia (że się tak wyrażę) i skinął głową.

Zastanawiałam się, czy bystrość umysłu przewycięży jego gniew.

– Bracie Norvel, po spotkaniu porozmawiamy w moim gabinecie.

Norvel znów skinął głową.

– Teraz pomogę ci wstać, a siostra Lily niech wróci do swoich obowiązków – zarządził McCorkindale hipnotyzującym głosem.

Po minucie miałam ogromną kuchnię dla siebie.

Szukając serwetek, stwierdziłam, że skłonność Norvela do alkoholu nie mogła umknąć uwadze nazbyt spostrzegawczego Pardona Albee, bo spotykał Norvela zarówno w bloku, jak i w kościele. Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie zagroził mu zdemaskowaniem, podobnie jak ja. Norvel miał więc motyw, by zamordować Pardona. Jako dozorca z pewnością widział mój wózek na śmieci stojący we wtorki przy ulicy. Pewnie zapamiętał go, na wypadek gdyby kiedyś potrzebował przewieźć coś ciężkiego.

Takie wyjaśnienie coraz bardziej mi się podobało, niestety, wcale nie przydawało mu to wiarygodności. Brzydzę się Norvelem i bardzo bym się ucieszyła, gdyby zniknął z bloku w pobliżu mojego domu. Ale naprawdę nie przypuszczałam, by potrafił zaplanować pozbycie się ciała Pardona w taki sposób. Chociaż z drugiej strony może desperacja zaostrzyła mu intelekt?

Na tacy położyłam miseczkę ze słodzikiem i cukiernicę. Wyjęłam dwa termosy i nalałam do nich kawę. Zanim wszyscy członkowie zarządu zebrali się w niewielkiej salce zebrania tuż obok większej sali przyjęć, na

stole znalazły się filiżanki, spodki, talerzyki, serwetki, termosy z kawą i tace z herbatnikami. Teraz pozostawało mi tylko czekać na zakończenie spotkania, co zwykle następowało po półtorej godziny. Uprzątnę zastawę, a potem będę mogła pójść na zajęcia ze sztuk walki.

Przez jakieś piętnaście minut doprowadzałam kuchnię do porządku. Czasami dla reklamy dobrze zrobić coś więcej, poza tym dzięki temu się nie nudziłam. Wróciłam do sali przyjęć. Mierzy około dwanaście metrów na sześć. Pod ścianami znajdują się stoliki ze składanymi krzesłami wsuniętymi pod blaty. Przez cały tydzień korzystają z nich przedszkolaki, więc zostaje po nich nieporządek i krzesła stoją nierówno, chociaż nauczyciele starają się wpoić dzieciom, że należy po sobie sprzątać. Uporządkowałam wszystko tak, jak lubię, i jeżeli podeszłam pod drzwi sali, w której odbywało się spotkanie, to tylko dlatego, że nudziłam się jak mops. Powtarzałam sobie, że cokolwiek tu usłyszę, nigdy nie wyjdzie na zewnątrz, tak samo jak różne szczegóły z życia moich pracodawców, które poznaję podczas sprzątania.

Drzwi do sali zebrań były uchylone, co zapewniało dostęp powietrza. O tej porze roku w salce bez okien szybko robi się duszno. Skoro nie wzięłam ze sobą książki, rozerwę się tym, dopóki nie nadejdzie czas na sprząkanie.

Po chwili zorientowałam się, że sprawa dotyczy jednej z przedszkolank, która podczas Tygodnia Dinozaurów wspomniała dzieciom o ewolucji. Bardzo starałam się wyobrazić sobie, co w tym takiego istotnego, ale po prostu nie mogłam. Jednak członkowie zarządu najwyraźniej uznali to za bardzo poważne przewinienie. Zaczęłam się zastanawiać, które przedsiębiorcze dziecko doniosło na nauczycielkę i jak ona zareaguje, gdy wyrzucą ją z pracy. Brat McCorkindale, jak wszyscy się do niego zwracali, opowiadał się za wezwaniem nauczycielki na rozmowę (jego określenie). Dalsze postępowanie miało zależeć od tego, co powie na

swoją obronę. Był zdania, że kobieta, którą opisał jako „bogobojną i oddaną dzieciom”, powinna otrzymać szansę wyjaśnienia sprawy i wyrażenia skruchy.

Członek zarządu Lacey Dean Knopp – matka Deedry – była podobnego zdania, chociaż stwierdziła ze smutkiem, że samo wspomnienie o ewolucji było poważnym wykroczeniem ze strony nauczycielki. Sześcioro pozostałych członków obecnych na zebraniu opowiadało się za natychmiastowym zwolnieniem.

– Jeżeli tak zachowują się ludzie, których zatrudniamy, powinniśmy ich starannie selekcjonować – odezwał się nosowy kobiecy głos.

Poznałam go – należał do Jenny O’Hagen, żony Toma O’Hagena, wraz z którym prowadziła miejscową restaurację należącą do krajowej sieci Bippy. Jak przystało na prawdziwych japiszonów, Jenny i Tomowi udało się wcisnąć w pracowite życie tak wiele umówionych spotkań, funkcji kościelnych i kontaktów telefonicznych związanych z najróżniejszymi organizacjami społecznymi (a należą do każdej, która ich przyjmie), że zupełnie nie mają czasu dla siebie. Doskonały sposób na uniknięcie niechcianych rozmów w rodzinnym gronie. Oboje mieszkają w Apartamentach Ogrodowych na parterze, na prawo od mieszkania Pardona Albee. Naturalnie nie mają ani chwili czasu na sprzątanie, więc oni również należą do grona moich stałych klientów. Wolę, gdy nie ma ich w domu, kiedy pracuję. Niestety, gdy zaczynam, najczęściej właśnie wstaje jedno z nich – to, które było na nocnej zmianie.

Nie wiedziałam, że O’Hagenowie należą do Zjednoczonego Kościoła, a już zupełnie nie miałam pojęcia, że Jenny wybrano do rady. Z drugiej strony mogłam się tego domyślić.

To typowy przejaw filozofii życiowej O’Hagenów: bezdzielna Jenny wkłęciła się do rady przedszkola, bo to najważniejsza instytucja w

Shakespeare, a lista oczekujących jest długa.

Prawdopodobnie umówiła się z Tomem, że 15 października tego roku poczną dziecko, i uczestniczyła w pracach rady, by zapewnić potomkowi miejsce w przedszkolu.

Skoro okazało się, że w sprawę zaangażowali się moi klienci, zaczęłam z większą uwagą słuchać pełnych emocji słów wypowiedzianych w sali obrad. Wszyscy byli tak rozgorączkowani, że zastanawiałam się, czy nie powinnam była zaparzyć im kawy bezkofeinowej zamiast zwykłej.

Rada postanowiła zwrócić uwagę młodej kobiecie na niestosowność jej postępowania, lecz jej nie zwalniać. Straciłam zainteresowanie, gdy na porządku dziennym pojawiły się nudniejsze rzeczy, takie jak budżet szkoły i formularze medyczne do wypełnienia przez rodziców... Ziewnęłam. Dobrze, że nie odeszłam, żeby jeszcze trochę posprzątać, bo po jakimś czasie usłyszałam następne znajome imię.

– Teraz pragnę poruszyć kolejną, równie poważną sprawę. Chcę ją poprzedzić prośbą do was wszystkich, żebyście dzisiaj wieczorem w modlitwach pamiętali o naszej siostrze Thei, która przeżywa w domu bardzo trudne chwile.

W sali obrad zaległa cisza. Członkowie rady (nie wspominając o mnie) czekali bez tchu, by dowiedzieć się, co też takiego wydarzyło się w rodzinie Sedaków. Poczułam dziwny ból, że coś ważnego stało się u Marshalla, a ja dowiaduję się o tym z trzeciej ręki.

Brat McCorkindale z pewnością potrafił stopniować napięcie, przerywając opowieść w najciekawszym miejscu.

– Thea rozstała się z mężem. Mówię wam o tak bardzo osobistej sprawie, bo chcę, żebyście z odpowiedniej perspektywy potraktowali wydarzenie, o którym zaraz wam opowiem. Otóż jedna z matek zarzuca Thei, że dała klapsa jej córce.

Przeanalizowałam całe zdanie jeszcze raz, żeby zrozumieć, o co właściwie chodzi.

Zmarszczyłam brwi. Bicie dzieci było surowo zakazane w tym przedszkolu – miałam zresztą nadzieję, że podobnie jak we wszystkich innych.

Wyraźnie usłyszałam zbiorowy okrzyk oburzenia.

– To coś znacznie poważniejszego niż ewolucja – orzekła ze smutkiem Lacey Dean Knopp. – Nie możemy tego puścić płazem, Joel.

– Oczywiście, że nie. Dobro dzieci oddawanych nam pod opiekę musi być najważniejsze – powiedział wielebny McCorkindale. Chociaż jego słowa sprawiały wrażenie, jakby wyuczył się ich na pamięć ze szkolnego podręcznika, odniosłam wrażenie, że naprawdę tak myśli. – Ale muszę wam powiedzieć, bracia i siostry w Chrystusie, iż Thea głęboko żałuje całego zajścia.

– To znaczy, że zaprzecza? – Jenny O’Hagen znów wykazała się refleksem.

– Thea mówi, że tego ranka dziecko odezwało się do niej niegrzecznie nie po raz pierwszy, ale siódmy lub ósmy. Oczywiście dobrze wie, iż jej praca polega na korygowaniu zachowania dzieci, lecz ponieważ przeżywa bardzo poważny stres, straciła panowanie nad sobą i zwracając dziewczynce uwagę, lekko dotknęła ją w policzek. O tak.

Znajdowałam się w dużej sali, więc nie mogłam docenić zdolności aktorskich wielebnego McCorkindale’a.

– Czy są jacyś świadkowie? – spytała Jenny.

Stwierdziłam, że doskonale sprawdziłaby się jako policjantka przesłuchująca zatrzymanych.

– Niestety nie. Thea była wtedy sama w sali z dziewczynką. Zatrzymała ją na przerwę, żeby uświadomić jej niewłaściwość zachowania.

Zapanowało milczenie. Pewnie członkowie zarządu zastanawiali się nad tym, co zaszło.

– Myślę, że musimy ją wezwać na dywanik – zagrział głos jednego ze starszych członków rady. – Wobec dzieci z naszego przedszkola kary cielesne mogą stosować rodzice, ale nie wychowawcy.

Skinęłam głową na zgodę.

– Więc nie chcecie jej zwalniać? – zapytał znacząco Joel McCorkindale. – Musimy podjąć decyzję. Thea czeka na nią w napięciu. Przypominam, iż regularnie chodzi do kościoła i znalazła się w bardzo stresującej sytuacji. Rodzice dziewczynki zapowiedzieli już, że zaakceptują każdą naszą decyzję.

Zebrani praktycznie błagali McCorkindale'a, by pojechał prosto do Thei i zakomunikował jej, iż wybaczone jej występki – pod warunkiem że nigdy więcej się to nie powtórzy.

Pastor nie miał żadnych więcej sensacji, którymi mógłby się podzielić z zebranymi, i spotkanie wyraźnie zaczęło zmierzać ku końcowi. Stwierdziłam, że będzie lepiej, gdy zniknę, i wróciłam do kuchni, zanim pierwsi członkowie rady pojawili się w drzwiach sali. Przyszło mi do głowy, że Joel McCorkindale może wpaść do kuchni i zażądać więcej informacji na temat mojej konfrontacji z Norvelem, ale po wyjściu zebranych usłyszałam jego kroki na schodach wiodących do gabinetu na piętrze.

Umyłam naczynia, a pozostałe herbatniki zapakowałam do szczelnie zamykanych foliowych woreczków. Zaczęłam żałować, że nie zostałam w kuchni przez całe spotkanie. Za kilkanaście minut miałam się spotkać z Marshallem Sedaką. Fakt, iż wiem coś o jego życiu prywatnym, o czym sam mi nie powiedział, sprawił mi przykrość. Rzuciłam okiem na duży wodoszczelny zegarek, pośpiesznie wyjęłam myjkę i rozłożyłam do

wyschnięcia na przegrodzie między komorami zlewozmywaka. Dochodziła za dwadzieścia siódma.

Na przebranie się w karategę zostało mi tylko kilka minut, więc nieszczerze się ucieszyłam, gdy ujrzałam Claude'a Friedricha wspartego o służbowy samochód. Najwyraźniej czekał na mnie. Zaparkował tuż przed moim domem. Myślał, że wytrąci mnie tym z równowagi?

– Dzień dobry, panno Bard – przywitał mnie swoim tubalnym głosem.

Ręce trzymał swobodnie skrzyżowane na piersi. Nie miał na sobie munduru, lecz koszulę w zielono-brązowe paski i spodnie koloru khaki.

– Naprawdę bardzo się teraz śpieszę – powiedziałam, starając się, by nie zabrzmiało to opryskliwie. Mógłby odnieść wrażenie, że straciłam panowanie nad sobą.

– Czy do głównych zalet mieszkania w małej miejscowości nie zalicza się przypadkiem wolniejsze tempo życia? – zapytał niespiesznie.

Zatrzymałam się jak wryta. Wyczułam w powietrzu coś bardzo niepokojącego.

– Shakespeare to spokojniejsze miasto niż na przykład Memphis – dodał.

Poczułam nagły, ostry ból głowy. Chociaż wiedziałam, iż wywołały go emocje, przypominał atak migreny. Nagle poczułam falę wściekłości tak silnej, że się wyprostowałam.

– Ani słowa więcej – powiedziałam tak dobitnie, że nie poznałam własnego głosu. – Wara panu od tego.

Ruszyłam do domu, nie patrząc na niego. Wiedziałam, że jeżeli zapuka, będzie mnie musiał aresztować, bo postaram się zrobić mu krzywdę. Oparłam się o drzwi, a serce zaczęło mi walić w piersi jak młot. Usłyszałam, że odjeżdża. Kilka razy musiałam umyć spocone dłonie, zanim zdjęłam robocze ciuchy i wskoczyłam w nieskazitelnie białe spodnie od kimona. Góra i pas były już zwinięte w małej torbie. Do Body Time pojedę

ubrana tylko w biały podkoszulek, a potem włożę kaftan karategi. Wsadziłam rękę do sportowej torby i pogłodziłam zielony pas, który tak wiele dla mnie znaczył. Potem spojrzałam na zegar i kuchennymi drzwiami wyszłam pod wiatę.

Na parking Body Time dotarłam dopiero o wpół do ósmej. Po raz pierwszy chyba się spóźnię. Pchnęłam szklane drzwi i pośpieszyłam przez główną salę – salę do ćwiczeń z ciężarami. O tak późnej godzinie tylko kilku entuzjastów jeszcze ćwiczyło z hantlami lub na maszynach. Znałam ich z widzenia, więc kiwnęłam głową na powitanie.

Szybko przeszłam na przeciwną stronę sali i znalazłam się w korytarzu, który prowadził kolejno do biura, natrysków, pokoju masażu, solarium i magazynku. Na końcu znajdowały się podwójne drzwi. Poczułam ukłucie niezadowolenia. Jeżeli były zamknięte, znaczyło to, że zajęcia już się rozpoczęły.

Delikatnie obróciłam gałkę, starając się zachowywać cicho. Na progu ukloniłam się, przyciskając torbę pod pachą. Gdy się wyprostowałam, zobaczyłam, że wszyscy ćwiczący stali już w pozycji *shiko-dachi* – nogi w rozkroku, na twarzach spokój, ręce skrzyżowane na klatkach piersiowych. Kilka par oczu zwróciło się w moim kierunku. Podeszłam do jednego z krzeseł stojących pod ścianą. Zdjęłam buty, skarpetki i odwrócona do ściany włożyłam karategę. Owinęłam *obi* wokół pasa i w rekordowym czasie zawiązałam węzeł, a potem cicho pobiegłam na swoje miejsce w drugim rzędzie. Raphael Roundtree i Janet Shook dyskretnie rozsunęli się na boki, robiąc mi miejsce. Byłam im za to wdzięczna.

Ukloniłam się krótko Marshallowi, nie patrząc mu w oczy, a potem przyjął pozycję. Po kilku sekundach na uspokojenie oddechu zerknęłam na niego. Lekko uniósł ciemne brwi. Zawsze sprawia wrażenie opanowanego, wykorzystując do maksimum swoje ćwierć – orientalne

pochodzenie. Trójkątna twarz o karnacji gdzieś między różem rasy białej a azjatycką kością słoniową emanowała spokojem. Lecz układ brwi przypominający ptasie skrzydła wiele mi powiedział – zaskoczenie, rozczarowanie, dezaprobata.

Shiko-dachi to postawa przypominająca siedzenie w powietrzu. Jest trudna i sprawia ból nawet po długich ćwiczeniach. Najlepiej skoncentrować się na czymś innym, przynajmniej ja staram się tak ją przetrwać. Ale byłam zbyt rozkojarzona i nie mogłam zacząć medytacji. Zamiast tego postanowiłam przyjrzeć się odbiciu szeregu współcierpiących w lustrze zajmującym całą długość przeciwległej ściany.

Nowi zawsze znajdują się na końcu szeregu. Mężczyzna, który musiał dziś do nas dołączyć, miał pochyloną głowę i drżały mu nogi – czyli prawdopodobnie wszyscy znajdowali się w tej postawie od półtorej minuty, może dwóch. Czyli niewiele straciłam.

Po kilku sekundach zaczęłam się odprężyć. Ból domagał się uwagi, więc niepokój wywołany spotkaniem z policjantem zaczął zanikać. Zaczęłam myśleć o *kata*, które mieliśmy ćwiczyć później. Starając się zbagatelizować ból mięśnia czworogłowego, zaczęłam sobie wyobrażać kolejne ruchy, które składają się na *geiki sei ni bon*. Przypomniałam sobie błędy, które zwykle popełniam, i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie przejdziemy do pełnych wdzięku i siły *kata* – serii uderzeń, bloków i kopnięć, które połączone razem tworzą coś, co przypomina taniec.

– Trzy minuty – powiedział stojący w pierwszym rzędzie ogromny Murzyn Raphael Roundtree. Pasek od zegarka zapiął na obi.

– Jeszcze minuta – postanowił Marshall. Wyczułam niezadowolenie ćwiczących, chociaż nikt nawet nie pisnął. – Pamiętajcie, że uda trzymamy równoległe do podłogi.

Szereg zafalował, gdy uczniowie skorygowali postawę. Stałam twardo jak skała. W moim *shiko-dachi* trudno cokolwiek poprawić. Trzymałam stopy we właściwej odległości, rozstawione na zewnątrz pod właściwym kątem, a plecy wyprostowane.

Na chwilę ocknęłam się z zamyślenia, by spojrzeć w lustro na ćwiczących. Ostatni uczeń w szeregu miał poważne kłopoty. Chociaż był ubrany w szorty i podkoszulek, pot płynął mu strumieniami po twarzy. Nie mógł opanować drżenia nóg. Z pewnym zdumieniem rozpoznałam mojego sąsiada Carltona Cockrofta, który z dobrego serca powiedział mi, że wie o mojej nocnej wyprawie.

Zamknęłam oczy i znów spróbowałam skupić się na *kata*, ale byłam zbyt zaskoczona, a w głowie kłębiło mi się mnóstwo domysłów.

Gdy Raphael zawołał: „Cztery minuty!”, odczułam taką samą ulgę jak reszta grupy. Wszyscy zaczęliśmy przestępować z nogi na nogę, by pozbyć się uczucia bólu.

– Lily! Rozgrzewka! – powiedział Marshall, ledwo zaszczycając mnie spojrzeniem, którym omiótł szereg. Stał w kącie sali, skąd obserwował wszystkich, wychwytyjąc nawet najdrobniejsze oznaki nieprzykładania się do ćwiczeń.

Skłoniłam się i wybiegłam przed grupę. Tego wieczoru było nas tylko ośmioro. Janet i ja byłyśmy jedynymi kobietami. Miałam wrażenie, że jestem od niej o rok starsza. Przedział wiekowy mężczyzn zaczynał się od dwudziestu lat, a kończył na jakichś pięćdziesięciu pięciu.

– *Ki-o tsuke!* – powiedziałam ostro, by zwrócić ich uwagę. – *Rei* – poinstruowałam, kłaniając się im.

Odpowiedzieli mi ukłonem, Carlton o mgnienie oka spóźniony. Przyglądał się stojącemu obok niego mężczyźnie, którego ruchy naśladował. Znów zadałam sobie pytanie, po co tu przyszedł. Ale grupa

czekała na moje instrukcje, więc wyprostowałam prawą nogę, balansując na lewej.

– Duży palec do góry... i na dół... – powiedziałam.

Kilka minut później zakończyłam naprzemiennymi wypadami na boki z rękami wyciągniętymi przed siebie dla równowagi. Ukłoniłam się Marshallowi i biegiem wróciłam na miejsce.

– Lizuska – rzucił Raphael półgębkiem. – Kto to widział tak się spóźniać?

Rozgrzewkę najczęściej prowadzimy na zmianę Raphael i ja. Uczy matematyki w liceum, więc myślę, że karate daje mu sposobność wyżycia się.

– Pierwszy raz – szepnęłam na swoją obronę i ujrzałam błysk zębów w szerokim uśmiechu.

Marshall zarządził krótką przerwę. Zaczepnęłam łyk wody z dystrybutora w siłowni i podeszłam do Carltona. Teraz dla odmiany sprawiał wrażenie przegotowanego. Zupełnie nie nadawał się do zjedzenia. Twarz mu poczerwieniała, włosy zlepził pot. Nigdy wcześniej nie widziałam go nieuczesanego, a tym bardziej rozczochranego.

Raphael zaszedł mnie od tyłu, zanim mogłam zagadnąć sąsiada, więc przedstawiłam ich sobie. Traktuję Raphaela jak kolegę, chociaż nie widzimy się poza treningami. Teraz będę mogła w ten sam sposób poznać Carltona. Widocznie coś sobie przemyślał po naszej niezbyt przyjemnej rozmowie.

– Co cię tu sprowadza, Carlton? – zapytał Raphael z nieukrywaną ciekawością. Od razu było widać, że nowo przybyły nie należał do entuzjastów treningów.

– Prowadzę Marshallowi księgowość – wyjaśnił Carlton. Nie miałam o tym pojęcia. – Odkąd kupiłem dom w pobliżu, widzę, jak Lily chodzi na

zajęcia. Zawsze wraca zadowolona.

Więc zatelefonowałem dziś do Marshalla, a on zaproponował, żebym spróbował. Wiecie, co będzie dalej? Ledwo żyję po tym *shigga*–cośtam.

– Teraz – powiedział Raphael z jawnie sadystycznym uśmiechem – teraz dopiero się zacznie.

– O nie! – Carlton wyglądał na przerażonego. Spojrzałam na Raphaela i jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem.

Gdy wychodził ostatni z ćwiczących, ja jeszcze sznurowałam buty. Guzdrałam się celowo, żeby porozmawiać z Marshalllem, nie umawiając się z nim specjalnie, gdyż to zakłóciłoby delikatną równowagę w naszych wzajemnych relacjach.

– Spóźniłaś się dziś – skomentował Marshall, składając starannie kaftan karategi i wkładając go do sportowej torby.

Biały T-shirt eksponował skórę w ciepłym odcieniu kości słoniowej. Pewnego wieczora słyszałam, jak opowiadał Raphaelowi, że jego babka była Chinką, a dziadek Amerykaninem. Oprócz karnacji, prostych czarnych włosów i ciemnych oczu nic na to nie wskazywało. Jest trochę starszy ode mnie – ma mniej więcej trzydzieści pięć lat – i jakieś siedem centymetrów wyższy. Ale jest silniejszy i bardziej niebezpieczny niż wszyscy inni, których znam.

– Policja – mruknęłam zamiast wyjaśnienia.

– Chodziło im o Pardona? – zainteresował się.

Wzruszyłam ramionami.

– Coś cię dzisiaj dręczy – zauważył.

Nigdy nie powiedział mi nic bardziej osobistego niż „dobre kopnięcie” albo „dłoń, nadgarstek i ramię w linii prostej”, jeżeli nie wspomnieć o „naprawdę popracowałaś nad tymi bicepsami”. Ze względu na naszą długą znajomość czułam jednak, że nie powinnam go zbywać.

– Parę spraw – powiedziałam powoli. Siedzieliśmy na podłodze, oddaleni o niecały metr od siebie. Marshall zdążył włożyć jeden but i rozluźniał sznurówki w drugim. Wciągnął go i zawiązał, a ja zdążyłam naciągnąć drugą skarpetkę.

Skrzyżował nogi, złożył je razem w pozycję kwiatu lotosu, podparł się rękami i na chwilę zawisł tak nad podłogą. Nie zmieniając pozycji, „podszedł” do mnie. Spróbowałam się uśmiechnąć, ale ze względu na nową sytuację poczułam się nieswojo. Nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych.

– No to mów – zagadnął.

Celebrowałam sznurowanie butów tak długo, jak mogłam, zastanawiając się, co mu powiedzieć. Podniosłam wzrok, gdy jego uwagę przyciągnął cichy dzwonek telefonu z biura.

Umilkł po drugim razie. Widocznie jeden z pracowników podniósł słuchawkę.

Twarz Marshalla ma zdecydowanie trójkątny kształt, z wąskimi wargami i nosem, który wiele razy spłaszczono. Marshall wyglądem bardzo przypomina kota, lecz nie ma w sobie nic z jego delikatności. Budową ciała bardziej przywodzi na myśl buldoga.

A więc powinnam mu powiedzieć, o co chodzi, albo że nic mu nie powiem – pomyślałam. Czekał bez żadnych oznak zniecierpliwienia.

– Czy Pardon Albee był twoim współnikiem? – zapytałam wreszcie.

– Tak.

– I co teraz?

– Mieliśmy umowę. Na wypadek śmierci jednego z nas drugi miał przejąć cały interes. Pardon nie miał rodziny. Ja miałem Theę, ale Pardon nie chciał się z nią dogadywać. Więc wykupił dla mnie polisę

ubezpieczeniową na życie na dość wysoką kwotę. Thea dostałaby te pieniądze zamiast udziału w interesie, gdyby to mnie się coś przytrafiło.

– Więc... teraz jesteś właścicielem całego Body Time.

Skinął głową, nie przestając wpatrywać się we mnie. Dotąd to ja przewiercałam innych wzrokiem, więc usiedzenie na miejscu dużo mnie kosztowało. Poza tym Marshall znajdował się o wiele bliżej mnie, niż ośmielali się dotąd podejść inni ludzie.

– To świetnie – powiedziałam z wysiłkiem.

Znów skinął głową.

– Czy składałeś już zeznania w sprawie Pardona? – zapytałam.

– Jutro wybieram się na komisariat do Dolpha Stafforda. Nie chciałem, żeby tu przychodzili.

– Pewnie.

Pomyślałam, że nie powinnam poruszać sprawy Thei. O tym, że uderzyła dziecko w przedszkolu, nie powinnam wiedzieć, chociaż znając operatywność poczty pantoflowej w Shakespeare, wszyscy w mieście z pewnością poznali już taką czy inną wersję incydentu.

Poza tym nie mogłam tak po prostu wyskoczyć z pytaniem, dlaczego postanowił się z nią rozstać. Atmosfera zaczynała gęstnieć, a ja czułam się coraz bardziej nieswojo.

– A... inne sprawy? – zapytał spokojnie.

Obrzuciłam go spojrzeniem pełnym niedowierzania, a potem znów spuściłam wzrok, bo zaplątały mi się przekłete sznurowadła.

– Nic ważnego – powiedziałam niedbale.

– Odszedłem od Thei.

– Oo!

Jeszcze przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, a potem poczułam, jak wzbiera mi w gardle histeryczny śmiech.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego?

– Co? Dlaczego co?

Wiedziałam, że głupio to zabrzmiało, ale nie mogłam się skupić. Samo siedzenie bez ruchu wymagało ode mnie bardzo dużego wysiłku. Rozmowa na delikatne tematy, bliskość fizyczna i sprawy osobiste zawsze wyprowadzają mnie z równowagi.

Marshall pokręcił głową.

– Nic takiego, Lily. A teraz ja chciałbym cię o coś zapytać. Mogę?

Niepewnie skinęłam głową. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wyglądamy jak dwa drewniane ptaszki na huśtawce, na przemian kiwające się do siebie.

– Skąd masz te blizny? – zapytał łagodnie.

ROZDZIAŁ 5

Nagle zrobiło mi się duszno.

– Nie sądzę, żebyś chciał wiedzieć – odparłam.

– A jednak chcę – nalegał Marshall. – Nie zrobimy ani kroku dalej, jeżeli nie będę wiedział.

Spojrzałam w lustro za plecami Marshalla i ujrzałam kogoś, kogo nie poznawałam.

– Ci, którzy się dowiadują, nigdy nie myślą o mnie tak samo jak wcześniej – wykrztusiłam.

Nagle zaschło mi w ustach tak bardzo, że miałam kłopoty z mówieniem.

– Z mojej strony nic się nie zmieni – obiecał.

Zmieni się. Gdy się dowie, nie wiem, co stanie się z milczącą więzią między nami – więzią, która najwyraźniej już mu nie wystarczała.

– Dlaczego chcesz, żebym ci o tym opowiedziała?

Czułam, że zaciśnięte w pięści dłonie zaczynają drżeć.

– Nie poznam cię lepiej, dopóki się tego nie dowiem – wyjaśnił cierpliwie pewnym głosem. – A chciałbym poznać cię lepiej.

Jednym szybkim ruchem zdarłam z siebie T-shirt.

Miałam pod nim zwykły biały sportowy biustonosz. Marshall ledwo stłumił okrzyk, widząc blizny w całej okazałości. Nie patrząc mu w oczy, odwróciłam się trochę, żeby mógł zobaczyć te, które krzyżowały się na plecach jak dodatkowe ramiączka biustonosza. Znow się odwróciłam, pokazując mu te na górnej części klatki piersiowej. Usiadłam prosto, żeby mógł zobaczyć cieńsze białe blizny, schodzące łukiem za pas moich spodni.

Dopiero wtedy spojrzałam mu w oczy.

Nawet nie mrugnął. Widziałam, jak mocno zacisnął zęby. Z całych sił starał się nie zmienić wyrazu twarzy.

– Wyczułem je, kiedy chwyciłem cię za rękę na zajęciach w zeszłym tygodniu, ale nie przypuszczałem, że są tak...

– Rozległe? – zapytałam brutalnie.

Nie pozwolę mu się odwrócić.

– Czy piersi też masz pocięte? – zapytał, podejmując godną uznania próbę zachowania neutralnego tonu.

– Nie. Ale wszędzie dookoła. Kółka, wzorki.

– Kto to zrobił?

To, co mi się przydarzyło, przecięło moje życie na pół – znacznie głębiej i bardziej nieodwracalnie niż ostrza noży, które wyryły mi na skórze krwawe girlandy. Wbrew sobie wróciłam do piekła, przypominając sobie tamte upiorne chwile. Był czerwiec...

Upały dawały się we znaki już od miesiąca. Skończyłam college i od trzech lat mieszkałam w Memphis. Miałam ładne mieszkanie w jednej ze wschodnich dzielnic i pracowałam w biurze w największej agencji w mieście oferującej usługi sprzątnia biur i prowadzenia domów pod nazwą Queen of Clean – Królowa Czystości. Mimo głupiej nazwy było mi tam dobrze. Do moich zadań należało układanie grafiku dla pracowników. Przeprowadzałam też wyrywkowe kontrole na miejscu i telefonowałam do klientów, żeby sprawdzić, czy są zadowoleni.

Zarabiałam przyzwoicie i kupowałam dużo ubrań.

Kiedy w tamten czerwcowy wtorek wyszłam z pracy, miałam na sobie granatową sukienkę z krótkim rękawem, z dużymi białymi guzikami z przodu, i białe skórzane czółenka.

Nosiłam wtedy długie jasnobrązowe włosy i byłam dumna z długich wypielęgnowanych paznokci. Spotykałam się z jednym ze współwłaścicieli

firmy produkującej butelkowaną wodę.

Traf chciał, że od jakiegoś czasu miałam kłopoty ze skrzynią biegów w moim samochodzie, który i tak zaczął już wymagać gruntownej naprawy. Wychodząc z pracy, martwiłam się, że lada chwila zmieni się on w skarbonkę bez dna.

Autostradą dojechałam do zjazdu w Goodwill Road i tam mój pojazd zupełnie odmówił współpracy. Nieco dalej przy tej samej ulicy zauważyłam stację obsługi. Na drodze panował spory ruch, wszędzie było pełno ludzi. Zaczęłam schodzić, lawirując między pojazdami tłoczącymi się na wąskim zjeździe. Niespodziewanie zatrzymał się przy mnie powoli jadący minivan. Ucieszyłam się, bo miałam nadzieję, że jego właściciel podwiezie mnie do serwisu.

Drzwi pasażera otworzył ktoś, kto siedział z tyłu. Natychmiast cofnął się i zniknął na swoim siedzeniu za miejscem pasażera. Kierowca trzymał w ręku broń.

Gdy zrozumiałam, co się dzieje, zamiast się ewakuować, stałam i czułam, że serce mi wali tak głośno, iż prawie nie mogę zrozumieć, co mówi facet w samochodzie.

– Wsiadaj albo cię zastrzelę na miejscu.

Miałam do wyboru: zeskoczyć ze zjazdu i dostać się pod koła samochodu jadącego drogą poniżej, kazać mu strzelać albo wsiąść.

Podjęłam błędną decyzję. Wsiadłam.

Później dowiedziałam się, że mężczyzną, który trzymał mnie na muszce, był kuty na cztery nogi porywacz Louis Ferrier, zwany przez klientów Nap. Specjalizował się w porywaniu kobiet i dzieci – większość znikła na zawsze. Ofiary, które udało się odnaleźć, były bez wyjątku martwe – umyślowo lub fizycznie. Nap odsiedział w więzieniu jakiś wyrok, ale nie za czyny, dzięki którym zyskał złą sławę.

Gdy tylko wsiadłam do samochodu, zakuł mnie w kajdanki mężczyzna ukrywający się za fotelem pasażera. Później dowiedziałam się, że to Harry Wheeler, sporadyczny wspólnik wyczynów Napa. Harry chwycił mnie za rękę, zakuł i trzymał za przymocowany do kajdanek łańcuch. Potem zawiązał mi opaskę na oczach. Okna samochodu były mocno przyciemniane.

Nikt niczego nie zauważył.

Podczas przerażającej podróży na północ od Memphis rozmawiali między sobą, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Byłam tak przerażona, że prawie nie rozumiałam, co mówią. Czułam zbliżającą się śmierć.

W pewnej chwili zjechali z autostrady i spotkali się w umówionym miejscu z członkami gangu motocyklowego. Nap wynajął mnie gangowi na jedną noc, chociaż wtedy nie miałam o tym pojęcia.

Czterech mężczyzn i kobieta zabrali mnie do porzuconej szopy w samym środku jakiegoś pola uprawnego. Jeden z nich dobrze znał okolicę, bo wychowywał się w pobliżu.

Łańcuchem od kajdanek przywiązali mnie do zagłówka starego metalowego łóżka. Nadal miałam zawiązane oczy. Mężczyźni jedli, pili i gwałcili mnie. Kiedy zaczęło im się nudzić, wyjęli noże i zaczęli mnie ciąć. Pod każdą z piersi wycięli kółko, a nad nimi zygzaki. Na brzuchu wycięli tarczę z pępkiem jako środkiem. Zanosili się śmiechem, a ja, przykuta łańcuchem do zniszczonego łóżka, krzyczałam i krzyczałam wniebogłosy. Dostałam w twarz i powiedziano mi, że jak nie przestanę, to zaczną ciąć głębiej. I znów mnie gwałcili.

Kobieta, która im towarzyszyła, niewiele się odzywała. Z początku nie chciałam wierzyć, że nie mogę na nią liczyć. Kiedy zorientowałam się, że cichszy głos rzeczywiście należy do kobiety, zaczęłam ją błagać o pomoc. Nie odpowiedziała, ale kiedy wszyscy mężczyźni zasnęli lub wyszli na

zewnątrz, żeby się wysikać, podeszła i syknęła mi prosto do ucha: – Przeżyłam coś takiego, to i ty przeżyjesz. Wcale cię tak bardzo nie pocięli. Straciłaś tylko trochę krwi.

Nie wiedziałam, że Nap miał po mnie wrócić i że zostałam wynajęta, a nie sprzedana. Spodziewałam się, że umrę, kiedy się mną znudzili i zaczęli się szykować do odjazdu.

Miałam umrzeć za osiemnaście godzin.

Skojarzyłam imię Rooster z największym z nich. Kiedy następnego dnia zaczęli się pakować, wpadł na doskonały pomysł. Dał mi mały tani rewolwer, który kiedyś znalazł na ulicy. Dołączył do niego jeden nabój.

– Możesz sobie wpakować kulkę w łeb – powiedział wesoło. – Albo możesz ją zachować dla Napa, kiedy tu wróci po ciebie. Zanim przyjedzie, zdążysz nauczyć się strzelać.

Będziesz miała dość czasu.

– Lepiej sami ją wykończmy – powiedział głośno, którego nie mogłam skojarzyć z imieniem ani z wagą.

– O jednym nie pomyślałeś – wyjaśnił Rooster. – Jak zabije Napa, możemy zawsze powiedzieć, że chciała się z nami pobzykać, jeżeli zdarzy się najgorsze i jakoś nas znajdzie, chociaż to mało prawdopodobne. A jak ją zabijemy, Nap pójdzie naszym tropem i dobierze nam się do skóry, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewać. Nie macie już dość gościa?

Bo ja mam.

Inni stwierdzili, że to sensowny pomysł, uznali, że zostawienie mnie z bronią to świetny żart. Odjeżdżając, śmiali się z miny, jaką będzie miał zaskoczony Nap, i zakładali się, czy go zabiję.

Kilka minut po odjeździe kawalkady motocykli ku asfaltowej drodze przeleżałam w odrętwieniu. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze żyję. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy nie.

Zastanawiałam się, jak długo przeżyję z ranami, które mi zadali. W okolicach pochwy w najlepszym razie byłam bardzo posiniaczona, a w najgorszym wiedziałam, że dojdą do tego jeszcze obrażenia wewnętrzne. Z nacięć sączyła się krew. Bolały mnie straszliwie, chociaż wiedziałam, że nie są głębokie.

Bardzo powoli zaczęło do mnie docierać, że naprawdę jeszcze żyję i że jestem sama.

Potem przypomniałam sobie słowa Roostera. Uniosłam skute rękę i zdjęłam z oczu opaskę.

Człowiek, który mnie porwał, miał po mnie przyjść, żeby wynająć mnie podobnym zwyrodnialcom. To, co przeżyłam do tej pory, miało się powtórzyć.

Ale teraz miałam broń i jedną kulę. Bardzo mnie kusilo, żeby raz na zawsze położyć temu kres. Powstrzymała mnie tylko myśl o rodzicach. Na pewno już się zorientowali, że coś mi się stało, i zaczęli mnie szukać. W szopie na środku pola nikt pewnie mnie nie znajdzie przez całe lata, a przez cały ten czas będą się o mnie niepokoić i modlić się za mnie. Nie pogodzą się z myślą, że nie żyję.

Wolałam zabić Napa – faceta, który był przyczyną tego wszystkiego. Po chwili zaczęłam z niecierpliwością oczekiwać spotkania z nim.

Każda chwila sprawiała mi ból, ale nauczyłam się ładować rewolwer, chociaż utrudniały mi to kajdanki. Na szczęście łańcuch był na tyle luźny, że mogłam przynajmniej poruszać rękami. Kilkakrotnie ładowałam, wyjmowałam nabój i ładowałam ponownie, dopóki nie nauczyłam się płynnie tego obsługiwać. Na koniec upewniłam się, że nabój znajduje się we właściwej komorze, i ukryłam broń przy sobie. W śmierdzącej, gorącej szopie czekałam na Napa. Przez dziurę w dachu widziałam niebo. Gdy słońce znalazło się prawie nad moją głową, usłyszałam silnik minivana

nadjeżdżającego połą drogą. Przypomniałam sobie drugiego mężczyznę i modliłam się, żeby tym razem sprawca mojego nieszczęścia był sam.

Zamknęłam oczy, gdy odgłos kroków zbliżył się do mnie.

– Jak się dziś czujesz, kochanie? – zapytał wesoło Nap. – Gdzie Rooster zostawił klucz? O kurwa, jak cię poniszczyli. Minie trochę czasu, zanim dojdiesz do siebie...

Z tonu jego głosu domyśliłam się, że jest wściekły, bo przez jakiś czas do niczego mu się nie przydam. Jako towar byłam za bardzo uszkodzona. Otworzyłam oczy i spojrzałam wprost na niego. To, co zauważył, sprawiło, że zastygł, pochylony nad porzuconą opaską na oczy.

Uniosłam broń, wycelowałam tak dokładnie, jak mogłam, i nacisnęłam spust.

Trafiłam go w oko.

Żałowałam, że umarł tak szybko. O wiele za szybko.

Oczywiście nie miałam pojęcia, gdzie może być klucz od kajdanek. Nap mówił, że zostawił go Roosterowi. Ześliznęłam się z łóżka, a potem poczołgałam się, wlokąc je za sobą.

Z niewiarygodnym trudem obszukałam Napa, żeby się upewnić, czy nie ma klucza przy sobie. Nie miał.

Miałam nadzieję, że w jakiś sposób uda mi się wydostać z szopy, ale nie miałam sił wywlec siebie i łóżka przez drzwi. Zdążyłam już stracić sporo sił.

Kolejny dzień przeleżałam w towarzystwie trupa. Pojawiło się najróżniejsze robactwo, w rany wdało się zakażenie, a ciało zaczęło śmierdzieć.

Gdy jakąś dobę później pracujący na pobliskim polu farmer zainteresował się porzuconym samochodem Napa, miałam już wysoką gorączkę, ale nie na tyle, żeby zacząć majaczyć. Pragnęłam stracić

przytomność tak bardzo, jak ludzie w piekle mogą pragnąć wody z lodem. Przez otwarte drzwi farmer zobaczył leżące na podłodze zwłoki Napa i pobiegł wezwać pomoc. Wszyscy ludzie, którzy potem przybyli, nie mieli pojęcia, że w szopie jest jeszcze ktoś żywy. Przerazenie na twarzach mężczyzn, którzy weszli do środka, powiedziało mi, że przekroczyłam pewną granicę.

Nie było już mnie. Było tylko to, co mi się przytrafiło.

Nikt, kto mnie wtedy widział przykutą łańcuchem do łóżka, nie był w stanie pomyśleć, że kiedy byłam mała, miałam psa imieniem Bolo, że lubiłam bawić się lalkami, że w ciągu minionych dwóch lat dostałam trzy podwyżki i że pochodziłam z czystego i porządnego domu.

Podczas trwającego kilka tygodni powolnego powrotu do zdrowia, po wielokrotnych przesłuchaniach przez najróżniejsze organy ochrony porządku publicznego, po zniesieniu najazdu mediów, które zrobiły sensację z tego, co już było sensacją, zdałam sobie sprawę, że powrót do mojego poprzedniego życia był niemożliwy. Skradziono mi je. Mój chłopak występował jeszcze w gazetach jako mój chłopak, ale między nami wszystko się skończyło.

Rodzice nie mogli pogodzić się z okropnością tego, co przeszłam, ani z tym, że zabiłam człowieka, który za to odpowiadał.

Zacząłam podejrzewać, że w głębi serca uważali, iż strzelając do Napa, dokonałam niewłaściwego wyboru.

Z początku prawdziwą podporą była dla mnie młodsza siostra Varena. Jednak stopniowo fakt, że tak powoli wracałam do zdrowia fizycznego i umysłowego, zaczął ją niecierpliwic, aż wreszcie coś w niej pękło. Uważała, że powinnam wreszcie wstać z łóżka.

Była gotowa przejść do porządku dziennego nad tym, co przeszłam, rozmawiać o rzeczach, które nie miały z tym żadnego związku, nawet z

moim powrotem do zdrowia. Po kilku coraz bardziej wybuchowych wymianach zdań, w których padały takie zachęty, jak: „Weź się za siebie i zrób coś ze swoim życiem” i „Nie możesz żyć tylko przeszłością”, Varena wróciła do normalnych obowiązków pielęgniarki w małym szpitalu w naszym rodzinnym mieście, ucząc w szkółce niedzielnej i umawiając się z miejscowym farmaceutą.

Na miesiąc przeprowadziłam się do rodziców. Cały mój dobytek zmieścił się na strychu ich domu i w szopie na narzędzia. Dom z dużą werandą, ogrodem różanym i dobrze znanymi sąsiadami emanował kojącą energią. Niestety, większość osób nie potrafiła zachowywać się naturalnie w moim towarzystwie. Najlepszym ledwo się to udawało, a reszta nie mogła przezwyciężyć zgrozy na myśl o tym, co przeżyłam.

Ze wszystkich sił broniłam się przed zaszufadkowaniem jako ofiara tragedii.

Rozpaczliwie próbowałam odzyskać przeszłość, lecz wreszcie zorientowałam się, że muszę poddać partię. Musiałam porzucić Bartley, zapomnieć o Memphis, wyjechać – byle dalej.

– Ale dlaczego wybrałaś akurat Shakespeare? – zapytał Marshall.

– Spodobała mi się nazwa – odpowiedziałam, wzdrygając się, bo prawie zapomniałam, że oprócz mnie jeszcze ktoś jest w sali. Włożyłam T-shirt. – Nazywam się Bard, jak pewien bard ze Stratfordu. Czyli Shakespeare.

– Tak po prostu wędrowałaś palcem ma mapie?

Skinęłam głową i wstałam.

– Wcześniej próbowałam się zaczepić w kilku innych miejscach, ale nie wypaliło, więc wybór na chybił trafił wydawał mi się tak samo dobry jak każdy inny.

Ogarnęło mnie niewytłumaczalne zmęczenie. Każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku.

– No to na razie – pożegnałam się. – Teraz już wiesz wszystko.

Spakowałam strój do karate, zarzuciłam sportową torbę na ramię i wyszłam z sali. Nie zapomniałam. Gdy doszłam do drzwi, odwróciłam się i złożyłam ukłon.

Samochód prowadziłam automatycznie, próbując o niczym nie myśleć. Minęły całe lata, odkąd po raz ostatni opowiadałam komuś tę historię. Od wielu lat nie musiałam przeżywać jej na nowo. Były to dobre lata. Ludzie traktowali mnie zupełnie normalnie, jak zwyczajną kobietę – nie jak rzecz ani ofiarę przestępstwa.

A teraz Friedrich dawał mi do zrozumienia, jak wiele o mnie wie. A więc musiał też wiedzieć, że zabiłam człowieka. Może pomyślał sobie, iż przypomniały mi się dawne czasy i zamordowałam też Pardona Albee. Pytanie na temat związków, jakie mnie z nim łączyły, mogło sugerować motyw – zabiłam Pardona, bo nie miałam ochoty dłużej znosić jego zalotów. Gdyby lepiej znał Pardona, wiedziałby, że to dość dziwny pomysł.

Po powrocie do domu usiadłam na skraju łóżka. Starłam się wyobrazić sobie siebie jako samozwańczego członka straży obywatelskiej, jako kogoś w rodzaju... Jak nazywała się dziewczyna, którą zgwałcono w *Tytusie Andronikusie*? Lavinia... tak, Lavinia. Napastnicy obcięli jej język i dłonie, żeby nie mogła wyjawić ich tożsamości. Mimo to, o ile dobrze pamiętam, jakoś udało jej się powiedzieć o wszystkim braciom. Ugotowane ciała napastników podała na obiad matce oprawców, gdyż to ona pozwoliła na zbrodnię.

Nie dręczyło mnie pragnienie zemsty na wszystkich mężczyznach za to, co mi się przydarzyło. Ale na pewno przestałam już ufać wszystkim bez wyjątku, zdecydowanie przestałam spodziewać się zbyt wiele po ludziach i nie zaskoczyłoby mnie, gdybym znów usłyszała o podobnym przestępstwie.

Nie wierzyłam w zasadniczą dobrą wolę mężczyzn ani w milczącą solidarność kobiet.

Nie wierzyłam, że ludzie wszędzie są zasadniczo tacy sami, ani w to, że jeżeli traktuje się ich uprzejmie, oni odpłacą nam tym samym. Nie wierzyłam w świętość życia.

Gdyby teraz stanęli przede mną ci mężczyźni – czterej gwałciciele i pomocnik Napa, który mnie skuł – a ja miałabym naładowaną broń... Zastrzeliłabym ich wszystkich – pomyślałam. Ale nie jeżdżę po Ameryce po barach dla motocyklistów i nie chodzę po urzędach pocztowych, szukając ich zdjęć na listach gończych. Nie wynajęłam też prywatnego detektywa, żeby ich odszukać.

Czy to znaczy, że nie postradałam zmysłów, czy też sugeruje, że zabiję kogoś w sprzyjających okolicznościach? Poczułam mrowienie całego ciała, jak ścierpniętej ręki przygniecionej we śnie. Coś podobnego czułam wtedy, gdy wbrew własnej woli nie mogłam się oprzeć wspomnieniom. To reszta mojej osobowości wracała do skorupy, którą się stałam, gdy zanurzałam się w wydarzeniach z przeszłości.

Odsunęłam kołdrę, sprawdziłam, czy nastawiłam budzik, i z radością wpełzłam do łóżka. Sięgnęłam do wyłącznika lampy.

Kobietę też bym zabiła – pomyślałam, czując, jak ogarnia mnie fala znużenia. Nie widziałam jej. Motocyklistów też nie widziałam, tylko słyszałam i czułam.

Ale Pardon Albee – czy Friedrich naprawdę mógł przypuszczać, że zabiłabym kogoś, kogo znałam w normalnym życiu?

Pewnie, że mógł.

Zastanawiałam się, jak zginął Pardon. Nie widziałam wiele krwi, chociaż z drugiej strony nie przyjrzałam mu się zbyt dokładnie. Od ponad dwóch lat uczyłam się u Marshalla karate, więc pomyślałam, że gdybym musiała,

pewnie potrafiłabym zabić kogoś gołymi rękami. Właśnie dlatego postanowiłam trenować sztuki walki.

Dlatego też Friedrich zaliczył mnie do grona podejrzanych: z jednej strony bardzo wysportowana kobieta... a z drugiej podstarzały, wścibski, przypuszczalnie heteroseksualny mężczyzna mieszkający w pobliżu... Patrząc na sprawę z tej strony, nasuwało się tylko jedno rozwiązanie – zabiłam Pardona we śnie.

Przewracając się na lewy bok, postanowiłam, że od jutra zajmę się tropieniem mordercy. W chwilach tuż przed zaśnięciem wszystko wydaje się takie proste.

ROZDZIAŁ 6

Właśnie wracałam do domu, żeby wziąć prysznic po porannym treningu w Body Time – na szczęście dzisiaj rano siłownię otworzył asystent Marshalla – kiedy zobaczyłam Marcusa Jeffersona z małym chłopcem. Miałam mokre od potu włosy, a na popielatym T-shircie i krótkich spodniach nieestetyczne duże ciemne plamy. Właśnie chciałam otworzyć drzwi wejściowe, kiedy usłyszałam wołanie.

– Dzień dobry, Lily – dobiegły mnie słowa Marcusa.

Po raz pierwszy zobaczyłam, jak się uśmiecha, i zrozumiałam, co widzi w nim Deedra. Jest dobrze zbudowanym mężczyzną o karnacji w odcieniu kawy z domieszką jednej łyżki mleka. Jego brązowe oczy mają złoty odcień. Uśmiechnięty i elegancko ubrany chłopczyk wyglądał jeszcze ładniej. Szczególnie zachwyciły mnie długie falujące rzęsy i ogromne ciemne oczy.

Chociaż nie mogłam się doczekać prysznica, z grzeczności podeszłam ku nim i przykucnęłam przed dzieckiem.

– Jak masz na imię?

– Kenya – odparł chłopiec, promieniejąc uśmiechem.

– To bardzo piękne imię – powiedziałam. – A ile masz lat?

Chyba zadawałam właściwe pytania, bo Marcus i dziecko wydawali się zadowoleni.

Chłopiec wystawił do góry trzy paluszki. Stłumiłam dreszcz niepokoju, widząc, jakie są malutkie. Kruchość dzieci przeraża mnie tak bardzo, że z dużą ostrożnością nawiązuję z nimi jakiegokolwiek związki emocjonalne. Czy kiedykolwiek wystarczy mi czujności, żeby ochronić coś tak delikatnego i cennego? Niektórzy ludzie nic sobie z tego nie robią. Nie wiem, czy to

głupota, czy też brak zdolności przewidywania. Wydaje im się, że dzieci dożyją dorosłości i nikt ich nie skrzywdzi.

Zorientowałam się, że z moją twarzą stało się coś niedobrego. Niepewne oczy dziecka i gasnący uśmiech przywołały mnie z powrotem do rzeczywistości.

Uśmiechnęłam się szeroko i delikatnie poklepałam dziecko po plecach.

– Kiedyś będziesz bardzo duży i silny – powiedziałam i wstałam. – To twój syn, Marcus?

– Tak, jednak – powiedział z dumą. – Od kilku miesięcy jesteśmy z żoną w separacji, ale oboje zgodziliśmy się, że powinienem spędzać z nim tak dużo czasu, jak się da.

– To znaczy, że byłeś w pracy na drugą zmianę – stwierdziłam, nie mogąc znaleźć innego tematu do rozmowy.

Marcus skinął głową.

– Wróciłem do domu, przespałem się chwilę, a potem odebrałem chłopca od matki, zanim wyszła do pracy. Pracuje w biurze opieki społecznej.

– Macie jakieś ciekawe plany na dzisiaj? – spytałam uprzejmie, próbując nie patrzeć na zegarek.

W czwartki rano o wpół do dziewiątej muszę się stawić u Drinkwaterów.

– Na początek wybieramy się do McDonalda na śniadanie – odparł Marcus – a potem pójdziemy do mnie, zagramy w *Candy Land*, a może obejrzymy odcinek *Barney'a i przyjaciół*? Co ty na to, kolego?

– McDonald, McDonald! – wołał Kenya, ciągnąc ojca za rękę.

– Czas go nakarmić – stwierdził Marcus. Pokręcił głową, widząc, jak niecierpliwie się chłopiec, ale szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Pardon pewnie krzywo na niego patrzył – zagadnęłam. – Pamiętam, jak mówił, że mieszkania w Apartamentach Ogrodowych są tylko dla

dorosłych.

– Kenya był już kiedyś u mnie i pan Albee nie miał nic przeciwko temu – odparł Marcus, patrząc, jak chłopiec puszcza się biegiem po chodniku. – Zastanawiam się, co zrobi następny właściciel. Wiesz może, kto to będzie?

– Nie – odpowiedziałam powoli. Z kwestią spadku po Pardonie zetknęłam się już po raz drugi. – Nie mam zielonego pojęcia. Ale mogę spróbować się dowiedzieć.

– Daj mi znać – poprosił Marcus i pomachał ręką w geście pożegnania.

– Uroczy dzieciak – powiedziałam i przez chwilę patrzyłam, jak dogania syna, a potem odwróciłam się i poszłam do domu.

U Mela i Helen Drinkwaterów sprzątam raz w tygodniu przez trzy i pół godziny.

Oboje są po pięćdziesiątce i pracują – on jest członkiem rady miasta, ona ekonomistką w banku. Nie robią wiele bałaganu, lecz mają duży stary dom, a kilka razy w tygodniu zaglądają do nich wnuki mieszkające przy tej samej ulicy.

U pani Drinkwater nie ma miejsca na improwizację. Zawsze przygotowuje dla mnie listy rzeczy do zrobienia. Najpierw chciała, żebym określała wszystko, co zrobiłam, i zostawiała je w każdym z pomieszczeń, których dotyczyły, ale odmówiłam. Muszę przyznać, że na początku, gdy uczyłam się zakresu obowiązków, listy się przydawały, ale później zaczęły mi się za bardzo kojarzyć z dziecinnymi malowankami, w których kolory poszczególnych fragmentów obrazków oznaczano cyframi.

Chcąc jej dać do zrozumienia, co sądzę na ten temat, na początku naszej współpracy zostawiałam puste listy dokładnie na środku pokoiów. Pani Drinkwater (przysięgam sobie, że nigdy nie nazwę jej Helen) nie skomentowała tego ani słowem.

Kiedyś zostawiła obok pralki stos brudnych ubrań, a na nich kartkę z prośbą, żebym „wrzuciła rzeczy do pralki, a potem do suszarki”. Za pierwszym razem zagotowałam się ze złości, ale posłusznie wykonałam polecenie, gdy jednak zdarzyło się to po raz kolejny, zostawiłam jej odręcznie napisaną notatkę o treści: „Tego nie ma na żadnej liście”. Pani Drinkwater przestała dodawać mi nowych obowiązków.

Piętrowy dom z przełomu wieków mieści się w najstarszej zachowanej dzielnicy Shakespeare. Położony jest w pewnej odległości od ulicy i należy do niego jeszcze przynajmniej z pół akra lasu na tyłach, który Drinkwaterowie pozostawili nietknięty. Fasadę pomalowano na żółto, ozdobne detale na biało, a okiennice na ciemno zielono. Dom prezentował się szczególnie uroczo w jasnym ciepłym świetle poranka.

Dzisiaj rano miałam się nad czym zastanawiać. Marshall rozstał się z Theą i oznajmił mi to takim tonem, jakby to miało jakiś związek ze mną. Gdy sprzątałam w łazience na piętrze, zastanawiałam się, czy nadal żywi do mnie choć iskrę uczucia, po tym co zaszło ubiegłej nocy. W przeszłości, gdy czułam coś więcej niż tylko przelotną sympatię do jakiegoś mężczyzny, wystarczyło, żebym mu powiedziała o moich przejściach, żeby go odstraszyć. Z wyjątkiem jednego, który podniecił się tak bardzo, że chciał mnie posiąść przemocą.

Obroniłam się, ale kosztowało mnie to sporo czasu i wysiłku. Dlatego postanowiłam uczyć się sztuk walki, które okazały się najprzyjemniejszą jak dotąd rzeczą w moim życiu.

Takie myśli pukały do mojej świadomości. Porównywałam je do kropli deszczu padających na chodnik, bo dotyczyły spraw dla mnie ważnych, lecz nie pochłaniały zupełnie mojej uwagi. Myślałam też o osadzie na wannie Drinkwaterów i co zrobić z komiksem znalezionym za toaletą.

Dopiero gdy deski podłogi na parterze zaskrzypiały po raz drugi, zwróciłam na to uwagę.

Zamarłam bez ruchu, trzymając gąbkę nad umywalką. Spojrzałam w lustro niewidzącym wzrokiem, starając się zrozumieć przyczynę skrzypnięcia.

Drinkwaterowie wychodzą do pracy kwadrans po ósmej. Zawsze zostawiają drzwi kuchenne otwarte, bo wiedzą, że przychodzę o wpół do dziewiątej i zamykam je na klucz, chociaż włamania za dnia w tej części miasta praktycznie się nie zdarzają.

A więc podczas tego kwadransa ktoś musiał się zakraść do domu. Zamknęłam oczy, by lepiej słyszeć. Bezszelestnie ściągnęłam gumowe rękawice i odłożyłam je do umywalki. Intruz jeszcze nie dotarł na górę, miałam więc czas, żeby się przygotować.

Nie miałam czasu zdejmować butów. Wyszłam bezgłośnie z łazienki, próbując sobie przypomnieć, w którym dokładnie miejscu na parterze skrzypi podłoga. Jeśli zdążę się ukryć za ścianą na korytarzu w miejscu, w którym łączy się on ze schodami, będę mogła zaatakować, gdy wejdzie na górę.

Z każdym krokiem byłam coraz bliżej schodów. Po drodze na przemian zginałam i prostowałam ręce, żeby rozluźnić mięśnie. Serce zaczęło mi walić jak młot i poczułam lekki zawrót głowy, ale byłam gotowa – nie bałam się walki.

Wiedziałam, że powinnam się odprężyć, w przeciwnym razie napięte mięśnie sprawią, iż będę poruszać się trochę wolniej... musiałam myśleć o tak wielu rzeczach naraz.

Usłyszałam kroki na schodach.

Odruchowo zacisnęłam dłonie w pięści i napięłam mięśnie nóg. Serce coraz szybciej pompowało krew. Cichy szelest, coś jakby materiału

przesuwającego się wzdłuż ściany. Bardzo blisko. Potem cichy dźwięk, którego nie potrafiłam zinterpretować. Zmarszczyłam brwi.

Chyba jakiś przedmiot z metalu.

I kolejne skrzypnięcie schodów.

Czy to na pewno jeden z dolnych stopni?

Ze zdziwieniem pokręciłam głową.

Kolejny odgłos nadszedł z zupełnie innego miejsca, położonego znacznie dalej od schodów. Z głębi kuchni...

Uciekał, ten drań uciekał!

Zbiegłam ze schodów, nie zwracając uwagi na coś białego. Wściekłość niosła mnie jak na skrzydłach. Miałam wrażenie, że zupełnie nie dotykam nogami podłogi. Gdy dobiegałam do kuchni, usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Chociaż spóźniłam się tylko o kilka sekund, intruzowi to wystarczyło, by ukryć się w zaroślach na tyłach domu Drinkwaterów.

Stałam w drzwiach przez minutę lub więcej, ciężko dysząc. Po raz pierwszy zrozumiałam, co to znaczy rwać się do walki. Jednak zdrowy rozsądek zwyciężył i wycofałam się, zamykając za sobą drzwi kuchenne na klucz.

Odczulałam natychmiastową reakcję na adrenalinę, którą moje ciało wpompowało do krwi, by przygotować mnie do walki. Z każdym krokiem czułam mrowienie rozluźniających się mięśni. Niechętnie poszłam sprawdzić, co nieproszony gość zostawił na schodach. Czysta biała chusteczka, pod którą coś się kryło. Powoli wyciągnęłam dłoń i odsunęłam materiał.

W promieniach słońca wpadających przez witraż na półpiętrze ujrzałam parę tanich metalowych kajdanek, pewnie z zestawu zabawek dla dzieci. Obok nich leżał plastikowy pistolet.

Przysiadłam na stopniu i ukryłam twarz w dłoniach.

Trzy dni temu o dawnym życiu Lily Bard nie wiedział nikt, a przynajmniej taką miałam nadzieję. Teraz moją tajemnicę znali Claude Friedrich i Marshall, któremu sama opowiedziałam o wszystkim. Kto jeszcze mógł o mnie wiedzieć? Życie, które tak pieczołowicie budowałam, rozpadało się. Próbowałam znaleźć jakiś punkt oparcia. Po raz kolejny musiałam pogodzić się z ponurą prawdą: mogłam liczyć tylko na siebie.

Przeszukałam dom. Przez cały czas powtarzałam sobie, że gdy skończę i niczego podejrzanego nie znajdę, dokończę sprzątanie, lecz prawdziwą ulgę odczułam dopiero, gdy wróciłam do siebie. Natychmiast zatelefonowałam do pracy do pani Drinkwater i poinformowałam ją, że po drodze zauważyłam podejrzaną osobę kręcącą się w pobliżu ich domu.

– Myślę, że nie powinniście państwo zostawiać domu otwartego nawet na te piętnaście minut przed moim przyjściem – powiedziałam. – Więc albo będę przychodziła wcześniej, albo będziecie musieli dać mi klucz.

Pani Drinkwater najwyraźniej nie ufała mi. Ze słuchawki dobiegł mnie cichy odgłos. Najwyraźniej moja pracodawczyni stukała się ołówkiem po zębach. Bardziej niż mnie jako osobę woli oglądać efekty mojej pracy. Aż do dzisiejszego ranka taki układ bardzo mi odpowiadał.

– Sądzę – stwierdziła wreszcie – że lepiej, jeżeli będzie pani przychodzić wcześniej.

Może pani poczekać w kuchni, dopóki nie wyjdziemy.

– Dobrze, tak zrobię – odparłam i odłożyłam słuchawkę.

Nie chciałam dopuścić do tego, by powtórzyło się nikczemne zagranie, którym ktoś chciał mnie wyprowadzić z równowagi. Leżałam na łóżku i rozmyślałam o incydencie. Być może intruz nie zorientował się, że usłyszałam skrzypnięcie podłogi, a może spodziewał się, że zejdę na dół później i wtedy znajdę kajdanki i rewolwer. Raczej nie planował żadnej konfrontacji, w przeciwnym razie nie uciekłby tak szybko tylnym

wejściem. Nie wiedziałam tylko, czy miałam domyślić się jego obecności, zanim wyszedł z domu. A to stanowiło zasadniczą różnicę. Będę musiała się nad tym zastanowić. Może zapytam Marshalla?

Ta myśl sprawiła, że od razu usiadłam na łóżku. Klepinięciem w policzek przywołałam się do porządku.

Marshall znajdował się dotąd na peryferiach mojego życia, a po wczorajszej rozmowie prawdopodobnie zniknął z niego na zawsze. Obiecałam sobie nie myśleć więcej o nim jako o części mojego życia. Wróci do Thei albo mnie sobie odpuści, bo opowiedziałam mu, skąd wzięły się blizny. A może zdrowy rozsądek podpowie mu, że nie potrzebuje kogoś takiego jak ja?

Potem przyrzekłam sobie do końca dnia o niczym nie myśleć. Szybko zjadłam kanapkę i wyszłam z domu. W czwartkowe popołudnia mam jeszcze dwóch klientów. Gdy o wpół do siódmej wyszłam od ostatniego – z biura podróży – poczułam, że skończył się bardzo długi dzień.

Ostatnią osobą na świecie, którą chciałam wtedy zobaczyć, był Claude Friedrich stojący na progu mojego domu. Pomyślałby kto, że mu się spodobałam – przemknęła mi przez głowę kąśliwa myśl. Zaparkowałam samochód pod wiatą i podeszłam do drzwi frontowych, zamiast wejść kuchennymi jak zwykle.

– Czego pan chce? – zapytałam niegrzecznie.

Uniósł brwi.

– Niezbyt pani dziś uprzejma.

– Miałam długi dzień i nie mam ochoty na wspominki. Jestem głodna.

– Więc niech mnie pani zaprosi do środka. Nie będę przeszkadzał w przygotowaniach – powiedział taktownie.

Nie miałam pojęcia, co zrobić, tak byłam zaskoczona. Chciałam zostać sama, ale gdybym kazała mu sobie pójść, wyszłabym na rozdrażnioną. Poza

tym mógł mnie nie posłuchać – i co wtedy?

Nie odpowiadając, otworzyłam drzwi i weszłam. Po chwili wszedł za mną.

– Chce pan coś do jedzenia albo do picia? – zapytałam z ledwo ukrywaną wściekłością.

– Jadłem już kolację, ale gdyby zaproponowała mi pani herbatę, nie odmówię – zagrzmiał basem Friedrich.

Przez chwilę zostałam sama w kuchni. Usiadłam, oparłam ręce na blacie i chwyciłam się za głowę. Usłyszałam powolne, miarowe kroki mężczyzny przechadzającego się po moim domu. Na chwilę przystanął przed drzwiami pokoju treningowego. Wstałam i zauważyłam, że wszedł do kuchni i przygląda mi się. Wyraz jego twarzy zdradzał zarówno sympatię, jak i ostrożność. Wyjęłam z szafki szklanekę i nalałam mu trochę herbaty, wrzucając na dokładkę parę kostek lodu. Bez słowa podałam mu napój.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby rozmawiać o przeszłości. Jak pani wie, musiałem prześwietlić każdego, kto miał jakiegokolwiek kontakty z Pardonem. Pani nazwisko z czymś mi się kojarzyło... Zapamiętałem je z gazet. Ale dzisiaj przyszedłem tylko porozmawiać... Był u mnie pani klient – wyjaśnił Friedrich. – Mówi, że może pani potwierdzić jego słowa.

Uniosłam brwi.

– Tom O'Hagen zeznał, że w poniedziałek miał wolne. Około trzeciej skończył grać w golfa i wrócił do domu.

Czekał na moją reakcję, ale znów go rozczarowałam.

– Mówi, że później poszedł do mieszkania Pardona, żeby zapłacić czynsz, zastał drzwi uchylone, więc zajrzał do środka. Nikt nie odpowiadał na jego wołanie. Pan O'Hagen zobaczył pozwijany dywan i przesunięty tapczan. Zostawił pieniądze na biurku i wyszedł.

– Myśli pan, że o trzeciej Pardon mógł już nie żyć?

- Jeżeli Tom mówi prawdę. Tylko pani może potwierdzić jego słowa.
- Nie bardzo rozumiem.
- Mówi, że schodząc po schodach, zauważył panią. Stała pani przy drzwiach do mieszkania Yorków.

Cofnęłam się myślą w przeszłość, starając się przypomnieć sobie dzień, który zapowiadał się na najzwyczajniejszy pod słońcem. Dopiero gdy wróciłam do domu z nocnego spaceru, zorientowałam się, że właśnie ten dzień powinnam zapamiętać ze szczegółami.

Zamknęłam oczy, próbując odtworzyć krótki odcinek czasu z poniedziałkowego popołudnia. Niosłam torbę z zakupami, które Yorkowie zamówili na swój powrót. Nie, dwie torby. Musiałam je położyć na ziemi, żeby wyjąć właściwy klucz – źle sobie to zaplanowałam. Przypomniałam sobie, że w myślach skarciłam się za to.

– Nie widziałam nikogo w korytarzu, ale rzeczywiście słyszałam, jak ktoś schodzi po schodach. Mógł to być Tom – mówiłam powoli. – Miałam problem ze znalezieniem klucza do mieszkania Yorków w pęku na moim breloku. Weszłam do środka, odłożyłam torby z zakupami... Jedzenie włożyłam do lodówki, a resztę zostawiłam na blacie w kuchni. Nie musiałam podlewać asparagusa, bo miał jeszcze dość wody, a rolety w sypialni były już zwinięte, chociaż zwykle to ja je zwijam, więc wyszłam.

Powtórzyłam gest zamykania drzwi na klucz. Potem odwróciłam się do wyjścia...

– Widziałam go! Szedł od strony mieszkania Pardona do siebie. Śpieszył się! – wykrzyknęłam z dumą.

Nie darzę Toma O'Hagena szczególną sympatią, jednak cieszyłam się, że mogę potwierdzić jego wersję wydarzeń, przynajmniej do pewnego stopnia. Jeżeli słyszałam Toma schodzącego po schodach, a po dwóch, trzech minutach, które spędziłam w mieszkaniu Yorków, wychodzącego od

Pardona, raczej nie miał czasu na popełnienie zbrodni. Tylko po co szedł na górę? Przecież mieszka na parterze. Do Deedry? Nie. Była w pracy.

– Słyszałem, że zna pani Marshalla Sedakę – powiedział niespodziewanie Friedrich.

Byłam tak zaskoczona, że spojrzałam mu prosto w oczy.

– Tak.

– Zgłosił się dzisiaj na komisariat. Rozmawiał z Dolphem Staffordem. Powiedział mu, że po śmierci Pardona dziedziczy cały interes. Widać denat miał sporo udziałów w różnych interesach.

Wzruszyłam ramionami. I co z tego?

– Nikt z miejscowych nie zna Marshalla zbyt dobrze – dodał Friedrich. – Pewnego dnia po prostu zjawił się w mieście i ożenił z Theą Armstrong. W sumie to dość dziwne, że nikt wcześniej nie zainteresował się tą dziewczyną. Przecież nie można jej odmówić urody ani inteligencji. Może chłopak po prostu miał szczęście? Teraz wyprowadził się z domu i wynajął mieszkanie przy Farradaya.

Nie miałam pojęcia, że właśnie tam zamieszkał. Ulica, o której wspomniał Friedrich, znajdowała się mniej więcej trzy przecznice ode mnie. Sięgnęłam do lodówki, wyjęłam garnek z zupą, którą ugotowałam w weekend, i włożyłam do kuchenki mikrofalowej.

Zanim odezwał się dzwonek wyłącznika czasowego, upłynęły dwie długie minuty. Oparłam dłonie na kuchennym blacie i czekałam, jaką sensacją uraczy mnie jeszcze komendant policji.

– Śmierć Pardona Albee spowodował uraz szyi – powiedział po chwili. – Najpierw dostał w szczękę, a potem potężny cios w gardło.

Skojarzenie nasuwało się samo. Marshall był bardzo silny.

– Więc uznał pan – podsumowałam, nalewając zupę na talerz – że Marshall rzucił Theę dla mnie, a potem zabił pana Albee, żeby przejąć cały

interes, bo bez tysiąca dolarów miesięcznie od Thei nie domknie mu się budżet?

Friedrich się zarumienił.

– Tego nie powiedziałem.

– Sugestia nasuwa się sama. Chyba że mi pan podpowie, co pan miał na myśli. A może coś mi umknęło? – Wpatrywałam się w niego pytająco przez dłuższą chwilę z uniesionymi brwiami. – No właśnie. Coś panu pokażę, może to pana zainteresuje.

Pokazałam mu białe zawiniątko – chusteczkę z brzegami zdobionymi białymi paskami różnej szerokości. Wypukłości zdradzały, że coś kryje się w środku.

– Zechce mi pani powiedzieć coś więcej? – spytał Friedrich.

Krótko i mam nadzieję bez emocji opisałam, co tamtego ranka zdarzyło się u Drinkwaterów.

– I nie wezwała nas pani? Ktoś niepowołany wszedł do domu, a pani nie zadzwoniła?

Nawet jeżeli pani nic się nie stało, mógł coś ukraść.

– Jestem pewna, że nic nie zginęło. Znam ten dom jak własną kieszeń i mogę powiedzieć, że wszystko było w porządku. Niczego nie szukał, nie przesuwał ani nie zostawił otwartych szuflad.

– A więc zakłada pani, że te rzeczy podrzucił ktoś, kto wie, co przydarzyło się pani w Memphis?

– Czy to nie logiczne wytłumaczenie? Wiem, że pan już wie. Mówił pan o tym komuś?

– Nie. Po co? Kilka dni temu zatelefonowałam do komendy policji w Memphis. Jak już wspomniałem, po jakimś czasie przypomniałem sobie, gdzie wcześniej słyszałem pani nazwisko. Zdziwiłem się, że go pani nie zmieniła, muszę przyznać.

– To moje nazwisko. Dlaczego miałabym je zmieniać?

– Żeby nie poznał go nikt, kto chciałby z panią pogadać o tym, co się stało.

– Rzeczywiście, przez jakiś czas zastanawiałam się nad tym – przyznałam. – Ale ci bandyci zabrali mi już wystarczająco dużo. Chciałam zachować przynajmniej imię i nazwisko. Poza tym... Wyglądałoby to na przyznanie się, że zrobiłam coś złego.

Rzuciłam Friedrichowi pełne wściekłości spojrzenie, które powiedziało mu wyraźnie, żeby powstrzymał się od komentarza. W zadumie sączył herbatę.

Ciekawe, czy Pardon wiedział o mojej przeszłości – pomyślałam. Nigdy ani słowem o tym nie wspomniał, ale należał do ludzi, którzy lubili wiedzieć wszystko o wszystkich. Gdyby wiedział, na pewno zrobiłby jakąś aluzję. Nie mógłby się oprzeć.

– Czy policja w Memphis przysłała panu raport? A może jakieś dokumenty? – zapytałam.

– Tak – przyznał. – Przefaksowali mi akta sprawy. Położył rękę na kieszeni i zapytał mnie, czy może zapalić fajkę.

– Nie – odmówiłam. – Gdzie zostawił pan ten faks?

– Myśli pani, że ktoś z mojego biura go zauważył i wszystko rozpowiedział? A pani nikomu o tym nie mówiła?

Skłamałam.

– Ani słowa. Osoba, która to zostawiła na schodach u Drinkwaterów, wie, że zostałam zgwałcona i zna okoliczności zdarzenia. Moim zdaniem, informacja o tym musiała wyjść z pana biura.

Claude Friedrich spochmurniał. Wyglądał na wyższego, bardziej zdecydowanego i groźniejszego.

– Może ktoś panią rozpoznał, gdy się tu pani przeprowadziła? Tylko do tej pory coś go powstrzymywało i nie wspominał o tym?

– I to coś właśnie przestało go powstrzymywać – stwierdziłam. – Proszę już iść. Muszę poćwiczyć.

Zabrał chusteczkę, kajdanki i broń. Byłam zadowolona, że sobie poszedł.

Zwykle nie ćwiczę w czwartki wieczorem, zwłaszcza jeżeli rano byłam w siłowni. Ale ten dzień był jednym długim pasmem strachu i złości, przerwany monotonią codziennej pracy.

Musiałam coś zrobić, żeby się odprężyć, a trening z workiem jakoś mi się nie uśmiechał.

Chciałam poćwiczyć z ciężarami.

Ubrałam się w różowe szorty ze spandeksu i biustonosz, na to włożyłam T-shirt w kwiatki, złapałam torbę treningową i pojechałam do Body Time. W czwartkowe wieczory Marshall ma wolne, więc cieszyłam się, że nie będę musiała przeżywać emocjonalnego napięcia, patrząc, jak stara się przetrwać to, o czym mu powiedziałam.

Derrick, czarnoskóry student college’u, który zastępuje Marshalla, pomachał mi przyjaźnie na powitanie. Recepcja znajduje się na lewo od drzwi. Zatrzymałam się, żeby się wpisać, a potem podeszłam do stanowisk z ciężarami, rozpinając po drodze sportową torbę.

W siłowni zastałam tylko dwóch mężczyzn, którzy na poważnie interesowali się kulturystyką. Jeden ćwiczył na suwnicy skośnej do mięśni czworogłowych ud, a drugi rzeźbił łydki na prasie. Znaliśmy się tylko z widzenia, więc odpowiedziawszy na moje skinienie, przestali zwracać na mnie uwagę.

W pozostałej części budynku było ciemno – żadnych świateł w gabinecie Marshalla, drzwi sali do aerobiku i karate były zamknięte.

Porozciągałam się trochę i na rozgrzewkę podniosłam kilka lekkich hantli, a potem włożyłam ochronne rękawiczki z miękkimi podkładkami na dłoń i z palcami odciętymi przy kłykciach. Ciasno zapięłam rzepy.

– Asekurować cię? – zaproponował Derrick, gdy skończyłam trzeci zestaw ćwiczeń.

Skinęłam głową. Zrobiłam po dwadzieścia, trzydzieści i czterdzieści powtórzeń w seriach, a potem wzięłam z półki dwudziestokilogramowe hantle. Położyłam się na jednej z ławek, uważnie układając ciężary w zasięgu rąk. Derrick stanął za moją głową. Sprawdziłam, czy wszystko w porządku, i chwyciłam hantle. Unosiłam je, dopóki nie zetknęły się nade mną.

– Nieźle, Lily! – wykrzyknął Derrick.

Opuściłam, a potem znów podniosłam ciężary, starając się nad nimi zapanować. Na twarzy wystąpiły mi kropelki potu. Byłam szczęśliwa.

Za szóstym razem uniesienie rąk zaczęło mi sprawiać kłopoty. Derrick chwycił mnie za nadgarstki, pomagając mi dokończyć ruch.

– No, Lily, uda ci się – mruknął. – Teraz do góry.

Po raz kolejny uniosłam ramiona.

Odłożyłam dwudziestki dwójki na półkę i wzięłam dwudziestki piątki. Z dużym wysiłkiem położyłam się na ławce. Miałam duże trudności z ich podniesieniem. Powszechnie uważa się, że pierwszy raz jest najtrudniejszy, ale z doświadczenia wiem, że jeżeli pierwszy raz jest mi naprawdę ciężko, za każdym następnym razem wcale nie będzie łatwiej. Derrick trzymał mnie za nadgarstki, gdy podnosiłam ręce, a potem rozluźniał chwyt, gdy je opuszczałam. Podniosłam dwudziestki piątki sześć razy, zaciskając zęby w niesamowitym wysiłku.

– Jeszcze raz – chwyciłam powietrze, czując, jak od zdradzieckiego zmęczenia mdleją mi ramiona.

Tak bardzo skupiłam się na podnoszeniu ciężarów, że nie zauważyłam pewnej zmiany. Palce, które mi pomagały, były koloru kości słoniowej, nie czarne.

Trzymałam ręce w górze aż do chwili, gdy poczułam, że dłużej nie mogę.

– Uwaga, puszczam! – zawołałam ostrzegawczo.

Marshall cofnął się za ławkę i hantle opadły na podłogę, na szczęście z niezbyt dużej wysokości. Kontrolowałam ich lot zgiętymi w ramionach rękami. Gdy uderzyły w gumową matę, nie potoczyły się.

Wstałam i usiadłam okrakiem na ławce, tak zadowolona z nowego osiągnięcia, że widok Marshalla po pełnym zwierzeń wieczorze nie wzbudził we mnie niepokoju. Miał na sobie to, co zawsze uważałam za jego strój roboczy – bezrękawnik i obcisłe spodnie zdobione egzotycznym wzorkiem z linii ubrań sportowych do ćwiczeń na siłowni, które klienci mogli zamawiać za pośrednictwem Body Time.

– Gdzie się podział Derrick? – spytałam i sięgnęłam po torbę, by wyciągnąć z niej różowy ręcznik.

– Szukałem cię po całym mieście.

– Coś się stało?

– Byłaś tutaj przez cały wieczór?

– Nie. Przyjechałam... jakieś trzydzieści, czterdzieści minut temu.

– Gdzie byłaś wcześniej?

– W domu – odpowiedziałam z nutką zniecierpliwienia w głosie.

Jeżeli zapytałby mnie o to ktokolwiek inny, odmówiłabym odpowiedzi. W sali panowała dziwna cisza. Dopiero teraz zauważyłam, że jesteśmy sami.

– Gdzie Derrick? – spytałam znowu.

– Wysłałem go do domu, kiedy kończyłaś dwudziestki piątki. Byłaś sama w domu?

Nie spuszczałam z niego wzroku, wycierając twarz i klatkę piersiową.

– O co ci chodzi?

– Lily, jakieś półtorej godziny temu ktoś wszedł kuchennymi drzwiami do domu Thei, gdy była w salonie, i podrzucił na stole zdechłego szczura.

– Fuj! – wykrzyknęłam ze wstrętem. – Kto i po co miałby coś takiego zrobić?

Nagle zorientowałam się, do czego zmierza.

– Myślisz, że... – byłam tak oburzona, że trudno mi było znaleźć właściwe słowa, a ręce instynktownie zacisnęłam w pięści.

Marshall usiadł okrakiem po drugiej stronie ławki. Wyciągnął rękę i położył mi palec na ustach.

– Skądże znowu – powiedział gorączkowo. – Nigdy, przenigdy coś takiego nie przysłoby mi do głowy.

– Więc czemu pytasz?

– Thea... ona ma...

Nigdy nie słyszałam, żeby Marshall nie wiedział, co powiedzieć. Był bardzo speszony.

– Thea uważa, że to ja zrobiłam?

Spojrzał na żaluzje zasłaniające duże okno od ulicy.

– Tak właśnie myśli – przyznał.

– Ale dlaczego? – Nie mogłam wyjść ze zdumienia. – Po co miałabym coś takiego robić?

Na policzkach Marshalla pojawił się rumieniec.

– Wbiła sobie do głowy, że to przez ciebie się rozstaliśmy.

– Zupełnie zwariowała.

– Czasami Thea ma... to znaczy, rzeczywiście trochę jej odbija.

– Ale dlaczego?

Nie odpowiedział.

– Możesz wrócić i powiedzieć Thei – albo nie, sama to zrobię z największą przyjemnością – że odwiedził mnie w domu nieproszony gość – komendant policji we własnej osobie. Poszedł sobie tuż przed moim wyjściem na siłownię. A więc mam coś, co można nazwać niepodważalnym alibi.

Marshall odetchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu. Teraz może wreszcie da mi spokój.

– W takim razie wytłumacz mi jedno. Dlaczego uważa, że zostawiasz ją z mojego powodu?

– Może za często wspominałem o tobie, kiedy mówiłem o kursie karate albo o ludziach, którzy tu ćwiczą?

Nasze spojrzenia spotkały się. Przełknęłam ślinę. Nagle zdałam sobie sprawę, że jesteśmy sami. Nie pamiętałam, żebym kiedyś była z nim naprawdę sam na sam w pustym budynku. Sięgnął ręką do wyłącznika i zgasił światło. Panujący w sali mrok rozpraszała tylko poświata wpadająca z zewnątrz przez szpary w żaluzjach. Jego twarz i resztę ciała pokrywały na przemian jasne i ciemne pasy.

Nadal siedzieliśmy okrakiem na ławce zwróceniami twarzami do siebie. Powoli, dając mi dużo czasu na oswojenie się z myślą o tym, co może się stać, pochylił się do przodu. Gdy jego usta dotknęły moich, spięłam się z obawy przed falą paniki, która w ciągu kilku ostatnich lat pojawiała się podczas wszystkich prób nawiązania bliższych kontaktów z mężczyznami.

Tym razem panika nie przyszła.

Odwzajemniłam pocałunek Marshalla. Przysunął się bliżej, wsuwając nogi pode mnie. Objęłam go nogami w pasie, a stopy oparłam na ławce za nim. Gdy zarzuciłam mu ręce na szyję, przycisnął mnie do siebie.

Może dlatego, że zupełnie się tego nie spodziewałam, może z powodu sprzyjających okoliczności albo wcześniejszej przyjaźni z Marshalllem, nagle coś, co dotąd było takie trudne, stało się łatwe i naglące.

Ściągnął mi T-shirt przez głowę. Widział już blizny, nie musiałam się więc obawiać jego reakcji. Drżącymi rękami zdjęłam mu bezrękawnik. Jego język poruszał się w moich ustach. Po raz pierwszy dotknęłam jego nagiego torsu. Podciągnął mój sportowy biustonosz, zza którego wyskoczyły piersi. Jego język znalazł nowy cel pieszczot. Jęknęłam cicho, gdy część mnie, którą dotąd uważałam za martwą, nagle zbudziła się do życia. Niecierpliwie pieściłam go, potem wstałam, nadal okrakiem nad ławką, chcąc zdjąć szorty. Całował mój brzuch, a potem jego usta ześliznęły się niżej. Podparłam się kolanem na ławce i odwróciłam, żeby zdjąć szorty. W ciemności usłyszałam szelest materiału. Po chwili zobaczyłam umięśnione, nagie ciało Marshalla pocięte pasmami światła. Położyłam się na ławce, a Marshall ukląkł i wypełnił mnie. Słowa, które szeptał, sprawiły, że poczułam się bardzo szczęśliwa. Było nam cudownie.

ROZDZIAŁ 7

Obudziłam się w radosnym nastroju, co było u mnie stanem tak rzadkim, że przez kilka minut nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Przeciągnęłam się w łóżku. Dawno nie czułam się obolała w taki sposób. Skoro dzień wcześniej tak dobrze mi się trenowało (na myśl o tym uśmiechnęłam się znacząco), postanowiłam zrobić kilka pompek w domu zamiast w Body Time. Nastawiłam ekspres do kawy, a potem poszłam do pokoju treningowego, położyłam się i szybko zrobiłam pięćdziesiąt pompek. Po kąpieli włożyłam zwykły strój roboczy – luźne dżinsy i T-shirt.

Nie miałam pojęcia, dlaczego niektórym kobietom wydaje się, że w obcisłych dżinsach będzie im się łatwiej bronić albo sprzątać dom.

Wzięłam z ganku gazetę i usiadłam nad płatkami i kawą. Czułam się tak niesamowicie odprężona i zadowolona, że prawie nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić.

Przyłapałam się na tym, że wyglądam przez kuchenne okno i uśmiecham się do pogodnego poranka. Dobry seks naprawdę korzystnie wpływa na podejście do życia – pomyślałam. I nie chodziło tylko o cudowne doznania, lecz także udane zakończenie, bez ataku paniki i fali odrazy ze strony partnera.

Zastanawiałam się, czy Marshall dziś do mnie zadzwoni. Co będzie wieczorem na zajęciach? Bezwzględnie zdusiłam te myśli w zarodku. Będzie, co ma być. Łączy nas dobry seks i nic więcej. Ale co szkodzi wspominać?

Spojrzałam na zegarek, a potem niechętnie przygotowałam przybory: wiadro na kółkach ze środkami czyszczącymi i szmatami, następnie

wyruszyłam wykonać pierwsze zlecenie tamtego dnia – posprzątać mieszkanie Deedry Dean.

O ósmej Deedra powinna być już w pracy. Mimo to przed przekręceniem klucza w zamku zastukałam ostrzegawczo do jej drzwi. Nie skończyła jeszcze porannej toalety. Nie pierwszy raz się spóźniała.

Chodziła z lokówkami na głowie. Oprócz nich miała na sobie tylko czarną koronkową halkę. Marcus Jefferson wychodził właśnie ze swojego mieszkania, gdy Deedra otworzyła swoje. Zadbła o to, by dobrze się jej przyjrzał w negliżu. Weszłam do środka i gdy się odwracałam, by zamknąć drzwi, udało mi się dostrzec wyraz twarzy Marcusa. Wyglądał na trochę... zdegustowanego, ale podnieconego zarazem.

Pokręciłam głową. Deedra pokazała mi język, a potem wpadła z powrotem do łazienki, żeby skończyć nakładać makijaż. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się, by nie dać jej w twarz w nadziei, że umysł tej kobiety wreszcie zaskoczy. Gdzieś w jej głowie muszą się tlić jakieś resztki inteligencji, skoro dotąd nie wyrzucono jej z pracy, w której przecież musi coś robić.

– Lily! – zawołała z łazienki, gdy ponuro przyglądałam się bałaganowi panującemu w jej mieszkaniu. – Czy jesteś rasistką?

– Nie, raczej nie – odkrzyknęłam, z przyjemnością wracając myślą do umięśnionego ciała Marshalla. – Kłopot polega na tym, że nie myślisz poważnie o Marcusie, tylko się zabawiasz. Poza tym sypianie z czarnym to nadal delikatna sprawa. Lepiej, żebyś myślała o nim poważnie. W przeciwnym razie co powiesz, kiedy ludzie zaczną cię obgadywać?

– On też to robi dla zabawy – odpowiedziała Deedra, wyglądając na chwilę zza drzwi.

Jeden policzek miała uróżowany, a drugi naturalnie biały.

– Czas zrobić coś zupełnie bez sensu – mruknęłam i zaczęłam składać wszystkie magazyny i listy porozrzucane po stoliku.

Na chwilę zastygłam. Przyganiał kocioł garnkowi? Nie – stwierdziłam z pewną ulgą – to, co robiliśmy z Marshalllem, coś dla nas znaczyło. Jeszcze nie byłam pewna co. Ale wiedziałam, że tak było.

Zajęłam się swoimi obowiązkami, jakby Deedry nie było w mieszkaniu, żałując, że jest inaczej. Kończyła toaletę, bez przerwy nucąc, śpiewając i paplając do siebie, co w niemożliwy do opisania sposób działało mi na nerwy.

– Myślisz, że co z nami będzie po śmierci Pardona? – zapytała, zapinając czerwoną sukienkę w czarne pasy. Równocześnie wsunęła stopy w dobrane kolorystycznie czółenka.

– Jesteś trzecią osobą, która mnie o to pyta – odparłam rozdrażniona. – A niby skąd mam wiedzieć?

– Po prostu uważamy, że wiesz wszystko – powiedziała Deedra rzeczowo. – I trzymasz gębę na kłódkę, to twoja zaleta.

W odpowiedzi tylko westchnęłam.

– Z Pardona był kawał sukinsyna – kontynuowała tym samym tonem. – Zawsze się mnie czepiał. Zawsze gdzieś się kręcił, zawsze wypytywał, co słyhać u mamy, jakby musiał mi przypomnieć, kto za mnie płaci czynsz. Kiedy umawiałam się z jakimś białym dobrze sytuowanym gościem – prawnikiem, lekarzem albo prezesem banku – zawsze mi gratulował.

Jakby mnie przestrzegał, żebym nie zeszła na złą drogę.

Sama bym spróbowała, gdybym przypuszczała, że może to odnieść jakiś skutek – przyznałam w duchu. Teraz, kiedy Pardon nie żył, mogła sobie z niego żartować, lecz kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, śmiertelnie się przestraszyła, kiedy wspomniałam, że mógł przeszukać jej mieszkanie.

Zapięła ostatni guzik sukienki, a potem wróciła jeszcze do lustra w łazience, żeby nadać ostateczny szlif artystycznie zmierzwionym blond włosom.

Po chwili znów usłyszałam jej charakterystyczny nosowy głos: – Kiedy w poniedziałek po południu poszłam do tego starego pierdziocha, żeby mu zapłacić – nagle zaczęłam zwracać uwagę na jej słowa – miałam go prosić, żeby przypadkiem nie puścił pary z gęby o mnie i Marcusie. Ale spał wtedy na tapczanie.

– O której godzinie? – spytałam, próbując nadać głosowi obojętne brzmienie.

– Hm... mniej więcej o wpół do piątej – odpowie działa z roztargnieniem. – Wyrwałam się z pracy na kilka minut. Zapomniałam mu zanieść czek w przerwie na lunch, a wiesz, jak mu zależy, żeby wszystkich skasować przed piątą.

Zrobiłam parę kroków w głąb korytarza, żeby zobaczyć jej odbicie w lustrze.

Konturówką poprawiała brwi.

– Czy w jego mieszkaniu nie zauważyłaś niczego podejrzanego?

– To u niego też sprzątałaś? – zaciekała się, odkładając kredkę. Zadowolona z efektów swojej pracy, ruszała się szybciej, zbierając rzeczy. – Faktycznie, tapczan stał tyłem do drzwi, nie tam, gdzie zwykle. Ale był na rolkach. Jednym końcem dotykał stolika, a dywan był cały pofałdowany.

– Weszłaś do środka i dobrze się rozejrzałaś, co?

Stała w bezruchu, sięgając po torebkę leżącą na stoliku przy drzwiach.

– Chwileczkę – powiedziała. – Posłuchaj, Lily, weszłam do środka dopiero wtedy, kiedy nie zareagował na pukanie. Pomyślałam, że jest gdzieś w drugiej części mieszkania, skoro drzwi były otwarte. Wiesz, że zawsze był w domu w dniu, kiedy przypadały wpłaty czynszu. Pomyślałam,

że to dobra okazja, żeby z nim pomówić. Powinnam była sobie odpuścić. Przez cały dzień miałam pecha – najpierw samochód nie chciał zapalić, potem opieprzył mnie szef, a kiedy wracałam, o mało nie wpakowałam się w kampera Yorków. W każdym razie wydawało mi się, że usłyszałam w mieszkaniu jakiś odgłos, więc otworzyłam drzwi. Leżał na łóżku i spał jak suseł. Więc zostawiłam czek na biurku, bo zauważyłam, że kilka już tam jest. Powiedziałam coś dosyć głośno, żeby go obudzić, a potem wyszłam.

– On nie spał – powiedziałam. – Już wtedy nie żył.

Deedra otworzyła usta ze zdumienia. Jej szczątkowy podbródek znikł zupełnie.

– O nie – szepnęła. – Nawet przez myśl mi nie przeszło... Po prostu stwierdziłam, że śpi. Jesteś pewna?

– Absolutnie pewna – odparłam, chociaż nie miałam pojęcia, jak to pogodzić ze słowami Toma O’Hagena, który zeznał, że mniej więcej godzinę wcześniej widział mieszkanie Pardona w takim samym stanie, ale ciała nie zauważył.

– Musisz o tym powiedzieć policji – poradziłam.

Deedra jakby zastygła w odrętwieniu.

– Już to zrobiłam – powiedziała nieprzytomnie. – Ale o tym nikt mi nie powiedział. Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Więc dlatego mnie nie usłyszał, chociaż mówiłam dość głośno.

– Powiedziałaś policji, o czym chciałaś rozmawiać z Pardonem?

Rzut oka na mały złoty zegarek sprawił, że wystrzeliła jak z procy.

– O cholera! Nie, powiedziałam im tylko, że poszłam zapłacić czynsz. – Chwyliła klucze, a potem przejrzała się jeszcze raz w dużym lustrze nad łóżkiem. – I ty też pamiętaj, żebyś nie pisnęła ani słowa! Co ich obchodzi moje życie osobiste?

Po wyjściu Deedry miałam wiele do przemyślenia.

O wpół do piątej plus minus piętnaście minut ciało Pardona Albee leżało na tapczanie w jego mieszkaniu. Ale o trzeciej go tam nie było. Tom wszedł przez uchylone drzwi i zastał w pokoju bałagan, coś jakby ślady walki.

W takim razie gdzie morderca przechował ciało, zanim przewiózł je do arboretum?

Gdy mieszkanie Deedry znów nadawało się do użytku, spakowałam swoje przybory, a potem starannie zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Nie chciałam więcej słuchać oskarżeń Deedry, jak w ubiegłym tygodniu. Powoli zesłam po schodach do O'Hagenów. Sprzątałam u nich w piątkowe przedpołudnia.

Drzwi otworzyła mi Jenny, więc zorientowałam się, że wczoraj pracowała na drugiej zmianie. Po zamknięciu restauracji jedno z nich – to z nocnej zmiany – zwykle wracało do domu o jedenastej albo dwunastej i odsypiało zarwaną noc następnego ranka, podczas gdy drugie wstawało o piątej, żeby o szóstej otworzyć lokal. Shakespeare to miasto, w którym wcześnie się wstaje i wcześnie chodzi spać.

Jenny ma rude włosy, piegi, płaski biust i szerokie biodra. Starannie dobrany strój skutecznie kamufluje te defekty urody, lecz dzisiaj w szlafroku w kwiaty nie miała zamiaru mi imponować. Poza tym i tak traktuje mnie jak część umeblowania. Po obojętnym przywitaniu zagłębiła się z powrotem w fotelu i zapaliła papierosa. Wróciła do śledzenia talk-show, który jakoś nigdy nie zwrócił mojej uwagi.

Jako jedyna spośród osób widzianych przeze mnie w ciągu minionych pięciu dni zachowywała się zupełnie normalnie.

O'Hagenowie sami sobie piorą, ale nie znoszą sprzątać we własnej kuchni. Specjalnie mnie to nie dziwi, przecież prowadzą restaurację. Dlatego prawie zawsze ładuję ich zmywarę po brzegi. Czasami mam

wrażenie, że zostawiają naczynia z całego tygodnia. W koszu na śmieci jest zawsze pełno tacek po potrawach do odgrzewania w mikrofalce i puszek po gotowych posiłkach. Temu też się nie dziwię. Pewnie po powrocie do domu nie mają ochoty gotować.

Jenny zignorowała mnie zupełnie, gdy wykonując swoje obowiązki, chodziłam po mieszkaniu. Nie zareagowała nawet wtedy, gdy zdjęłam wszystko ze stolika telewizyjnego tuż obok niej, a potem odłożyłam całą zawartość z powrotem, lecz ładnie uporządkowaną.

Nie znoszę dymu papierosów Jenny. O'Hagenowie to jedyni moi klienci, którzy palą. Gdy sobie to uświadomiłam, poczułam lekkie zdziwienie.

Po godzinie zadzwonił telefon. Usłyszałam, że Jenny podnosi słuchawkę i ścisza głos w telewizorze. Specjalnie się nie starając, słyszałam, jak przez kilka minut mruczy coś do słuchawki, a potem ją odkłada.

W głównej sypialni błyskawicznie zmieniałam pościel i przykryłam łóżko kapą.

Opróżniłam popielniczkę po stronie Jenny (rude włosy na poduszce) i przechodziłam właśnie na drugą, by zająć się popielniczką jej męża, gdy w drzwiach pojawiła się pani domu.

– Dzięki za potwierdzenie zeznań Toma – powiedziała niespodziewanie.

Spojrzałam na nią, starając się coś odczytać z wyrazu okrągłej piegowatej twarzy, ale zauważyłam tylko niechęć. Jenny nie lubiła czuć się komukolwiek zobowiązana.

– Nic wielkiego nie zrobiłam. Powiedziałam tylko prawdę – wyjaśniłam, wrzucając pety do worka na śmieci i wycierając popielniczki.

Z cichym brzękiem odłożyłam je na nocną szafkę. Na podłodze zauważyłam ołówek, więc przykucnęłam, podniosłam go i włożyłam do szuflady.

– Wiem, że historia Toma brzmi trochę zabawnie – ciągnęła niepewnie, jakby czekając na moją reakcję.

– Nie dla mnie – odparłam lakonicznie. Obrzuciłam wzrokiem sypialnię, nie zauważyłam żadnych niedoróbek i ruszyłam ku drzwiom drugiej, którą O'Hagenowie przerobili na biuro. Jenny usunęła się, by mnie przepuścić.

Wyjęłam zza paska ścierkę i zaczęłam odkurzać w biurze. Ku mojemu zdziwieniu Jenny poszła za mną. Spojrzałam na zegarek, nie przerywając pracy. Byłam umówiona u Winthropów o pierwszej, ale wcześniej chciałam zjeść lunch.

Jenny zauważyła moje spojrzenie.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedziała zachęcająco, zupełnie jakby trzeba mnie było popędzać. – Chciałam tylko, żeby pani wiedziała, że jesteśmy wdzięczni. Tom ucieszył się, kiedy nie musiał więcej odpowiadać na żadne pytania.

O jednym z nich pomyślałam tego ranka. W innej sytuacji nie przysłoby mi do głowy pytać o coś takiego, ale miałam jej dość, bo na przemian to mnie ignorowała, to chodziła za mną krok w krok.

– Czy pytali go na policji, po co szedł na górę, skoro mieszka na parterze? – zapytałam.

Byłam odwrócona plecami do Jenny, ale usłyszałam krótkie, urywane westchnienie.

Mogło to oznaczać tylko jedno: zaskoczenie.

– Tak, Claude właśnie o to pytał – odparła. – Chciał się czegoś więcej dowiedzieć, bo Tom wcześniej o tym nie wspomniał.

Wiedziałam, dlaczego Friedrich tak postąpił. Przecież sam mieszkał na piętrze naprzeciwko Norvela Whitbreada.

– I co mu powiedział?

– Nie pani sprawa – warknęła.

Nareszcie coś w stylu starej dobrej Jenny O'Hagen.

– Pewnie nie – mruknęłam.

Przejechałam szmatką po metalowych okuciach fotela za biurkiem.

– Bo przecież... – Nagle zamilkła, potem się odwróciła i poszła do sypialni, starannie zamykając za sobą drzwi.

Pojawiła się dopiero wtedy, kiedy skończyłam sprzątanie – czego nie mogłam uznać za zupełny zbieg okoliczności – ubrana w luźną jasnozieloną bluzkę wypuszczoną na szare spodnie.

– Wszystko aż błyszczący – powiedziała, nie patrząc.

A więc nowa Jenny znów czegoś ode mnie chce. Mimo wszystko wolę tę starą, znajomą. Przynajmniej wtedy wiem, na czym stoję.

– Uhm. Wypisze mi pani czek czy zapłaci przelewem?

– Proszę, tu są pieniądze. W gotówce.

– Okej.

Napisałam pokwitowanie, schowałam pieniądze do kieszeni i odwróciłam się do wyjścia.

Poczułam jednak, że Jenny zbliża się do mnie, więc szybko się odwróciłam.

– Wszystko w porządku! – zawołała pośpiesznie, cofając się o kilka kroków. – Chciałam tylko powiedzieć, że Tom na chwilę zajrzał na piętro. Był na górze, ale nie robił nic złego.

Ku mojemu zdumieniu zaczerwieniła się na twarzy, zwłaszcza wokół oczu i nosa, jakby miała za moment wybuchnąć płaczem.

Miałam nadzieję, że się nie rozplacze. Za nic na świecie nie podeszłabym do niej, nie wspominając o pocieszaniu.

Najwyraźniej doszła do tego samego wniosku.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedziała głuchym głosem.

Wzruszyłam ramionami, podniosłam wiadro z przyborami i wyszłam.

– Do widzenia – rzuciłam przez ramię.

Niech wie, że nie jestem nieuprzejma.

Energicznie zamknęłam drzwi, jakbym zamierzała zaraz wyjść z budynku, lecz zatrzymałam się i rozejrzałam po korytarzu. Nie zauważyłam nikogo, nie usłyszałam też żadnego ruchu. Było piątkowe południe, więc oprócz Yorków i pani Hofstettler wszyscy powinni być w pracy.

Przyszło mi do głowy, że wnęka pod schodami (w której Pardon trzymał różne drobiazgi, takie jak zapasowe żarówki i odkurzacz przemysłowy do sprzątania korytarzy) doskonale nadawałaby się na tymczasowe miejsce spoczynku wędrujących zwłok Pardona.

A ja miałam do niej klucz.

Pardon dał mi go trzy lata wcześniej, kiedy wyjechał na jedyne wakacje, jakie pamiętałam. Wybrał się do Cancun na wycieczkę autokarową w towarzystwie złożonym przeważnie z innych mieszkańców Shakespeare. Na czas jego nieobecności do moich zadań należało sprzątanie korytarzy, mycie szyb w tylnych drzwiach, sprzątanie parkingu, a w razie awarii telefonowanie po właściwych fachowców. Dał mi klucz, lecz nigdy nie poprosił o jego zwrot, być może spodziewając się, że kiedyś wybierze się jeszcze na inne wycieczki.

Po jakimś czasie okazało się, że trząśł się o swoje zdrowie niezupełnie bezpodstawnie.

Kardiolog z Little Rock powiedział mi, że rzeczywiście cierpi na pewną niezbyt poważną dolegliwość serca. Pardon na zawsze zrezygnował z dalszych wyjazdów z obawy, że coś złego przytrafi mu się za granicą. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, pokazywał wszystkim zdjęcia z Cancun i opowiadał, że cudem uniknął śmierci.

Wszystkie klucze, jakie powierzali mi zleceniodawcy, opisywałam własnym szyfrem.

Gdyby mi je skradziono, nie chciałam, by złodziej mógł bez przeszkód dostać się do domów i biur moich klientów. Kod, z którego korzystałam, nie był szczególnie skomplikowany: po prostu używałam następnej litery alfabetu. Na przykład na klucz do wnęki w Apartamentach Ogrodowych Shakespeare nakleiłam taśmę maskującą, na której niezmywalnym czarnym pisakiem napisałam trzy litery: BPT.

Podrzuciłam brelok z kluczami i złapałam go prawą ręką, zastanawiając się, czy powinnam zajrzeć do wnęki, czy nie.

Stwierdziłam, że powinnam.

Zniknięcie i ponowne pojawienie się ciała Pardona w parku, w czym niepoślednią rolę odegrał mój wózek na śmieci, zaciekało mnie, lecz także rozzłościło. Po pierwsze, pokazało, że jedna z osób, które widywałam niemal codziennie, ma inną, znacznie ciemniejszą stronę charakteru – nie sądziłam bowiem, żeby mordercą był ktoś spoza grona mieszkańców bloku.

Uświadomiłam to sobie dopiero wtedy, gdy włożyłam klucz do zamka.

Zajrzałam do środka dość dużego pomieszczenia. Wychodzi prosto na korytarz, a ponieważ jego kształt odpowiada biegowi schodów, jest o wiele wyższe po lewej niż po prawej stronie. Sięgnęłam w górę ku długiemu sznurowi, za pomocą którego włączało się światło – żarówkę bez klosza. Gdy tylko go dotknęłam, ktoś odezwał się za mną.

– Coś pani zginęło?

Mimo woli stłumiłam okrzyk zaskoczenia, lecz w ułamku sekundy rozpoznałam ten głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Claude'a Friedricha.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytał, a ja starałam się odgadnąć jego intencje z wyrazu szerokiej twarzy.

– Boże, gdzie pan się schował? – zapytałam gwałtownie, zła na siebie, że go nie usłyszałam, że mnie tak wystraszył.

– W mieszkaniu Pardona.

– Czekał pan tam na kogoś?

Zorientowałam się, że nie uda mi się sprowokować go do gniewu i raczej nie zapomni o zadanym mi pytaniu.

– Przeprowadzałem wizję lokalną miejsca przestępstwa – wyjaśnił pogodnie. – I zastanawiałem się – zapewne pani też – jak to możliwe, by jedna osoba o wpół do piątej widziała na tapczanie ciało, skoro ktoś inny o trzeciej widział pusty tapczan i wspominał o śladach walki w mieszkaniu.

– Pardon mógł jeszcze żyć przez jakiś czas – powiedziałam, zaskakując samą siebie.

Podzieliłam się z policjantem czymś, co przyszło mi do głowy.

Wyglądał na zaskoczonego, ale i zadowolonego.

– Rzeczywiście, to możliwe, jeżeli odniósłby inny rodzaj obrażeń. – Friedrich w zamyśleniu pokiwał głową pokrytą gęstwiną siwiejących włosów. – Ale po takim ciosie w szyję udusił się dość szybko.

Spojrzał na moje puste ręce, bo wiadro z przyborami do sprzątnięcia postawiłam na korytarzu, gdy otwierałam drzwi. Wyglądały na szczupłe, kościste i silne.

– Mogłam go zabić – przyznałam – ale tego nie zrobiłam. Nie miałam żadnego motywu.

– A gdyby Pardon zagroził, że rozpowie wszystkim o tym, co się pani przydarzyło?

– Nie miał o niczym pojęcia. – Do takiego wniosku doszłam dzisiaj rano. – Wie pan, jaki był: uwielbiał wszystko wiedzieć o wszystkich. Korciłoby go, żeby powiedzieć o tym bezpośrednio zainteresowanej osobie. Bez przerwy powtarzałby, jak bardzo mi współczuje.

Nikt o tym nie wiedział, dopóki pan nie zadzwonił do Memphis i nie zostawił raportu na biurku.

To była kolejna sprawa, na której temat musiałam sama czegoś się dowiedzieć: kto w komendzie policji rozmawiał na mój temat i z kim. Uznałam za całkiem prawdopodobne, że ten, kto podłożył kajdanki i broń na schodach domu Drinkwaterów, dowiedział się o znaczeniu tych przedmiotów od nieumiejącego trzymać języka za zębami pracownika komendy.

– Prawdopodobnie ma pani rację – przyznał Friedrich. Tym razem mnie zaskoczył, rewanżując się za niespodziankę. – Prowadzę własne dochodzenie w tej sprawie. A pani sprawdza, czy morderca przypadkiem nie schował tu ciała?

Przymknęłam oczy na zmianę tematu. Słabe zabezpieczenie danych na komendzie musiało być dla niego drażliwym tematem i trudno się dziwić, że nie chciał się nad tym rozwodzić.

– Tak – odparłam, a potem wyjaśniłam mu, skąd mam klucz.

– A więc popatrzmy razem – zasugerował wspaniałomyślnie Friedrich, co od razu wzbudziło moją podejrzliwość.

– Przecież już pan tu był – zaproponowałam.

– Nie byłem. Klucze Pardona dotąd się nie znalazły, a nie chcieliśmy wyważać drzwi.

Dzisiaj rano miał tu przyjść ślusarz, żeby je otworzyć, ale właśnie zaoszczędziła pani kilka dolarów podatnikom z Shakespeare. Nie przyszło mi do głowy zapytać, czy ma pani klucze.

Uznałam, że to nie najlepsza pora na wyjawienie mu, iż mam też klucze do drzwi frontowych i do tylnego wejścia do budynku.

– Dlaczego nie spytał pan Norvela Whitbreada? – zapytałam. – Przez jedno przedpołudnie w tygodniu miał pracować dla Pardona.

– Powiedział, że nie ma klucza. Nie zdziwiło mnie to, a nawet wydało się dość prawdopodobne, że Pardon nie ufał mu i raczej sam otwierał te

drzwi w razie potrzeby.

Zanotowałam w myślach kolejną niewyjaśnioną kwestię: gdzie są klucze Pardona?

Friedrich wszedł do środka i pociągnął za sznurek włącznika. Gdy jasne światło zalało każdy kąt, uważnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Pardon, cokolwiek by o nim mówić, nie pożarował pieniędzy na mocną żarówkę.

– Czy pani zdaniem ktoś tu był i coś poprzestawiał? – spytał Friedrich, gdy oboje dobrze się wszystkiemu przyjrzelіśmy.

– Nie – odparłam trochę rozczarowana.

Na półkach w tylnej części i po lewej stronie stały równo poukładane najniezbędniejsze rzeczy – worki na śmieci, żarówki, sprzęt do sprzątnia – i inne drobiazgi, które zdaniem Pardona mogły się kiedyś przydać – pułapki na myszy, flakony, gałka od drzwi, duża blokada do frontowych drzwi używana po praniu dywanu w korytarzu, póki materiał nie wysechł. Prawą stronę pomieszczenia zajmował stary ogromny odkurzacz. Moją uwagę zwrócił starannie zwinięty kabel zasilający. To oznaczało, że ostatnio nie używał go Norvel. Nigdy nie ułożyłby kabla tak ładnie – pomyślałam z podziwem.

Ciekawe dlaczego. Przecież to należało do jego obowiązków. Friedrich uważnie przeglądał po kolei półki. Widocznie chciał wszystko dobrze zapamiętać. Wyciągnęłam dłoń, żeby dotknąć jego rękawa, jednak po chwili zmieniłam zdanie.

– Panie komendancie – zagadnęłam.

– Słucham – odpowiedział Friedrich z roztargnieniem.

– Niech pan popatrzy na kabel odkurzacza. – Odczekałam, aż się dobrze przyjrzy. – Norvel Whitbread nie korzystał z niego ostatnio, a przecież miał tu sprzątać.

Wyjaśniłam mu, dlaczego tak uważam.

Friedrich spojrział na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Wydedukowała pani, kto używał odkurzacza, na podstawie sposobu zwinięcia kabla? – zapytał, a ja zrozumiałam, że nie traktuje mnie poważnie.

– Tak, wydedukowałam. Widziałam, jak starannie Pardon odkładał różne rzeczy na miejsce, dlatego uważam, że to właśnie on ostatni z niego korzystał. Co poniedziałek rano przed pójściem do pracy w kościele Norvel miał odkurzać i myć szyby w korytarzu, zamieść chodnik przed wejściem i posprzątać na parkingu. Podejrzewam, że w poniedziałek tego nie zrobił.

– Dość daleko idące wnioski jak na jeden odkurzacz.

Obojętne wzruszenie ramionami wymagało ode mnie sporo wysiłku. Zdjęłam z breloka klucz do pomieszczenia gospodarczego i podałam Friedrichowi. Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, wzięłam swoje wiadro z przyborami i wyszłam z budynku, nie myśląc więcej o policjancie. Zastanawiałam się, czy na pewno powinnam wracać do domu. Nagle stwierdziłam, że już nie jestem głodna. Może powinnam wskoczyć do samochodu i od razu pojechać do Winthropów?

Ale pojawiła się kolejna trudność. Pod moim domem zaparkował samochód, blokując wyjazd, a o mojego buicka skylarka opierał się jakiś mężczyzna. Serce zabiło mi żywiej, gdy poznałam Marshalla. Stałam zakłopotana, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć.

Czułam, że się czerwienię.

Wziął ode mnie wiadro i odstawił na ziemię. Wciągnął mnie głębiej pod wiatę i mocno objął. Po chwili zarzuciłam mu ramiona na szyję.

– Nie mogłem zadzwonić – szepnął mi do ucha. – Nie wiedziałem, co ci powiedzieć, zresztą teraz też nie wiem.

Jeżeli on nie wiedział, ja z pewnością nie zamierzałam się z niczym wyrywać.

Spodobało mi się przebywanie w objęciach mężczyzny, chociaż niekoniecznie pod wiatą samochodową. Nie chciałam, żeby ktoś nas zobaczył. Ale upojenie bliskością Marshalla, zapach i dotyk, które pamiętałam, sprawiły, że się uspokołam. Poczułam, że kręci mi się w głowie. Językiem dotknął moich ust.

– Muszę iść do pracy – udało mi się wykrztusić.

Odsunął się trochę i spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Znudzilem ci się? A może żałujesz tego, co zaszło między nami?

– Nie. – Pokręciłam przecząco głową, żeby podkreślić znaczenie moich słów. – Skądże znowu.

– Źle się z tym czujesz, bo przypomina ci to wydarzenia z przeszłości?

– Nie... – Zawahałam się. – Ale wiesz, jeden udany wieczór raczej nie sprawi, że zapomnę o tym, że mnie zgwałcono. Będę musiała sobie z tym radzić do końca życia.

Nie działałam bez usterek i nie zawsze jestem przyjazna dla użytkownika. Musiałam mu zwrócić na to uwagę, na wypadek gdyby chciał zlekceważyć tę część mojej osobowości.

– Przepraszam, ale naprawdę spóźnię się do następnej pracy – zakończyłam bardzo rzeczowo.

– Lily – powtórzył, jakby lubił brzmienie mojego imienia.

Od jakiegoś czasu spoglądałam na miejsce, w którym stykały się nasze klatki piersiowe. Po chwili uniosłam głowę. Pocałował mnie i poczułam, że jest gotów.

– Teraz nie możemy – szepnęłam przepraszająco.

– Dzisiaj wieczorem po zajęciach?

– Okej.

– Nie jedz u siebie, ugotujemy coś u mnie.

I tak nigdy nie jadam przed treningiem. Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się do niego.

Przejeżdżający ulicą czerwony samochód przypomniał mi o upływie czasu. Spojrzałam na zegarek za plecami Marshalla. Żałowałam, że nie mogę zatelefonować do Winthropów i powiedzieć, że jestem chora. Ale w moim życiu to Marshall był anomalią, a praca normą.

Zaczynałam mieć nadzieję, że z nim będę wreszcie mogła się stać taką osobą, jaką chciałam być naprawdę. Lily z Memphis, Lily z długimi brązowymi włosami, która sapała po dwudziestu minutach spędzonych na bieżni, nigdy nie zrobiłaby tego, co zrobiła silna Lily z włosami koloru blond. Moje pieszczoty sprawiły, że cały zadrżał.

– Nawet nie wiesz, przez co teraz przechodzę – westchnął, kiedy znów mógł mówić.

Zdałam sobie sprawę, że on też miał mi coś do powiedzenia.

– Jeżeli jesteś pewna, że nie masz dla mnie dziesięciu minut – mówił dalej bez tchu – będę musiał poczekać do wieczora. Lepiej, żebyśmy razem nie ćwiczyli na treningu!

Wyobraziłam sobie, jak Marshall szaleje z pożądania, próbując blokować moje kopnięcia i uśmiechnęłam się. Gdy to zobaczył, roześmiał się w głos.

– W takim razie do zobaczenia – powiedziałam z nagłym przypiływem nieśmiałości.

Delikatnie wyśliznęłam się z jego objęć i wsiałam do samochodu. Gdy szedł do swojej toyoty, podziwiałam jego szerokie plecy i kształtne szczupłe pośladki.

Tak wiele czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni moje plany obejmowały coś więcej niż tylko tytuły książek do wypożyczenia z biblioteki lub filmów, jakie chciałam obejrzeć, że prawie nie wiedziałam, co myśleć, gdy

pokonywałam znajomą drogę do następnej pracy. Po treningu będę spocona. Czy będę mogła u niego wziąć prysznic? Czy będzie chciał, żebym została u niego, czy też powinnam wrócić na noc do domu? Gdzie zaparkuję samochód? Z drugiej strony mam chyba prawo do prywatności. Kto mi zabroni odwiedzić Marshalla w domu?

Gdy wysiadałam z samochodu przy tylnym wejściu do domu Winthropów, byłam jednocześnie podekscytowana i przestraszona. Przed wszystkim jednak czułam się podenerwowana, a za tym uczuciem nie przepadam. Zrozumiałam, że nie potrafię sobie radzić z tyloma nieprzewidzianymi okolicznościami.

Wszystkie te myśli musiałam odsunąć na później i zabrać się do pracy. Weszłam do środka, zamknęłam drzwi na klucz i rozejrzałam się po kuchni. Od razu zauważyłam, że gospodarzyła tam Earline Poffard, kucharka – blat był nieskazitelnie czysty, a pod zlewozmywakiem znajdował się kosz pełen śmieci. Earline przychodzi dwa razy w tygodniu i gotuje dla Winthropów na kilka dni naprzód aż do następnej wizyty. Nie miałam okazji jej poznać, ale poznałam wyniki jej pracy – dokładnie opisuje wszystko, co przygotowuje, wszystkie śmieci lądują w koszu, sama zmywa wszystkie naczynia, wyciera i odkłada na miejsce. Od czasu do czasu muszę tylko przetrzeć z zewnątrz kuchenkę mikrofalową i drzwi zmywarki, zmyć mopem podłogę i kuchnia lśni czystością.

Po raz pierwszy zapragnęłam zamienić z nią kilka słów. Może Earline również ciekawiło, kto sprząta u Winthropów.

Rutyna kilku ostatnich lat dała o sobie znać i zabrałam się do pracy. Nie chciałam się spóźnić na wieczorny trening. Niecierpliwie wyczekiwałam spotkania z Marshalllem – moim kochankiem – i nie chciałam, by Marshall – mój *sensei* – obrzucił mnie niepochlebny spojrzeniem jak ostatnio.

Skończyłam odkurzać i zaczęłam zmywać podłogi, gdy usłyszałam chrzęst klucza w zamku.

– Cześć, Lily! – zawołał niedbały męski głos.

– Cześć, Bobo – odpowiedziałam, notując w pamięci, że Beanie powinna kupić nowego mopa.

– Słyszałem, że gdzieś niedaleko twojego domu zamordowali jakiegoś starszego faceta. Wiesz coś o tym? – zapytał Bobo.

Jego głos zbliżał się coraz bardziej.

Spojrzałam za siebie. Chłopiec – mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt – opierał się o zlewozmywak. Musiałam przyznać, że prezentował się bardzo przystojnie w obciętych dżinsach i koszuli Umbro. Szeroki uśmiech zdradzał jego wiek, ale reszta ciała najwyraźniej postanowiła dorosnąć wcześniej. Gdy pracuję u Winthropów, odbieram telefony. Latem większość dzwoniących to dziewczęta chcące rozmawiać z Bobo. Oczywiście ma własną komórkę, lecz numer daje tylko najbliższym przyjaciołom, co bardzo irytuje jego matkę.

– Nie żyje – odpowiedziałam.

– Lily, nie bądź taka! Kto jak kto, ale ty na pewno wiesz o tym wszystko.

– Jestem pewna, że nie więcej od ciebie.

– Czy to prawda, że ktoś w nocy zadzwonił do starego Friedricha i powiedział mu, gdzie jest ciało?

– Tak.

– Widzisz? Właśnie o takie rzeczy mi chodzi.

– Przecież o tym już wiesz. – Moja cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Tak, ale... interesują mnie jakieś sensacje. Musisz wiedzieć coś, o czym nie pisali w gazetach.

– Wątpię.

Bobo uwielbiał mówić i wiedziałam, że będzie się snuł za mną po całym domu, jeśli choćby w minimalnym stopniu go do tego zachęcę.

– Ile ty masz lat, Bobo? – zapytałam.

– Jestem w ostatniej klasie i mam siedemnaście lat – powiedział. – Właśnie dlatego wróciłem dziś wcześniej z lekcji. Będiesz za mną tęsknić, kiedy w przyszłym roku pojedę do college’u?

– Pewnie. – Wyjęłam z szafki płyn Mop & Glow, a potem odkręciłam kurek z gorącą wodą. – A twoi rodzice pewnie zaoszczędzą parę dolarów, bo nie będę musiała po tobie sprzątać.

– A przy okazji, Lily...

Nie dokończył zdania, więc znów się obejrzałam i zauważyłam, że zarumienił się po uszy.

Uniosłam brwi, żeby pokazać, że czekam, co powie, i psiknęłam trochę płynu na podłogę. Woda była gorąca. Wycisnęłam jej nadmiar i zaczęłam wycierać.

– Kiedy sprzątałaś mój pokój, znalazłaś... coś... mhm... osobistego?

– Jak na przykład prezerwatywę?

– Hm. Właśnie. Tak. – Bobo wbił wzrok w coś fascynującego w pobliżu swojej prawej stopy.

– Mhm.

– Co z nią zrobiłaś?

– O co ci chodzi? Wyrzuciłam. A co, może miałam ją sobie włożyć pod poduszkę, żeby mi się lepiej spało?

– Chodzi mi o to... czy powiedziałaś o tym mojej mamie? Albo tacie?

– Nie moja sprawa – mruknęłam.

Nie mogłam nie zauważyć, że Howell Winthrop junior zajmował wysokie drugie miejsce na liście osób, których obawiał się Bobo.

– Dzięki, Lily! – zawołał z entuzjazmem.

Nasze spojrzenia spotkały się przelotnie. Zauważyłam, że już się nie garbi. Jeżeli nawet nie był w siódmym niebie, to bardzo blisko.

– Pamiętaj, zawsze trzeba się zabezpieczać.

– Co? Aha. No pewnie.

Jeżeli to możliwe, Bobo poczerwieniał jeszcze bardziej. Wyszedł, okazując przesadną nonszalancję. Podzwaniał kluczami i pogwizdywał, zadowolony, że odbył dorosłą rozmowę o seksie ze starszą od siebie kobietą. Założę się, że w przyszłości będzie staranniej sprzątał po sobie. Najwyższy czas.

Zaczęłam śpiewać – coś, czego nie robiłam od lat. Kiedy jestem sama, najczęściej wybieram pieśni religijne. Znam ich tak wiele z niezliczonych niedziel, które spędzałam z rodzicami i Vareną w kościele – zawsze w tej samej ławce, piąty rząd od przodu po lewej stronie. Przypomniałam sobie miętowe cukierki, które mama zawsze nosiła w torebce, pióro i notes mojego ojca, które mi dawał, żeby mnie czymś zająć, gdy zaczynałam się za bardzo wiercić.

Niestety, wspomnienia z dzieciństwa rzadko przynoszą mi cokolwiek innego prócz bólu. Kiedyś rodzice nie uciekali wzrokiem na bok, gdy do mnie mówili. Nie unikali tematów, które mogły wywołać przygnębienie u sponiewieranej córki. Mogłam się do nich przytulać, nie obawiając się fizycznego kontaktu.

Dzięki długiej praktyce potrafiłam przerwać ten bezproduktywny, choć dobrze znany tok myśli. Skoncentrowałam się na przyjemności płynącej ze śpiewu. Zawsze zdumiewa mnie, że mam ładny głos. Przez kilka lat brałam lekcje. Śpiewałam solo w kościele i od czasu do czasu występowałam na ślubach. Teraz postanowiłam zaśpiewać *Amazing Grace*. Gdy skończyłam, odruchowo sięgnęłam dłonią, chcąc odsunąć włosy z twarzy, i ze zdumieniem odkryłam, że są ścięte na krótko.

ROZDZIAŁ 8

Prawie zapomniałam o udziale mojego mało wysportowanego sąsiada w środowym treningu. Miałam wrażenie, że karate niezbyt mu się spodobało, więc gdy weszłam na salę i ukloniłam się, ze zdziwieniem zobaczyłam Carltona w trakcie rozgrzewki. Starał się dotknąć palców u nóg. Po grymasie malującym się na jego ustach domyśliłam się, że ten wyczyn przysparzał mu bólu.

– Wszystko cię boli po treningu, co? – zagadnęłam go, siadając na podłodze, by zdjąć buty.

– Nawet włosy – wystękał przez zaciśnięte zęby.

Z ogromnym wysiłkiem ledwo udało mu się dotknąć palcami grzbietów stóp.

– Drugi dzień jest zawsze najgorszy – powiedziałam.

– I to ma mnie podnieść na duchu?

– Pomyślałam, że lepiej się poczujesz ze świadomością, że odtąd będzie już tylko lepiej.

Starannie zwinęłam skarpetki i wsunęłam do prawego buta. Wstałam, powoli pokręciłam głową, a potem zgięłam się w pół i położyłam ręce płasko na podłodze. Rozciągając grzbiet, westchnęłam z radości. Czułam, jak spływa ze mnie napięcie całego dnia.

– Popisujesz się – rzucił gorzko Carlton.

Wyprostowałam się i spojrzałam na niego. Miał na sobie krótkie spodenki i T-shirt. Dla niewprawnego oka wyglądał nieźle, ale ja zauważyłam wiotkość mięśni jego ramion i ud.

Nie miał nadwagi, ale kondycją też nie powalał.

Do sali wszedł Marshall i zdążył mi posłać porozumiewawczy uśmiech, zanim podszedł do niego jeden z uczniów z jakimś pytaniem. Przez chwilę patrzyłam na niego, a potem wróciłam do Carltona, który siedział na podłodze z rozłożonymi nogami, próbując dotknąć klatką piersiową na przemian prawego uda, a potem lewego. Rozgrzewka sprawiała, że jego gęste czarne włosy, zwykle pokryte żelem i zaczesane za uszy, stawały się coraz bardziej rozczochrane. Ze sportowej torby wyciągnęłam górę od karategi, szybko ją włożyłam, a potem zabrałam się do wiązania pasa.

– No, Carlton, zaczynamy. Pamiętasz ten chwyt obezwładniający, który ostatnio ćwiczyliśmy? – zapytałam.

Wstał z trudem.

– Nno... nie za bardzo. Byłem na treningu po raz pierwszy i trochę się w tym wszystkim pogubiłem.

Marshall śmiał się wraz z grupą młodszych mężczyzn uczestniczących w zajęciach.

– Okej. Chwyć mnie prawą ręką za karategę... Właśnie tak. Teraz trzymaj mocno.

Najwyraźniej obawiając się, że stracę równowagę, ledwo chwycił luźny materiał.

– Nie tak. Musisz trzymać naprawdę mocno, w przeciwnym razie pomyślisz, że mi się udało, bo trzymałeś mnie za lekko.

Carlton co prawda chwycił mnie mocniej, lecz był wyraźnie zaniepokojony.

– Gdzieżbym śmiał! – zaprotestował.

– Teraz pamiętasz? Prawą ręką chwytam cię tak... Wciskam kciuk w zagłębienie między twoim kciukiem i palcem wskazującym, żeby trafić w czuły punkt...

– Już wiem, pamiętam.

– ...a potem wykręcam ci rękę tak, żeby mały palec był skierowany ku sufitowi...

Oczywiście ty wtedy musisz obrócić całą rękę, prawda?

Rzeczywiście zaczynał sobie przypominać.

– Teraz przyciskam twoje kłyckie do mojej klatki piersiowej, żebyś nie mógł wyswobodzić ręki. Palcami chwytam twoją dłoń... Naciskam kciukiem, a teraz...

– Neeee! – jęknął Carlton, padając na kolana, gdy lewą ręką założyłam mu dźwignię na ramię, a potem się pochyliłam.

– Pamiętasz, co masz zrobić, kiedy się chcesz poddać? – spytałam. – Marshall ostatnio ci pokazywał.

Skoncentrowany na swoim bólu Carlton potrząsnął przecząco głową.

– Klepnij się w udo wolną ręką.

Nie czekał ani chwili, a ja natychmiast go puściłam.

Z podłogi rzucił mi błagalne spojrzenie spaniela, które, jak podejrzewam, sprawiało, że inne kobiety nie mogły mu się oprzeć.

– To naprawdę bolało – powiedział po znaczącej pauzie.

– Tu się nie przepraszamy – powiedziałam uprzejmie. – Nauczyłam cię czegoś.

Wszyscy dostajemy po tyłku.

Wstał i otrząsnął się. Przez jakiś czas zmagął się z dumą, lecz wygrała rozsądna strona jego charakteru.

– Przecież się uczę – powiedział ze smutkiem. – Teraz pewnie mam ci pokazać, że wszystko zapamiętałem. Mam zrobić to samo?

Chwyciłam go za T-shirt.

Musiałam po kolei wyjaśniać mu wszystkie kroki, bo nie wykonywał chwytu z należytą siłą. Żeby się liczyło, musiało mnie naprawdę zabołeć.

– Pamiętaj, że wcale nie muszę się schylić... Wykręć mi rękę trochę mocniej... Teraz powoli. Naprawdę nie musisz mi jej łamać. Poczekaj na prawdziwą walkę... Raphael, co Carlton źle robi?

– Stoi za daleko – stwierdził zapytany.

– Okej, Carlton. Cofasz się za bardzo, a to znaczy, że mogę się uwolnić albo przynajmniej cię kopnąć i odepchnąć...

By mu zademonstrować, o co chodzi, nagle wyprowadziłam kopnięcie, ale zatrzymałam stopę na tyle, by lekko dotknęła pachwiny Carltona.

Puścił mnie z westchnieniem.

– Poćwiczmy później – stwierdziłam. – Lepiej powtórz wszystkie ruchy z Raphaelem albo z którymś z pozostałych chłopaków, bo z kobietą będziesz miał takie same kłopoty. Za bardzo się boisz zrobić mi krzywdę.

– Czy to ci przeszkadza? – zapytał.

– Kiedyś przeszkadzało. Ale teraz myślę, że dzięki temu miałabym przewagę. Poza tym kobiety mają słabsze mięśnie grzbietu niż mężczyźni, więc chętnie tę przewagę wykorzystam. – Przyjrzałam się Carltonowi z zaciekawieniem. – Powiedz mi tak naprawdę, dlaczego zacząłeś chodzić na treningi?

– Chciałem zobaczyć, na co się tak napaliłaś. Trzy wieczory w tygodniu od tylu lat...

Nie opuściłaś ani jednego treningu, zawsze punktualnie. Pomyślałem, że to fantastyczna zabawa.

– Bo jest – odparłam, zaskoczona, że ktoś może myśleć inaczej.

– Jak na razie tego nie zauważyłem – dodał. Nie wiedziałam, że stać go na taki sarkazm.

– Ale zauważysz. Musisz tylko trochę popracować. Wtedy wszystko ci się poukłada.

Marshall miał właśnie zacząć trening, więc wróciłam na swoje miejsce w szeregu. Nie podejrzewałam Carltona o nadmierne zainteresowanie moją skromną osobą. Nie chciało mi się wierzyć, że postanowił mnie naśladować, zwłaszcza po niezbyt miłej wymianie zdań w moim domu na początku tygodnia.

– *Ki-o tsuke!* – krzyknął Marshall i wszyscy stanęli na baczność.

Podczas przerwy na uzupełnienie płynów po rozgrzewce Marshall niby przypadkiem podszedł do mnie. Widziałam, że zmierza w moją stronę, byłam świadoma każdej minuty, wszystkiego, co robił, gdy po drodze zamieniał po kilka słów z jednym lub drugim uczniem.

Podniecała mnie jego bliskość, ale nie miałam najmniejszego pojęcia, co mu powiedzieć.

– Czy wiesz coś więcej o tej sprawie ze szczurem? – zapytałam, gdy dyskretnie skinęliśmy sobie głowami na powitanie.

– Nie. Policja powiedziała, że zdjęcie odcisków palców z drzwi nie wniosło do sprawy nic nowego. Sąsiedzi też nic nie widzieli. Podwórko za domem jest zarośnięte, więc wcale mnie to nie dziwi. Wygląda na to, że szczur złapał się w pułapkę. Nikt go nie męczył ani nic w tym rodzaju.

– Bardzo była roztrzęsiona?

Twarz Marshalla przybrała dziwny wyraz.

– Thea bardzo przeżywa pewne rzeczy – powiedział.

Zastanawiałam się, czy błagała go, żeby do niej wrócił, bo nie czuje się bezpieczna. Na myśl o tym poczułam niesmak. Nie chciałam rozbijać ich małżeństwa. Jeżeli uprawiasz seks z żonatym mężczyzną – powiedziałam sobie w duchu, krzywiąc się – raczej nie wpływa to korzystnie na jego dotychczasowy związek.

Gdy ćwiczyłam *buntai* z Janet Shook, jedyną kobietą oprócz mnie regularnie uczęszczającą na treningi, przyszło mi do głowy, że ten

obrzydliwy żart u Drinkwaterów mógł mieć związek z równie ohydny wybrykiem, który przytrafił się Thei. Czy była jeszcze inna kobieta tak zakochana w Marshallu, że straszyla te, które uważała za swoje rywalki?

Na myśl o tym ciarki przebiegły mi po plecach, ale było to jedyne sensowne wytłumaczenie dość dziwnych incydentów.

– Lily! – zawołał Marshall.

Przerwałyśmy z Janet ćwiczenie uderzeń i bloków. Ukłoniłam się jej krótko, a potem pobiegłam do niego. Stał obok Carltona i wyglądał na trochę poirytowanego.

– Jesteś dobrą nauczycielką. Carlton i ja nie bardzo sobie radzimy z ćwiczeniami na wytrzymałość, a ja muszę pomóc Davisowi z jego *kata*. Mogłabyś...

– Pewnie – odparłam.

Marshall poklepał mnie po plecach i poszedł do Davisa, wątego mężczyzny w wieku dwudziestu kilku lat, handlującego ubezpieczeniami.

– Przykro mi, że musisz się ze mną męczyć – powiedział Carlton, chociaż nie wyglądał na szczególnie zmartwionego.

– Z jaką częścią układu masz kłopot?

– Z całym.

Westchnęłam niezbyt dyskretnie.

– Mam największe kłopoty z zapamiętaniem kolejności ruchów.

– W porządku, wróćmy do *shiko-dachi*... Nie, stopy na zewnątrz... Teraz jeszcze trochę przykucnij.

Carlton jęknął.

Stałam przed nim i przyjąłam postawę do ćwiczenia.

– Odwróć się w tę stronę – powiedziałam mu, wskazując na prawo – a ja odwrócę się w drugą... Nie ruszaj biodrami, pracuje tylko pas barkowy...

– Wytłumacz mi jeszcze raz, po co się tak tłuczemy po rękach – poprosił żałośnie.

– Żeby się uodpornić. Żebyśmy nie czuli tak bardzo bólu w czasie walki.

– Teraz dajemy sobie popalić, żebyśmy później nic nie czuli?

– Właśnie... Dobra, teraz przedramiona w górę, w dół... I zmiana stron! Przedramiona w dół, w górę, zmiana stron!

– Wiesz co? – wydyszał po kolejnych kilku sekundach. – Co byś zrobiła, gdybym się teraz pochylił i pocałował cię w kark?

– Stoisz w pozycji z odsłoniętymi genitaliami, więc pewnie zaczęłabym od *seiken*, czyli silnego kopnięcia w pachwinę, a kiedy się pochyłisz, dołożę ci łokciem w kark. Jak już będziesz na podłodze, zacznę cię kopać.

– W takim razie lepiej nie.

– Lepiej nie.

– Chciałem się tylko dowiedzieć.

– A ja chcę się od ciebie dowiedzieć czegoś innego.

– Mów.

– Kto dziedziczy blok i wszystkie inne nieruchomości Pardona, jeżeli jakieś mu jeszcze zostały?

Jęknął, gdy przypadkowo szturchnęłam go łokciem.

– Jego siostrzenica, bo siostra nie żyje. Wczoraj telefonowała do jego prawnika, który skontaktował się ze mną, bo pojutrze wybiera się do miasta, żeby załatwić sprawy związane z pogrzebem. Au, Lily! Nie tak ostro! Chce też przejrzeć ze mną jego księgi. Dziewczyna mieszka w Austin w Teksasie. Jestem pewny, że ją polubisz. Jest instruktorką taekwondo.

Pardon wspominał mi kiedyś o niej.

– Czy to właśnie dlatego zacząłeś tu przychodzić? Tak naprawdę nie interesuje cię mój rozkład dnia, prawda?

– Powiedziałbym, że pół na pół.

– Chyba powinnam cię ostrzec. Karate *goju* bardzo się różni od taekwondo. Pod względem filozofii, techniki walki i postaw.

Zamknęłam się i przyspieszyłam tempo ćwiczeń, dopóki mój partner nie doszedł do kresu sił. Zauważyłam sygnały (drżące nogi, strumienie potu, zaciśnięte zęby), lecz bezlitośnie nie zwracałam na nie uwagi.

– Mam już dość! – zawołał.

Zawstydziłam się, że tak go przeczłogałam.

– Pamiętaj, żebyś go nie spłoszyła – rzucił Marshall za moimi plecami.

– Tak jest, mistrzu. – Staralam się przybrać skruszony wyraz twarzy.

– W szeregu zbiórka! – zawołał Marshall, bo dotąd wszyscy ćwiczyliśmy w parach.

Popędziliśmy (a niektórzy z nas pokuśtykali) z powrotem na swoje miejsca.

– *Ki-o tsuke!*

Stanęliśmy na baczność.

– *Rei!*

Ukloniliśmy się.

– Koniec treningu!

– Moje ulubione słowa – mruknął Carlton do Janet, która się roześmiała.

Trochę zbyt skwapliwie jak na kiepski żart – pomyślałam.

Marshall podszedł do mnie i powiedział bardzo cicho: – Przyjadę po ciebie. Czekać w domu.

Tymi słowami odpowiedział na wszystkie moje pytania.

Usiadłam na podłodze, chcąc włożyć buty. Po zawiązaniu sznurowadeł wstanie bez podparcia się rękami wymagało wiele wysiłku, lecz była to do pewnego stopnia sprawa honoru. Carlton siedział z przekrzywioną głową na

jednym ze składanych krzeseł stojących wzdłuż ściany. Przyglądał mi się badawczo, jak podejrzanego studolarówce.

– Dobranoc – rzuciłam krótko.

– Dobranoc – odpowiedział i pochylił się, żeby zawiązać swoje sportowe buty.

Z jego przystojnej twarzy nie schodziła nachmurzona mina. Wzruszyłam ramionami i wyszłam z sali. Mijając gabinet Marshalla, pomachałam mu na pożegnanie. Przeglądał właśnie karty kontrolne pracowników. Główna sala była pusta, jeżeli nie liczyć Stephanie Miller, jednej z pracownic Body Time, która prowadzi zajęcia aerobiku. Dużym przemysłowym odkurzaczem czyściła spłowieła zieloną wykładzinę.

Skinęłam jej, nie zwalniając kroku. Wyszłam głównymi drzwiami i podeszłam do swojego buicka, jednego z czterech samochodów stojących na parkingu. Moją uwagę zwrócił jakiś przedmiot leżący na masce. Podeszłam, żeby lepiej zobaczyć. Lalka? Skąd się tu wzięła?

Po chwili stałam już przy samochodzie. Upuściłam torbę z ciuchami. To rzeczywiście była lalka – Ken, partner Barbie. Jedno oko szpeciła plama zrobiona czerwonym lakierem do paznokci. Był świeży.

Charakterystyczny zapach czułam z miejsca, na którym stałam. Ktoś za jego pomocą namalował krople krwi na twarzy zabawki. Ktoś sprawił, że wyglądała tak, jakby ktoś postrzelił ją w lewe oko – oko, w które trafiłam, gdy zastrzeliłam Napa. Pamiętałam dokładnie, jak wyglądał, odgłos, jaki usłyszałam, gdy upadł na ziemię.

Wyglądał też trochę inaczej niż Ken...

– Jakież kłopoty? – zapytał Carlton. – Nie chce zapalić?

Ucieszyłam się, że ktoś odwołał mnie znad krawędzi koszmaru. Cofnęłam się, żeby mógł zobaczyć.

– Gdzie to znalazłaś?

– Tutaj. Zamknęłam drzwiczki, więc ktoś położył to na masce.

Na myśl o osobie, która zostawiła mi taki prezent, ciarki przebiegły mi po plecach.

– Co się stało? – spytał Marshall.

Właśnie zamknął na klucz drzwi frontowe do Body Time. Po przeciwnej stronie parkingu do swojego samochodu wsiadła Stephanie i ruszyła do domu.

Wskazałam lalkę. Nie mogłam się zdobyć na to, by jej dotknąć.

– Przykro mi, Lily – powiedział po chwili.

– Mam wrażenie, że dzieje się tutaj coś, o czym nie mam pojęcia – wtrącił Carlton.

Wzięłam głęboki oddech. Byłam bardzo zmęczona.

– Chyba powinnam pokazać to komuś na komisariacie – stwierdziłam.

– Nie możesz z tym poczekać do jutra? – zapytał Marshall. – Lepiej jedź teraz do domu.

Za chwilę do ciebie wpadnę.

– Nie. Chcę się tego jak najprędzej pozbyć. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zaofiarował się Carlton.

Prawie o nim zapomniałam. Zauważyłam u siebie nieznane dotąd uczucie wdzięczności wobec mojego sąsiada.

– To bardzo miło z twojej strony – odparłam sztywno, daremnie siląc się na większą uprzejmość w głosie. – Sama to załatwię. Ale dzięki za propozycję.

– Okej. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

Utykając, Carlton wsiadł do swojego audi i ruszył do domu, niewątpliwie ciesząc się na myśl o gorącej kąpieli i ciepłym łóżku.

Odprowadzałam go wzrokiem, bo nie chciałam napotkać spojrzenia Marshalla.

– Zastanawiam się – zaczęłam, nadal zapatrzona w mrok – czy przypadkiem nie masz jakiejś tajemniczej wielbicielki. Kogoś, kto dowiedział się czegoś o mnie, i podrzuca mi teraz te upominki, kogoś, kto zabił szczura i zostawił go u Thei na stole.

– Widzę, że się boisz. Uważasz, że powinniśmy przestać się widywać?

Widziałam, że zadrżał, gdy wypowiadał te słowa. Sprawiał wrażenie przygnębionego i wściekłego zarazem.

Mruknęłam do siebie pod nosem, że ja też nie jestem najszcześniejszą osobą pod słońcem.

– Nie. Niczego takiego nie powiedziałam.

– W takim razie może nie chcesz, żebyśmy się spotkali dzisiaj wieczorem?

– Sama nie wiem. Nie, nie o to mi chodzi. Tak samo nie mogłam się tego doczekać jak ty. – Uniosłam ręce w geście frustracji. – Ale tu zaczyna się coś dziać, nie widzisz? Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Zakrada się i podrzuca te wszystkie rzeczy. – Machnęłam ręką ku lalce. – Zastanawiam się, na co go jeszcze stać.

– Pozwolisz komuś takiemu odebrać sobie nawet tę odrobinę radości, jaka ci w życiu została?

Odwróciłam się gwałtownie, żeby spojrzeć mu w twarz. Marshall instynktownie się uchylił. W mojej głowie kotłowało się tak wiele myśli, że nie wiedziałam, od której zacząć.

– Było, minęło – syknęłam. Gotowałam się z wściekłości i zamierzałam dopiec mu do żywego. – Jeżeli chcesz wiedzieć, miałam dużą ochotę bzyknąć się z tobą dzisiaj wieczorem, ale jeżeli sobie odpuścimy, jakoś to przeżyję.

– Ja też na to liczyłem – warknął Marshall, teraz tak samo wściekły jak ja. – Ale chciałem też trochę z tobą побыć i pogadać. Spokojnie porozmawiać, ale widzę, że to niemożliwe.

Zamachnęłam się, celując w jego przeponę. Później wyrzucałam sobie, że postąpiłam bezmyślnie – zupełnie jakby znudziły mi się zęby. Szybciej, niż mogłam zareagować, Marshall zablokował cios w chwili, gdy moja pięść znalazła się bardzo blisko jego brzucha, jednocześnie wyprowadzając cios otwartą dłonią, celując w moją szyję. Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie nawzajem szeroko otwartymi, pełnymi gniewu oczyma, zanim się opamiętaliśmy. Opuścił dłoń i delikatnie przyłożył mi palce po obu stronach gardła, wyczuwając mój gwałtownie bijący puls. Opuściłam rękę.

– O mało cię nie trafiłam – powiedziałam, zakłopotana drzeniem własnego głosu.

– Mało brakowało – przyznał. – Ale ty dostałabyś pierwsza.

– Nie – spierałam się. – Po uderzeniu w przeponę pochyliłbyś się, więc nie trafiłbyś mnie w szyję.

– Ale gdzieś bym cię trafił – argumentował – a siła uderzenia odrzuciłaby cię do tyłu.

Chociaż gdyby twój cios doszedł... – głos mu zamarł.

Spojrzyliśmy na siebie z zakłopotaniem.

– Być może – powiedziałam – nie jestem jedyną osobą, która nie potrafi „spokojnie” porozmawiać?

– Masz rację. Nie wiem, co mnie napadło.

Objęliśmy się bardzo ostrożnie, jakby nasze ciała porastały ciernie.

– Odpręż się – szepnął mi do ucha Marshall. – Masz mięśnie napięte jak struny.

Z wahaniem oparłam głowę na jego ramieniu i wtuliłam usta w jego szyję.

– Zrobię tak – powiedziałam łagodnie. – Zabiorę lalkę na policję, powiem im, gdzie ją znalazłam, i pojedę do domu. Kiedy będę na miejscu, zadzwonię do ciebie, a ty po mnie przyjedziesz. Zjemy coś u ciebie, a potem zajmiemy się bardzo przyjemnymi rzeczami.

Rozmasował mi szyję.

– Nie przekonam cię do zmiany kolejności?

– Do zobaczenia za chwilę – obiecałam, a potem wyślizgnęłam się z jego objęć i wsiadłam do samochodu.

Lalkę–potworka owinęłam papierowym ręcznikiem z moich przyborów do sprzątnia i posadziłam na miejscu obok. Pojechałam na komisariat policji, który mieści się w budynku byłej drogerii kilka ulic od centrum miasta. Na parkingu zauważyłam tylko jeden granatowy radiowóz z wielką trójką wymalowaną na drzwiach.

W środku zastałam Toma Davida Meicklejohna z nogami na biurku. W jednej ręce trzymał puszkę z colą, a w drugiej papierosa. Znam go z widzenia. W pewnych kręgach uchodzi za przystojniaka. Ma krótkie kręcone włosy, jasne, okrutne oczy, ostro zakończony nos i wąskie usta. W dni wolne od pracy nosi się po kowbojsku. Około Bożego Narodzenia sypiał z Deedrą. Wiem o tym, bo przez miesiąc lub dwa bywał regularnym gościem w Apartamentach Ogrodowych.

Tom David był wtedy żonaty z kobietą tak samo nieustępliwą jak on sam, przynajmniej tak wywnioskowałam z rozmowy dwóch pracowników biura podróży. Nie zwracali na mnie uwagi, gdy tam sprzątałam. Kilka miesięcy później przeczytałam w miejscowej gazecie informację o rozwodzie Meicklejohnów.

Teraz Tom David, którego wiele razy widywałam na patrolach podczas moich nocnych wędrówek, powoli mierzył mnie wzrokiem,

niedwuznacznie dając do zrozumienia, że zastanawia się, dlaczego jestem ubrana na biało.

– Wybiera się pani na piżamową imprezę? – zapytał.

I to by było na tyle, jeżeli chodzi o uprzejmość stróżów prawa wobec przedstawicieli społeczeństwa, o którego bezpieczeństwo mają dbać. Spodziewałam się tego. Nie każdy policjant mógł się równać z Claude'em Friedrichem. Komendant popełniał błędy, ale przynajmniej się ich nie wypierał.

– Na masce mojego samochodu pod Body Time ktoś zostawił coś takiego – oznajmiłam krótko, rozpakowałam zawiniątko i położyłam lalkę na biurku.

Tom David prostował się powoli. Odłożył colę i zgasił papierosa, nie spuszczać oka z Kena.

– Ktoś postąpił bardzo nieładnie – stwierdził. – Naprawdę bardzo nieładnie. Czy zauważyła pani kogoś, kto kręcił się koło pani samochodu?

– Nie. Przez ponad godzinę byłam na treningu. Każdy mógł wjechać na parking, podłożyć lalkę i wyjechać niezauważony. Dzisiaj wieczorem nie było tam zbyt dużo ludzi, zresztą jak zwykle w piątki wieczorem.

– Była pani na zajęciach ze sztuk walki, które prowadzi Marshall Sedaka?

Zwróciłam uwagę na sposób, w jaki wypowiadał jego nazwisko... Wyczułam nie tylko wstręt, lecz także osobistą antypatię. Od razu wiedziałam, że muszę mieć się na baczności.

– Tak.

– Uważa się za twardziela – skomentował. W jego wrednych jasnych oczach zapaliło się zimne światło. – Azjatom wydaje się, że mogą robić z kobietami, co im się żywnie podoba. Traktować je jak, nie przymierzając, zwierzęta.

Uniosłam brwi. Jeżeli ktokolwiek uważał kobiety za części zamienne, był to Tom David Meicklejohn.

– Widział to? – zapytał.

– Tak – odparłam znowu.

– Miał okazję, żeby to podrzucić? Czy łączą was jakieś stosunki?

– Nie miał. Kiedy przyjechałam na trening, był już w Body Time, a wyjechał tuż po mnie.

– Niech pani posłucha, jestem tu teraz sam. Kiedy Lottie przyniesie swoje mc nuggety, muszę wyjechać na patrol. Przyjdzie pani jutro złożyć zeznanie?

– Okej.

– Spróbuję zdjąć z lalki odciski palców. Zobaczymy, czy to nam coś powie.

Pożegnałam się i odwróciłam się do wyjścia. Gdy dotknęłam klamki, Tom David rzucił nagle: – Przydadzą się pani zajęcia z samoobrony.

Poczułam, że cała krew odpływa mi z twarzy. Opanowałam się jednak i przez szklane drzwi wyjrzałam w mrok.

– Każdej kobiecie przydadzą się zajęcia z samoobrony – powiedziałam i wyszłam.

Wracałam do domu zesztywniała ze strachu i wściekłości. Nie mogłam przestać myśleć o lalce z zakrwawionym okiem i o Tomie Davidzie Meicklejohnie plotkującym z kolegami przy piwie o tym, co mi się przytrafiło. Byłam przekonana, że znalazłam źródło przecieku w komendzie.

Zaparkowałam samochód pod wiatą, otworzyłam tylne drzwi i zostawiłam w domu wszystko oprócz kluczy i prawa jazdy, które wsunęłam do kieszonki T-shirta. Nad moją piersią pojawiło się dziwne wybrzuszenie. Musiałam się przejść. Teraz tylko to mogło mi pomóc się uspokoić.

Dochodziła dziewiąta. Ulice zupełnie opustoszały. Noc była o wiele cieplejsza, niż gdy ostatnio wychodziłam. Duża wilgotność powietrza zapowiadała parne letnie wieczory.

Szłam ostrożnie ku arboretum, cicho stawiając kroki. Dom Marshalla na ulicy Farradaya był niedaleko. Nie znałam numeru, ale wiedziałam, że poznam jego samochód.

Spacer pod osłoną nocy zawsze mnie odprężał. Poczułam się bardziej jak Lily, która wiodła stabilną egzystencję przed śmiercią Pardona Albee. Wtedy moim jedynym problemem były bezsenne noce, które zdarzały się może dwa razy w tygodniu, poza tym panowałam nad wszystkimi innymi aspektami swojego życia.

Stałam ukryta w zaroślach i czekałam, aż Jamaica Street przejedzie samochód, a potem przeszłam na drugą stronę.

Nie zaplanowałam wcześniej trasy wędrowki. Zwykła ciekawość sprawiła, że znalazłam się w pobliżu domu, w którym do niedawna mieszkał Marshall z żoną. Na Celia Street nie bardzo jest się gdzie ukryć. Po obu stronach ulicy stoją skromne, lecz wypielęgnowane białe domki z zadbanymi ogródkami. Wyszłam na spacer wcześniej niż zwykle, więc miałam liczniejsze towarzystwo, co w Shakespeare i tak oznacza niezbyt wiele osób. Co jakiś czas ulicą przejeżdżał samochód albo ktoś otwierał drzwi, wychodził, zabierał coś z pikapa lub z jeepa i pośpiesznie wracał do domu.

Latem dzieci bawiłyby się na zewnątrz do późna, lecz tego wiosennego wieczoru miałam wrażenie, że wszystkie siedzą w domach.

Szłam przed siebie, starając się z jednej strony zachować dyskrecję, a z drugiej nie wzbudzać niczyich podejrzeń, skoro jeszcze nie wszyscy położyli się spać. Zadanie okazało się trudne do wykonania. Wolałabym,

żeby mnie widziano, niż żeby ktoś doniósł o mnie na policję, więc szłam równym krokiem, zamiast przemykać od jednej kryjówki do drugiej.

Byłam ubrana na biało, a jak wiadomo, ten kolor rzadko bywa wykorzystywany w sztuce kamuflażu. Mimo to chyba nikt mnie nie zauważył. Zasłony w oknach wszystkich domów przy krótkiej uliczce były zaciągnięte, jakby mieszkańcy chcieli uchronić się przed ciemnością.

Radiowóz zauważyłam dopiero wtedy, gdy znalazłam się naprzeciwko dawnego domu Marshalla. Zasłaniał go żywopłot rosnący w granicy między posesjami od ulicy po same tyły.

Parkował tuż za ciemnoczerwonym lub brązowym samochodem – koloru nie mogłam dokładnie określić w słabym świetle ulicznej latarni. Domyśliłam się, że należy do Thei. Nie sądziłam, by kierowca radiowozu numer trzy składał jej oficjalną wizytę. Tom David Meicklejohn znajdował się w środku i plotkował z udręczoną panią Sedaką w godzinach pracy – miał za zadanie patrolować ulice Shakespeare i dbać o bezpieczeństwo wdów i sierot.

Odniosłam wrażenie, że policjant zgłosił się na stanowisko osobistego ochroniarza pewnej pani, która wkrótce miała się rozwieść.

Ogarnęło mnie przelotne pragnienie wykonania jeszcze jednego anonimowego telefonu do Claude'a Friedricha, lecz stwierdziłam, że postąpiłabym haniebnie i małostkowo.

Kontakty osobiste między Theą i Tomem Davidem nie powinny mnie interesować.

Znów ruszyłam cicho jak duch ciemną, spokojną ulicą, zastanawiając się nad wydarzeniami ostatnich dni.

W pięć minut dotarłam do ulicy Farradaya. Na wyźwirowanym podjeździe na rogu ulicy zauważyłam samochód Marshalla. Mały domek

stał dokładnie na środku zaniedbanego ogródka. Zdecydowanie nie dorównywał rezydencji państwa Sedaków przy Celia Street.

Zastanawiałam się, co przeżywał Marshall, wyprowadzając się od Thei.

Na ganku paliło się jasnożółte światło, lecz nie zatrzymałam się. Obeszłam dom i stanęłam przed tylnymi drzwiami. Na szczęście moje oczy szybko przystosowały się do ciemności. Zastukałam głośno trzy razy i usłyszałam szybkie kroki Marshalla.

– Kto tam? – zapytał.

On też nie należy do ludzi, którzy lubią niespodzianki.

– Lily.

Otworzył szeroko drzwi. Pokonałam stopień i weszłam do domu. Mimo tego, co mówił na temat wieczornej rozmowy, gdy tylko zamknęły się drzwi, objął mnie i ustami poszukał moich warg. Moje ręce wślizgnęły się pod jego T-shirt, pragnąc znów dotykać muskularnego ciała.

Nie miałam czasu na radość, że znów mogę się kochać bez obaw, ani na zastanowienie, czy postępuję rozsądnie. Miałam dość własnych problemów, a i życie Marshalla ostatnio bardzo się skomplikowało. Tym razem się zabezpieczyliśmy. Miałam nadzieję, że nie zapłacimy za naszą wcześniejszą chwilę zapomnienia.

Gdy skończyliśmy się kochać, trudno mi było zaakceptować ograniczenia własnego ciała i wcisnąć się w psychologiczny pancierz, który przygotowałam sobie przed przyjazdem do Shakespeare. Po raz pierwszy od lat przestał dawać mi bezpieczeństwo, a zaczął uwierać.

Mimo to gdy rozejrzałam się po spartańskiej sypialni Marshalla – podwójny materac na stelażu bez wezgłowia, komoda sprawiająca wrażenie przyniesionej ze strychu, nocna szafka kupiona na wyprzedaży – poczułam niepokój, że nie jestem we własnym domu. Od wielu miesięcy odwiedzałam tylko miejsca, w których sprzątałam.

Leżeliśmy obok siebie w milczeniu. Marshall mnie obejmował. Co jakiś czas całował w szyję lub gładził po brzuchu. Nasza bliskość jednocześnie mnie podniecała i zagrażała mi.

– Wiesz, że Thea spotyka się z kimś innym? – zapytałam spokojnie.

Jeżeli chciał się rozwieść, musiał o tym wiedzieć. Jeżeli chciał się pogodzić z Theą, też musiał o tym wiedzieć.

– Tak myślałem – odparł po długiej chwili. – Wiesz, kto to jest?

– Co zrobisz, jeżeli ci powiem?

Odwróciłam się do niego, automatycznie sięgając po kołdrę, żeby zasłonić blizny.

Zanim odpowiedział, odsunął kołdrę i pocałował mnie.

– Nie ukrywaj ich przede mną, Lily – szepnął.

Znów chciałam się zasłonić, lecz tym razem udało mi się powstrzymać. Ręce zdrząły mi z wysiłku. Marshall przysunął się jeszcze bliżej, zakrywając blizny swoim ciałem.

Stopniowo się odprężyłam.

– Czy myślisz, że będę go śledził, a w końcu dopadnę i pobiję w obronie czci Thei? – zapytał po chwili na tyle długiej, bym się zorientowała, że nie uważa romansu Thei za sprawę osobistą.

– Nie znam cię aż tak dobrze i nie wiem, co zrobisz.

– Thea jest ulubienicą całego miasta, bo jest śliczna, tu się urodziła i wychowała. Wie, kiedy udawać uroczą i pogodną. Lubią ją dzieci. Lecz tak się dziwnie składa, że najgorsze zdanie o niej mają mężczyźni, z którymi chodziła na tyle długo i których poznała na tyle dobrze, że poszła z nimi do łóżka.

Odsunęłam głowę, by spojrzeć na Marshalla. Skrzywił się, jakby miał coś gorzkiego w ustach.

– Zanim przyjechałem do miasta, Thea zdążyła już zaliczyć kilku miejscowych chłopaków, których uznała za godnych siebie. Pewnie zorientowała się, że ludzie zaczynają plotkować za jej plecami i zastanawiać się, dlaczego śliczna słodkooka dziewczyna nie potrafi dłużej utrzymać przy sobie mężczyzny, więc po kilku randkach szybko zgodziła się na ślub.

Wcześniej nie byłem z nią w łóżku. Mówiła, że chce poczekać. Uszanowałem to, ale mniej więcej po miesiącu dowiedziałem się, że po prostu nie chciała, żebym się wycofał, jak inni.

– Nie lubi seksu? – spytałam niezdecydowanie, bo byłam chyba ostatnią osobą, która miała prawo krytykować kobietę mającą kłopoty z mężczyznami.

Marshall roześmiał się cierpko.

– Pewnie, że lubi. Ale nie tak jak my – pogładził mnie ręką po plecach i po biodrze. – Lubi robić... zboczone rzeczy, zadawać ból. Kochałem ją, więc próbowałem się dostosować, ale po jakimś czasie miałem tego dość. Byłem przygnębiony.

Poniżony – pomyślałam.

– Wtedy stwierdziła, że chce mieć dziecko. Myślałem, że to może uratować nasz związek, więc się zgodziłem. Ale wtedy już zdążyłem stracić zainteresowanie nią i... po prostu nie mogłem. – To wyznanie musiało Marshalla sporo kosztować. – Więc wymyślała mi i naigrawała się ze mnie, ale tylko wtedy, gdy byliśmy we dwoje, gdy nikt inny nie słyszał.

Nie dlatego, że jej na mnie zależało. Po prostu nie chciała, żeby ktoś inny wiedział, do czego jest zdolna. Wracalem do domu jak do piekła. Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Od pół roku nie kochałem się z kobietą, ale wcale nie to jest najgorsze. Mieszkam tutaj, w tym śmietniku, i

zastanawiam się, jak uzasadnić pozew o rozwód, żeby Thea nie zabrała mi Body Time.

Nie mogłam od ręki rozwiązać jego problemów finansowych. Mam bardzo mało gotówki, którą mogę swobodnie dysponować, bo oszczędzam jak szalona. Kiedyś będę musiała kupić nowy samochód, uszczelnić dach albo przyjdą ogromne nieprzewidziane wydatki, które zwykle rujnują budżet jednoosobowego gospodarstwa domowego. Na szczęście stan moich finansów – dobry czy zły – zależy ode mnie, i tylko ode mnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bym się czuła, gdybym musiała oddać połowę mojej firmy komuś, komu sprawia przyjemność poniżanie i upokarzanie mnie.

– Tom David Meicklejohn.

Marshall patrzył w ciemność daleko za moimi plecami. Po chwili spojrzał na mnie ciemnymi oczami.

– Ten gliniarz.

Lekko skinęłam głową.

– Założę się, że poleciała na jego kajdanki – powiedział.

Starałam się nie zadrzeć na myśli o skutej kobiecie, lecz przy okazji cicho jęknęłam.

Marshall natychmiast zajął się mną.

– Nie myśl o tym, Lily – powiedział spokojnie. – Nie myśl o tym, ale o tym.

Delikatnie wsunął mi dłoń między nogi, ustami odnalazł pierś i rzeczywiście zaczęłam myśleć o innych rzeczach.

– Marshall – oznajmiłam później – na wypadek, gdybyś nie zauważył, chciałam ci powiedzieć, że nie mam absolutnie żadnych zastrzeżeń co do twojej męskości.

Roześmiał się krótkim, urywanym śmiechem i na chwilę zasnęliśmy razem. Wkrótce obudziłam się, niespokojna i nieswoja. Poruszając się tak

cicho i spokojnie, jak tylko mogłam, wstałam i zaczęłam się ubierać. Marshall oddychał głęboko i równo. Przesunął się na łóżku. Teraz, gdy mnie w nim nie było, miał dla siebie więcej miejsca. Pochyliłam się nad nim, chcąc pogłaskać go po ramieniu, lecz zmieniłam zdanie. Nie powinnam go budzić. Czułam, że muszę już iść. Wyśliznęłam się przez tylne wejście, naciskając przycisk na gałce, żeby zamek się zatrzasnął.

Gdy Marshall po raz pierwszy wspomniał o martwym szczurze, którego ktoś podrzucił na stole kuchennym w schludnym białym domu przy Celia Street, zaniepokoiłam się. Teraz, kiedy się obudziłam, wybryk ten niepokoił mnie coraz bardziej.

Ken, dziecinne kajdanki, martwy szczur. Pierwsze dwie rzeczy odnosiły się do mojej przeszłości. Ale martwe zwierzę wydawało się z zupełnie innej bajki. Myśl ta ciągle nie dawała mi spokoju: może Thea w dzieciństwie torturowała zwierzęta? Czy szczur symbolizował jakieś wydarzenia z jej przeszłości? Skrzywiłam się, idąc w ciemności. Nie znosiłam okrucieństwa wobec bezbronnych.

O tej porze nocy ulice były zupełnie puste. Miasto zapadło w głęboki sen. Przestałam mieć się na baczności, jak zazwyczaj. Jedynymi ludźmi, którzy mogliby mnie zobaczyć o tej porze, byli dwaj policjanci patrolujący miasto. Wiedziałam, gdzie był jeden z nich, bo sprawdziłam to w drodze do domu. Tom David nadal był u Thei. Pewnie skończył służbę, w przeciwnym razie dyspozytorka z pewnością próbowałaby go wywołać.

Wchodząc na podjazd, ziewnęłam szeroko. Wyciągnęłam z kieszeni klucze i miałam właśnie podejść do drzwi, gdy rozpoczął się atak. Mimo że byłam zmęczona i zdekoncentrowana, przygotowywałam się na tę chwilę przez trzy lata.

Gdy tylko usłyszałam za sobą kroki, odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z napastnikiem. W zaciśniętej dłoni trzymałam klucze, by wzmocnić

silę uderzenia. Lecz człowiek w kominiarce miał kij – pewnie od mopa albo od miotły – i mimo że się zasłoniłam, trafił mnie w żebra. Z najwyższym wysiłkiem utrzymałam się na nogach, a kiedy znów spróbował mnie dosięgnąć, upuściłam klucze, chwyciłam kij oburącz, uniosłam nogę i mocno kopnęłam go w klatkę piersiową. Cios nie był zbyt skuteczny, ale w tych okolicznościach najlepszy, na jaki było mnie stać. Dobrze, że puścił kij, ale nagły brak oporu sprawił, że się zatoczyłam i świeżo zdobytą broń wyśliznęła mi się z rąk, a to mnie trochę zaniepokoiło.

Kopnięcie sprawiło jednak, że intruz też się zatoczył. Dzięki temu miałam czas odzyskać równowagę, zanim rzucił się na mnie, warcząc jak wściekły pies, który zerwał się ze smyczy.

Mnie też niewiele brakowało. Kiedy zobaczyłam, że zbliża się ku mnie twarz ubrana w kominiarkę, lecz oprócz tego niczym nieosłonięta, odetchnęłam głęboko, a potem uderzyłam w nią pięścią tak silnie, jak potrafiłam, robiąc wydech i automatycznie się zasłaniając. Mężczyzna krzyknął i zatoczył się. Chciał zasłonić nos dłońmi, lecz zdążyłam go jeszcze trafić kolaniem w podbródek.

I było po wszystkim.

Stałam w półmroku, w pozycji gotowości do walki, a mężczyzna wił się i jęczał z bólu na trawniku przed moim domem. W bloku rozbłysły światła – napastnik krzyczał naprawdę głośno, choć krótko – i Claude Friedrich, mężczyzna przyzwyczajony do radzenia sobie z nagłymi wypadkami, obiegł dzielące nasze posesje ogrodzenie z podziwu godną szybkością jak na jego wiek. W rękę miał broń. Spojrzałam na niego, a potem wróciłam do pilnowania leżącego mężczyzny.

Friedrich stanął jak wryty.

– Co pani do cholery wyprawia? – zapytał, ciężko dysząc.

Znów mu się przyjrzałam, tym razem na tyle długo, by zauważyć, że ma na sobie tylko spodnie koloru khaki. Nie powiem, wyglądał niczego sobie.

– Zostałam napadnięta – wyjaśniłam, zadowolona, że głos nie drży mi ani trochę.

– Pomyślałbym, że było odwrotnie, gdyby ten ktoś nie miał na sobie maski i nie był w pani ogródku.

Puściłam jego uwagę mimo uszu, wpatrzona w wijącą się, jęczącą sylwetkę.

– Myślę, że ma już dość – stwierdził Friedrich, a ja odniosłam wrażenie, że w jego słowach pobrzmiwała nutka sarkazmu. – Proszę teraz pójść do domu, zatelefonować na komisariat i powiedzieć, że przydałby mi się ktoś do pomocy.

Miałam ochotę skoczyć na faceta, który mnie napadł, i dołożyć mu jeszcze trochę, bo adrenalina nadal kipiała mi w żyłach. Facet naprawdę mnie zaskoczył. Ale policjant miał rację. Nie było sensu, żebym na własne życzenie pakowała się w kłopoty. Wyprostowałam się, opuściłam ręce i wzięłam głęboki oddech, żeby się odprężyć. Zrobiłam krok ku domowi i poczułam nagłe ukłucie bólu na tyle ostrego, że musiałam się zatrzymać.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony komendant.

Zorientowałam się, że doskwiera mi coś więcej niż tylko chęć ukarania napastnika. Musiałam przyznać, że pierwszy cios dość dobrze mu wyszedł, a na dodatek udało mu się podrapać mi twarz, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć jak ani kiedy. Stopniowo miejsce wściekłości zaczęło zajmować ból.

– Dam sobie radę – odpowiedziałam ponuro i pochyliłam się, żeby podnieść klucze z trawnika.

Z niezadowoleniem zauważyłam, że kółko breloka pękło i klucze się rozsypały. Udało mi się znaleźć tylko jeden, ale na szczęście do drzwi

wejściowych. Utykając, weszłam do domu i poszłam do sypialni. Najpierw zatelefonowałam na komisariat. Gdy się rozłączyłam, nie wypuściłam słuchawki z ręki. Nie miałam pojęcia, co powiedziałam dyspozytorce, niewidzialnej Lottie. Dochodziło wpół do drugiej w nocy.

Obiecałam Marshallowi, że zatelefonuję, jeżeli będę miała kłopoty. Sprawdziłam kartkę papieru, na której nabazgrał swój nowy numer telefonu, i wystukałam go na klawiaturze.

- Tak? – zapytał półprzytomny, ale świadomy.
- Jestem w domu – powiedziałam.
- Zauważyłem, że wyszłaś – stwierdził lakonicznie.
- Zostałam napadnięta.
- Nic ci się nie stało?
- Prawie. Ale z nim jest gorzej.
- Zaraz przyjeżdżam.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale w słuchawce odezwał się sygnał. Bardziej niż czegokolwiek innego chciałam się położyć, wiedziałam jednak, że nie mogę. Przemogłam się i wstałam. Powoli wróciłam do miejsca, w którym Claude Friedrich trzymał na muszce jęczącego człowieka. Mężczyzna obiema dłońmi zakrywał zakrwawioną kominiarkę.

Nadal nie znaleźliśmy tożsamości napastnika.

– Myślę, że powinna mu pani ściągnąć maskę – powiedział Friedrich. – Sam sobie raczej nie poradzi.

Mimo że bolący bok doskwierał mi coraz bardziej, nachyliłam się i powiedziałam: „Zabierz te cholerne łapska!”. Natychmiast mnie posłuchał. Prawą ręką chwyciłam za skraj kominiarki i pociągnęłam ku górze. Nie udało mi się jej zdjąć zupełnie, bo przyciskał ją głową do ziemi, ale odsłoniłam wystarczający fragment twarzy, by móc rozpoznać, kto się pod nią kryje.

Z nosa Norvela Whitbreada płynęła krew.

– Złamałaś mi nos, ty suko – warknął chrapliwie, a ja uniosłam dłoń, gotowa do zadania ciosu.

Norvel się skulił.

– Dosyć! – warknął komendant.

Tym razem nic nie łagodziło oficjalnego tonu jego głosu. Z dużym wysiłkiem pozbierałam się i wstałam.

– Już stąd zionie od niego whisky – powiedział z odrazą. – Co pani tu robiła, kiedy zaatakował?

– Wracałam do domu i zajmowałam się swoimi sprawami – odparłam ostro.

– Och. Tak po prostu?

– Tak po prostu – powtórzyłam.

– Norvel, jesteś najgłupszym sukinsynem, jaki się kiedykolwiek urodził – zauważył swobodnym tonem komendant policji.

Napastnik jęknął z bólu i zwymiotował.

– Ludzkie pojęcie przechodzi! – zawołał Friedrich, a potem spojrzał na mnie. – Wie pani, dlaczego to zrobił?

– Kiedyś, gdy pracowałam w kościele, zaczepiał mnie, więc go uderzyłam – odpowiedziałam zdecydowanie. – Chyba wpadł na pomysł, żeby się zemścić.

Planując atak, Norvel najwyraźniej nie rozstawał się ze swoimi narzędziami pracy.

Założyłabym się, że kij pochodził z tej samej miotły, którą próbował mnie uderzyć w kościele, tylko wcześniej odpiłował szczotkę.

Za rogiem przystanął radiowóz. Światła koguta się obracały, na szczęście syrena nie była włączona.

Wpadłam na pomysł i przykucnęłam niedaleko Norvela, od którego teraz śmierdziało wieloma nieprzyjemnymi rzeczami.

– Słuchaj, Norvel, czy to ty podrzuciłeś wieczorem lalkę na moim samochodzie? – spytałam.

W odpowiedzi Norvel Whitbread bluzgnął stekiem wyzwisk i przekleństw.

Zrozumiałam z tego, że nie wie, o czym mówię.

– O co mu znowu chodzi? – zapytał policjant.

– Okej, spróbujemy jeszcze raz – stwierdziłam, wiedzona nagłym natchnieniem.

Gestem dałam Friedrichowi znać, żeby chwilę poczekał. – Po co Tom O’Hagen poszedł do ciebie na górę tego dnia, kiedy ktoś zabił Pardona?

– Bo nie mógł utrzymać kutasa w gaciach – warknął Norvel, któremu najwyraźniej przeszła ochota na ochronę potencjalnie intratnych sekretów innych osób. – Kopsnął mi sześć pierdolonych dych, żeby nie beknął jego żonie, że bzyka Deedrę.

Claude Friedrich, który niepostrzeżenie podszedł bliżej, usłyszał moje pytanie. Teraz zmierzył Norvela lodowatym spojrzeniem.

– Mały drobiazg, o którym zapomniałeś mi wspomnieć, co? – spytał z wściekłością. – Kiedy wybierzemy się do celi po krótkim przystanku w szpitalu, będziemy musieli poważnie porozmawiać.

Skinął głową na policjanta, który właśnie przybiegł z radiowozu. Był to młody mężczyzna, którego w myślach zaliczyłam do chłopców.

Gdy zakuwał w kajdanki Norvela i wpychał go do samochodu, Claude Friedrich stał przy mnie i zaczął mi się przyglądać. Nadal kuciałam, bo wiedziałam, że gdy spróbuję wstać, bok znów mnie rozboli. Chowając broń za pas, komendant wyciągnął do mnie rękę. Po chwili wahania chwyciłam ją, a on mocno pociągnął. Wstałam, z trudem łapiąc dech.

– Nie ma sensu pytać, gdzie pani była. Chyba nawet nie będę musiał – powiedział, przypatrując się samochodowi Marshalla, który właśnie zaparkował za radiowozem.

Dopiero wtedy puścił moją dłoń.

Marshall błyskawicznie wyskoczył z samochodu. Nie chwycił mnie za rękę ani nie objął, tylko przyjrzał mi się uważnie, jak meblowi na wyprzedazy, w poszukiwaniu zadrapań i rys.

– Lepiej wejdźmy do środka – mruknął. – Tutaj nic nie widać.

Claude Friedrich odchrząknął.

– Dobry wieczór, panie Sedaka – przywitał się.

Dopiero wtedy Marshall zwrócił na niego uwagę.

– Dobry wieczór – odpowiedział, kiwnął głową, a potem wrócił do zadrapań na mojej twarzy. – Krwawi – poinformował Friedricha. – Zabiorę ją do domu i zdezynfekuję rany, żeby zobaczyć, czy nie trzeba założyć szwów.

Poczułam, że zaraz parsknę śmiechem. Nikt mnie nie badał tak dokładnie, odkąd mama dostała ze szkoły list z ostrzeżeniem o wszawicy.

– Norvel Whitbread napadł na Lily – poinformował komendant, któremu najwyraźniej zaczął się dawać we znaki chłód nocnego powietrza, sądząc po gęsiej skórcie, jaka się pojawiła na jego nagiej klatce piersiowej.

Miałam wrażenie, że czeka, kiedy Marshall zacznie się wobec mnie zachowywać jak mój chłopak – pewnie uważał, że powinien mnie pocieszyć po tym, co przeszłam, albo zagrozić Norvelowi nagłą śmiercią.

– Jak widzę, dałaś mu popalić – powiedział Marshall.

– Tak, *sensei* – wyjaśniłam.

Nie mogłam już dłużej stłumić chichotu.

Gdy obaj mężczyźni spojrzeli na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem, zachichotałam jeszcze głośniejsze, a potem roześmiałam się na całe gardło.

– Może powinna pojechać do szpitala razem z Norvelem?

– O, to facet musi iść do szpitala? – Marshall był ze mnie tak dumny, jak trener, którego wychowanek junior poradził sobie na ringu z dorosłym przeciwnikiem.

– Złamałam mu nos – potwierdziłam między coraz rzadszymi wybuchami, które oznaczały zbliżający się koniec ataku.

– Był uzbrojony?

– Chyba w kij od miotły – powiedziałam. – Jest tam.

Przedmiot, o którym mowa, wylądował w krzakach pod gankiem.

Friedrich poszedł po niego. Materiał dowodowy – domyśliłam się.

– Lily – zagrzmiał, trzymając go ostrożnie za jeden koniec – będzie pani musiała przyjść jutro na komisariat i złożyć zeznanie. Teraz jest już późno i musi pani zadbać o siebie.

Jeżeli pani chce, mogę panią zawieźć do szpitala.

– Nie, dziękuję – odparłam trzeźwo. Wesołość zupełnie mi przeszła. – Naprawdę chcę już iść do domu.

W tej chwili najbardziej potrzebowałam prysznic. Miałam za sobą zwykły dzień pracy, potem zajęcia karate, dwa długie spacery, seks i walkę. Czułam się nieświeżo, mówiąc oględnie.

– W takim razie zostawiam państwa – powiedział cicho Friedrich. – Cieszę się, że nic się pani nie stało. Domyślałam się, że kiedy przyjdę na komisariat, dowiem się czegoś o lalce pozostawionej na pani samochodzie.

Nie mogłam się powstrzymać i znacząco spojrzałam na Marshalla. Dobrze, że zdrowy rozsądek kazał mi pójść na komisariat tego samego wieczoru. Zmarszczył brwi.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

– Tak, panie inspektorze – powiedziałam, próbując nie sprawiać wrażenia zbytnio zadowolonej z siebie. – Zameldowałam o tym Tomowi

Davidowi Meicklejohnowi. On też zaprosił mnie na jutro.

– Pracuje pani w sobotę rano?

– Tak, ale wpadnę około południa.

– W takim razie do zobaczenia. Dobranoc państwu – z tymi słowami policjant odszedł z kijem od miotły w rękę.

Wyczerpanie dopadło mnie ze zdwojoną siłą.

– Wejźmy do domu – powiedziałam.

W ogródku oświetlonym słabym światłem ulicznej latarni na rogu arboretum zaczęłam szukać kluczy, które się rozsypały, gdy kółko od breloka pękło. Na szczęście był to mój prywatny komplet. Miałam w nim klucze do domu, samochodu i od skrytki bankowej.

Zauważyłam błysk metalu w trawie i znalazłam kluczyki do samochodu. Niewiele myśląc, pochyliłam się, by go podnieść, poczułam ukłucie bólu w boku, który przyjął impet pierwszego uderzenia. Syknęłam, więc Marshall, który przyglądał się odchodzącemu przedstawicielowi prawa, pomógł mi wstać.

Klucz od skrytki bankowej dostrzegłam w drodze na ganek. Marshall podniósł go i pomógł mi wspiąć się po schodach do domu. Dopóki nie zauważyłam, jak się rozgląda, zapomniałam, że nigdy wcześniej u mnie nie był.

– Gdzie masz łazienkę? – zaczął i puścił mnie przodem.

Rozebrał mnie, jak to ująć... po lekarsku. Najpierw zdezynfekował mi zadrapania na twarzy, posmarował maścią z antybiotykiem, a potem zajął się moimi zębami. Delikatnie, lecz zdecydowanie dotykał każdego po kolei, zadając mi pytania, jednocześnie oceniając ciężkość urazów.

– Zażyj dwie aspiryny i zadzwoń do mnie rano – powiedział w końcu. – Myślę, że niczego ci nie złamał. Jesteś tylko nieźle posiniaczona i przez jakiś czas będzie cię bolało.

Zakleję ci siniak plastrem. Dobrze, że Norvel jako alkoholik prowadzi siedzący tryb życia, w przeciwnym razie wylądowałabyś w szpitalu. Kiedy się zorientowałaś?

– Za późno – przyznałam. – Czekał na mnie pod wiatą w masce i ciemnym ubraniu. Mimo to... – mój głos zamarł.

Zorientowałam się, że nie mogę sklecić jednego spójnego zdania. Marshall wyjął z bieliźniarki podręczną apteczkę i opatrzył mi rany.

– Muszę pod prysznic – powiedziałam. – Wyjdź.

– Pamiętaj, żeby nie zmoczyć plastra. Odwróć się.

– Tak, *sensei*.

– Dzisiaj będę spał na twojej sofie w pokoju gościnnym.

– Jest za mała. Będzie ci ciasno.

– W takim razie w śpiworze?

– Nie. Nie przepadam za kempingami.

– Na podłodze?

– Możesz spać ze mną. Mam dwuosobowe łóżko.

Wyczułam, że chce mnie zapytać, dlaczego wymknęłam się od niego w środku nocy. Na szczęście miał na tyle taktu, że nie zadrezczał mnie o to w chwili, gdy padałam na nos z wyczerpania. Pomógł mi się wydostać z reszty ubrania, a potem wyszedł bez słowa.

Poczułam ogromną wdzięczność i ulgę. Odkręciłam prysznic i gdy tylko woda zrobiła się dość ciepła, weszłam do brodzika, zaciągnęłam zasłonę i po prostu pozwoliłam wodzie spływać po sobie. Po kilku sekundach wzięłam mydło, szampon i umyłam się na tyle gruntownie, na ile pozwalały wskazówki Marshalla. Nawet wygoliłam się pod pachami.

Niestety, zajęcie się nogami okazało się zbyt trudne.

Gdy wyszłam spod prysznic do zaparowanej łazienki i zaczęłam myć zęby, poczułam się o wiele lepiej. Koszula nocna wisiała na haczyku na

drzwiach. Wciągnęłam ją przez głowę, gdy skończyłam wieczorny rytuał pielęgnacyjny, używając dezodorantu, kremu i płynu do zmiękczenia skórek. O Marshallu przypominałam sobie dopiero po wejściu do sypialni. Przeżyłam szok, gdy na poduszce obok mojej zobaczyłam czarne włosy. Był na tyle miły, że zajął część łóżka od ściany i zostawił mi stronę zewnętrzną przy nocnej szafce. Nie wyłączył lampki. Twardo spał na lewym boku, odwrócony do mnie plecami.

Poruszając się bardzo cicho, jak zwykle przed snem, sprawdziłam, czy zamknęłam drzwi frontowe, tylne i wszystkie okna, a potem zgasłam światło. Ostrożnie wśliznęłam się do łóżka, obróciłam na prawy, nieopatrzonego bok, plecami do Marshalla, i mimo dziwnego uczucia towarzyszącego obecności obcej osoby w moim domu i w łóżku, natychmiast zapadłam w głęboki sen.

O ósmej nagle otworzyłam oczy. Zegar cyfrowy na nocnej szafce stał tuż przed moimi oczami. Zastanawiałam się przez chwilę, dlaczego coś mi nie pasuje... Wtedy przypominałam sobie wydarzenia z poprzedniego wieczoru i nocy. Na plecach czułam ciepło. Nic dziwnego, wtuliłam się w Marshalla. Potem poczułam, jak obrócił się za mną i objął mnie ramieniem.

Rękami dotknął moich piersi. Przez cienką koszulę nocną czułam, jak się do mnie tuli.

– Jak się masz? – zapytał spokojnie.

– Jeszcze się nie ruszałam – mruknęłam w odpowiedzi.

– A chcesz się trochę poruszać?

– Masz coś konkretnego na myśli? – zapytałam, gdy poczułam, że jego ciało reaguje na zetknięcie z moim.

– Tylko jeżeli nie będzie cię bolało...

Wygięłam się w łuk i wtuliłam w niego głębiej, a on objął mnie zachłannie.

– Będziemy musieli sami się o tym przekonać – szepnęłam.

– Jesteś pewna?

Odwróciłam się twarzą do niego.

– Tak – odparłam.

Jest bardzo silny, więc nie przygniótł mnie, a w jego oczach nie dojrzałam niczego poza przyjemnością. Pamiętał o mojej podrapanej twarzy i posiniaczonym boku, czym mnie wzruszył i zdumiał. Zrozumiałam, że już przeszłam do porządku dziennego nad tym, że zaakceptował moje blizny. Dlatego zaniepokoiłam się podwójnie, gdy skończyliśmy się kochać i leżeliśmy obok siebie, trzymając się za ręce, a on powiedział: – Lily, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. – Jego głos brzmiał poważnie, zbyt poważnie.

Poczułam gwałtowny skurcz serca.

– O czym? – spytałam, próbując nie okazywać zaniepokojenia.

Przykryłam się.

– Chodzi o twoje czwórki, Lily.

– O moje... mięśnie czworogłowe? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Naprawdę musisz nad nimi popracować – powiedział.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego.

– Mam pocięty brzuch, podrapaną twarz, potworne siniaki na żebrach, a ciebie obchodzi tylko tyle, że powinnam popracować nad moimi czwórkami?

– Oprócz tego jesteś doskonałą.

– Ty... draniu!

Rozdarta między rozbawieniem i niedowierzaniem wyrwałam sobie poduszkę spod głowy i walnęłam go. Ból natychmiast o sobie przypomniął. Nie mogłam się powstrzymać i krzyknęłam, przyciskając dłonie do boku.

– Wyprostuj się – podpowiadał mi Marshall. Usiadł, żeby mi pomóc. – Przechyl się do tyłu, powoli... O tak. A teraz podnieś głowę.

Wsunął mi poduszkę pod głowę.

– Lily – powiedział, kiedy stwierdził, że najgorsze minęło. – Tylko się z tobą przekomarzałem.

– Aha. – Nagle dotarło do mnie, jak głupio się zachowałam. – Z tego wszystkiego pewnie stałam się socjopatką – powiedziałam po chwili.

– Dlaczego wczoraj wieczorem wyszłaś bez pożegnania?

– Czułam jakiś dziwny niepokój. Nie umiem dzielić się z nikim czasem ani przestrzenią. Do nikogo nie chodzę w odwiedziny. Ty jesteś jeszcze żonaty. Wiesz, jak to jest mieć kogoś innego przy sobie. Ty i Thea dostawaliście zaproszenia od różnych ludzi, prawda? Mnie nikt nie zaprasza. Nie umawiam się na randki. Żyję jakby... – zawahałam się, niepewna, jak podsumować kilka ostatnich lat mojego życia.

– Na autopilocie?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Po prostu egzystuję – powiedziałam. – Staram się bezpiecznie przeżyć dzień za dniem. Robię to, co do mnie należy, płacę rachunki na czas i nie zwracam niczyjej uwagi.

Sama ze sobą.

– Nie czujesz się samotna?

– Nieczęsto – przyznałam. – Nie ma zbyt wielu ludzi, których lubię i szanuję, więc nic dziwnego, że nie mam ochoty na towarzystwo.

Marshall spoglądał na mnie wsparty na łokciu. Rozkoszowałam się widokiem jego umięśnionej klatki piersiowej. Pomyślałam o tej chwili właśnie w taki sposób – jako o chwili przyjemności, rzadko osiąganey, która mogła więcej się nie powtórzyć.

– Powiedz mi, kogo lubisz – poprosił.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Lubię panią Hofstettler. Mimo wszystko lubię Claude’a Friedricha. I ciebie. Lubię też większość ludzi, którzy chodzą na treningi, chociaż niekoniecznie Janet Shook. Lubię nową lekarzkę. Ale nikogo z nich nie znam bliżej.

– Masz znajomych, których nie poznałaś w pracy ani na treningach? Kogoś w twoim wieku, z kim mogłabyś... pojechać na zakupy albo do restauracji w Little Rock?

– Nie – odpowiedziałam beznamiętnie, starając się powstrzymać rozdrażnienie.

– Okej, okej. – Uniósł rękę, chcąc mnie uspokoić. – Tylko pytam. Chcę sprawdzić, jak bardzo będziemy mieli pod górkę.

– Obawiam się, że bardzo. – Odprężyłam się z wysiłkiem.

Znów spojrzałam na budzik.

– Nie chce mi się ruszać z łóżka, ale obowiązki wzywają.

– Znudziło ci się moje towarzystwo czy naprawdę musisz dziś iść do pracy?

– Naprawdę muszę. Rano sprzątam w gabinecie lekarskim, potem idę do pani Hofstettler, na policję, a po południu muszę zrobić zakupy.

Oszczędzam na wydatkach w ten sposób, że starannie przygotowuję listę zakupów i przestrzegam jej co do joty podczas jednej wyprawy do sklepu spożywczego na tydzień.

– Z poobijanymi zebrami?

– Nie mam innego wyjścia – usłyszałam swój głos z pewnym zaskoczeniem. – To moja praca. Kiedy nie pracuję, nie dostaję pieniędzy. A kiedy nie dostaję pieniędzy, zaczynają się kłopoty.

– A ja muszę otworzyć siłownię – dodał niechętnie. – W soboty zaczynam później, ale dzisiaj do pierwszej jestem sam, więc muszę się

zameldować na miejscu.

– W takim razie zbierajmy się – powiedziałam, lecz nagle zapragnęłam zostać w ciepłym łóżku przesiąkniętym zapachem Marshalla i seksu.

– Czy dasz się dzisiaj wieczorem zaprosić na kolację?

Znów pojawiło się to dziwne uczucie osaczenia i prawie mu odmówiłam. Ale powiedziałam sobie z przyganą, że w ten sposób działałabym na własną szkodę. Marshall rzucał mi linę ratunkową, a ja nie chciałam jej chwycić.

– Pewnie – powiedziałam, wiedząc, że mój głos brzmi nienaturalnie.

Marshall przyglądał mi się uważnie.

– Ty wybierasz miejsce – zasugerował. – Co lubisz?

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłam w restauracji. Gdy nie mam ochoty pichcić, wybieram gotowe potrawy i przywożę do domu. Nie zdarza się to często, bo lubię krzątać się po kuchni, poza tym wypada taniej niż stołowanie się poza domem.

– Hm – powiedziałam, sięgając do dawnego wspomnienia. – Lubię kuchnię meksykańską.

– Świetnie, ja też. W takim razie pojedziemy do El Paso Grande w Montrose.

Montrose było najbliższym dużym miastem. Właśnie tam mieszkańcy Shakespeare robili większość zakupów, gdy nie mieli ochoty na półtoragodzinną podróż do Little Rock.

– Okej.

Podniosłam się ostrożnie i postawiłam nogi na podłodze. Przygryzłam wargę i czekałam, aż przyjdzie mi ochota wstać i umyć zęby. Zapragnęłam, żeby Marshall przestał zwracać uwagę na moje kłopoty. Jakimś cudem tak właśnie zrobił, pozwalając mi się nie spieszyć i wstać samodzielnie. Sztywno poszłam do łazienki, szybko obmyłam się gąbką, umyłam zęby i

wyszczotkowałam włosy. Starannie nałożyłam makijaż, mając nadzieję, że zadrapania będą mniej widoczne. Przejrzałam się w lustrze i zauważyłam pewną poprawę.

Mimo to nadal wyglądałam jak kobieta po przejściach.

Sztywnym krokiem wyszłam z łazienki, dając Marshallowi znać, że teraz kolej na niego.

Wziął prysznic i umył zęby szczoteczką, którą zostawiłam mu na umywalce w plastikowym opakowaniu (dostaję nową od dentysty przy każdej wizycie kontrolnej, ale tej marki nie lubię), tymczasem mnie udało się włożyć tanie ciuchy, które noszę do pracy, luźne džinsy i starą ciemnoczerwoną bluzę od dresu z nadrukiem uczelni i obciętymi rękawami. Nie mogłam sobie poradzić z naciągnięciem skarpet, więc tym razem zdecydowałam się na mokasyny.

Marshall zaczął coś mówić, lecz przerwał. Po chwili zapytał tylko: – Wpaść po ciebie o szóstej?

Ucieszyłam się, że opuścił cały rytuał: „Jesteś pewna, że sobie poradzisz? Zadzwoń do nich i powiedz, że jesteś chora. Pomogę ci”. A tego obawiałam się najbardziej.

– Pewnie – odparłam, okazując wdzięczność uśmiechem.

– W takim razie do zobaczenia – pożegnał się i wyszedł do samochodu, który poprzedniego wieczora zaparkował krzywo przed domem.

Ruszając się powoli, ale nie robiąc przerw, zebrałam przybory, które miały być mi potrzebne tamtego dnia, i pojechałam do gabinetu. Jak zwykle podjechałam na wybrukowany parking za budynkiem, przeznaczony do użytku lekarza i personelu. Zauważyłam samochód doktor Thrush. Jest nowa w mieście. Zaczęłam u niej sprzątać dopiero trzy tygodnie temu.

Użyłam swojego klucza i z wysiłkiem pokonałam dość wysoki próg. Carrie Thrush wyjrzała z gabinetu. Ściągnęła brwi z niepokoju.

– Chwała Bogu, że to pani, Lily! – wykrzyknęła. – Na śmierć zapomniałam, że to już dziś.

Gdy zaczęłam iść korytarzem, uśmiech ulgi ustąpił miejsca zatroskaniu.

– Dobry Boże! Co się pani stało?

– Wczoraj wieczorem wdałam się w bójkę – odparłam.

– W barze? – Młoda pani doktor spoglądała na mnie ze zdumieniem.

Ciemnobrązowe brwi powędrowały wysoko nad oczy – tak samo ciemnobrązowe.

– Nie, jakiś facet napadł mnie przed domem – powiedziałam krótko, wyjaśniając tylko dlatego, że zapytała z takim zainteresowaniem.

Tamtego dnia nie miałam zbyt dużych zapasów energii, więc musiałam skupić się na obowiązkach. Otworzyłam drzwi prowadzące z korytarza do łazienki dla pacjentów. To najgorsze miejsce, dlatego zawsze od niego zaczynam. Miałam nieodparte wrażenie, że przed rozpoczęciem pracy każdego ranka doktor Thrush robiła tu porządek. W przeciwnym razie w łazience byłoby jeszcze brudniej. Włożyłam rękawiczki ochronne i zaczęłam sprzątać.

Wyczyściłam małe pomieszczenie z podwójnymi drzwiami, w którym pacjenci oddają próbki moczu, a potem wytarłam gałkę drzwi do laboratorium. Położyłam świeży papierowy ręcznik dla następnego pacjenta. Nie sprawdziłam wcześniej, czy mam szczelne rękawice, i zanotowałam w pamięci, że muszę to zrobić, kiedy wrócę do domu. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to złapać tu jakieś świństwo.

Po chwili zorientowałam się, że w drzwiach do łazienki stoi pani doktor i przygląda mi się uważnie.

– Nie może pani pracować w takim stanie! – zawołała.

Ma zdecydowany głos, z którego moim zdaniem korzysta wtedy, gdy uważa, że powinna przypomnieć pacjentom, iż naprawdę jest lekarzem.

Carrie Thrush jest niższa ode mnie i pulchna jak pączek w maśle. Ma okrągłą twarz ze zdecydowanie zarysowaną szczęką, gęste brwi i blizny po trądziku. Czarne włosy do ramion z przedziałkiem zaczesuje za uszy.

Ma okrągłe i wesołe ciemnobrązowe oczy – tylko one ratują panią doktor od pospolitości.

Domyślam się, że może być w moim wieku, czyli tuż po trzydziestce.

– Mogę. Nic mi nie będzie – odparłam, skoro czekała na odpowiedź.

Nie byłam w nastroju do sporów. Posypałam umywalkę proszkiem do czyszczenia i zwilżyłam gąbkę. Zaciśnęłam usta, co – miałam nadzieję – moja pracodawczyni uzna za wyraz determinacji.

– Tylko popatrzę na żebra, dobrze? Tu panią boli, prawda? Ma pani przecież lekarza pod ręką.

Szorowałam dalej, ale w końcu zdrowy rozsądek wygrał z dumą. Odłożyłam gąbkę, zdjęłam rękawiczki i podciągnęłam górę od dresu.

– Aha, widzę, że ktoś już panią opatrzył. Dobrze, tylko zdejmę to...

Po raz kolejny musiałam wytrzymać bolesne badanie, by usłyszeć, jak mocą swojego autorytetu lekarz powtarza mi to samo, co wcześniej powiedział Marshall – że żadne z moich żeber nie zostało złamane, ale że siniaki i ból utrzymają się przez jakiś czas. Oczywiście doktor Thrush przy okazji zauważyła blizny i zmarszczyła brwi, ale nie zadawała żadnych pytań.

– Nie powinna pani pracować – powtórzyła. – Ale widzę, że cokolwiek bym powiedziała, nic pani nie powstrzyma.

Mrugnęłam z niedowierzaniem. Co za miła odmiana. Carrie Thrush zaczynała mi się coraz bardziej podobać.

Sprzątanie przychodni było bardzo męczące z powodu papierów. Biurokracja to przekleństwo lekarzy. Formularze w trzech egzemplarzach, rachunki, historie chorób pacjentów, wyniki badań laboratoryjnych,

formularze ubezpieczeniowe firm Medicare i Medicaid – ich stosy zalegały wszędzie. Musiałam traktować każdy z nich jak osobny byt – podnieść, odkurzyć i odłożyć na to samo miejsce, więc gabinet, który dzieliły recepcjonistka i pielęgniarka, zdecydowanie zasługiwał na miano koszmaru. W porównaniu z nim poczekalnia i pokoje zabiegowe to był pryszcz.

Po raz pierwszy uderzyło mnie, że tam również ktoś musiał sprzątać częściej niż raz w tygodniu. Ale kto? Nita Tyree – recepcjonistka? Nie podejrzewałam, by zgodziła się na coś takiego w ramach swoich obowiązków. Ledwo ją znam, ale wiem, że ma czworo dzieci, z których dwoje jest w takim wieku, że mogą chodzić do przykościelnego przedszkola. Nita wychodzi z pracy po wyjściu ostatniego pacjenta, bez względu na to, ile papierków zostało jej jeszcze na biurku.

Gennette Jinks była poza wszelkimi podejrzeniami. Niecały tydzień wcześniej stałam w kolejce za tą dobiegającą pięćdziesiątki pielęgniarką w delikatesach Superette i usłyszałam (podobnie jak wszyscy inni w promieniu półtora metra dookoła), że bardzo ciężko pracuje, że młoda doktor Thrush nie korzysta z mądrych rad, których udziela jej ona (Gennette) w oparciu o wieloletnie doświadczenie. W tej samej chwili wyłączyłam się i zaczęłam czytać nagłówki brukowców, bo zapowiadały się znacznie ciekawiej.

Jedyną osobą, która ukradkiem sprzątała przychodnię w tygodniu, musiała być pani doktor. Odłożyłam rachunki na miejsce. Zupełnie przypadkiem dowiedziałam się o wysokości rat kredytu, jaki spłaca za studia medyczne. Miałam wrażenie, że bywały takie tygodnie, gdy ledwo wiązała koniec z końcem. Z trudem wystarczało jej na opłacenie mnie, a co dopiero Gennette i Nity.

Zastanawiałam się nad tym, ścierając, odkurzając i zmywając wokół pani doktor siedzącej za biurkiem wśród wszechobecnych stosów papierów zajmujących każdy wolny centymetr powierzchni.

Kiedy wszystko już błyszczało i pachniało – jeżeli nie czystością, to przynajmniej odświeżaczem powietrza – wetknęłam głowę w drzwi gabinetu lekarskiego i powiedziałam: – Do widzenia.

– Zaraz wypiszę czek – powiedziała doktor Thrush.

– Nie trzeba.

– Słucham? – Carrie Thrush zrobiła przerwę, a jej długopis zastygł nad książeczką czekową.

– Zbadała mnie pani. Nazwijmy to wymianą usług.

Podejrzewam, że taka propozycja łamie jakieś reguły obowiązujące w medycynie, lecz jednocześnie byłam pewna, iż spodoba się mojej pracodawczyni. I miałam rację. Carrie Thrush uśmiechnęła się szeroko, a potem powiedziała: – Dzięki Bogu! Żadnych papierków do wypełniania.

– Dzięki Bogu, żadnych problemów z ubezpieczeniem – odpowiedziałam i wyszłam, czując, że Carrie Thrush i mnie – lekarzkę i sprzątaczkę – coś zaczyna łączyć. Jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej zaczątek wzajemnej sympatii.

ROZDZIAŁ 9

Zmaltretowany bok bolał mnie coraz bardziej, a sobota jakby na złość wlokła się bardzo powoli. Snułam się jak ślimak po mieszkaniu pani Hofstettler, ona nie czuła się jednak najlepiej i chyba niczego nie zauważyła. Zastanawiałam się, jak to jest tak bardzo cierpieć przez wiele dni, wiedząc na pewno, że ból będzie powracał do końca życia.

Na komisariacie złożyłam zeznania. Przez cały czas siedziałam prosto i oddychałam płytko. Rozmawiał ze mną Dolph Stafford, oficer, a przynajmniej tak mi się wydawało, gdyż nie nosił munduru. Powiedział, że bardzo mu miło mnie poznać. Zerkał na mnie kątem oka, a za wystudiowaną kurtuazją ledwo kryła się litość. Domyśliłam się, że on też słyszał historię z mojej przeszłości, która ciągnęłaby się za mną jak kula u nogi bez względu na to, dokąd bym się przeprowadziła.

Gdy monotennie podawałam szczegóły dotyczące podrzuconej lalki i napaści Norvela, zastanawiałam się nad starym problemem. Teraz, gdy moja przeszłość wyszła na jaw, czy powinnam znów się przeprowadzić? Wcześniej odpowiedź zawsze brzmiała „tak”. Ale w Shakespeare mieszkalam już od czterech lat, dłużej niż gdziekolwiek, odkąd mnie zgwałcono.

Po raz pierwszy zastanawiałam się, czy nie nadszedł czas przetrwać to całe zamieszanie? Ta myśl przyszła mi do głowy i utkwiała w niej na dobre. Gdy policjant dowiedział się już wszystkiego, co chciał, poszłam do domu odpocząć, wreszcie poddając się bólowi.

Postanowiłam odłożyć zakupy na niedzielę lub nawet na poniedziałek. Nie chciałam iść do sklepu jeszcze z jednego powodu. Wiedziałam, że historia o napaści Norvela rozeszła się już po całym mieście, i nie

zamierzałam narażać się na współczujące spojrzenia ani na zadawane drżącym głosem pytania.

Gdy wychodziłam z przychodni, Carrie Thrush dała mi kilka pigułek przeciwbólowych w opakowaniach reklamowych. W innych warunkach dobrze bym się zastanowiła przed zażyciem tylenolu, lecz ból naprawdę zaczął mi się dawać we znaki.

Połknęłam dwie kapsułki, popiłam je wodą i właśnie miałam wyjść z kuchni, żeby położyć się do łóżka, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, lecz energiczne stukanie dało mi do zrozumienia, że osoba za drzwiami jest zarówno niecierpliwa, jak i natarczywa. Zirytowana dowlokłam się do drzwi i wyjrzałam przez judasza. Gdy odkryłam, że nieproszonym gościem jest mój sporadyczny pracodawca wielebny Joel McCorkindale, wcale się nie ucieszyłam.

Niechętnie odsunęłam zasuwę.

Uśmiech pastora, mający wyrażać radość z naszego spotkania, zniknął, gdy zobaczył zadrapania i grymas bólu na mojej twarzy.

– Czy mogę wejść?

Wrodzony spryt podpowiedział mu, że jego mina powinna teraz wyrażać pełne godności współczucie.

– Byle na krótko.

Nie przejmując się mało uprzejmym powitaniem, McCorkindale przekroczył próg i rozejrzał się ciekawie po moim maleńkim gniazdku.

– Bardzo tu miło u pani – powiedział szczerze.

Przypomniałam sobie, że muszę się mieć na bacności. Szczerłość to główna cecha charakteru wielebnego McCorkindale’a.

Nie zaproponowałam mu krzesła.

To również przyjął bez komentarza.

– Panno Bard – zaczął po wstępnym wybadaniu sytuacji. – Wiem, że pani i Norvel Whitbread nie przepadacie za sobą... – tutaj prychnęłam z pogardą – od chwili gdy przyszło wam razem pracować w kościele. Chciałbym, żeby pani wiedziała, jak bardzo poruszyło mnie jego zachowanie ubiegłej nocy. Norvelowi też jest bardzo, naprawdę bardzo przykro, że tak bardzo panią przestraszył.

Stałam ze spuszczoną głową i zastanawiałam się, kiedy przestanie głądzić, bo łóżko z każdą chwilą coraz głośniejsze zapraszało mnie w swoje objęcia. Po chwili uniosłam głowę i spojrzałam na Joela McCorkindale’a.

– Nie przestraszyłam się – sprostowałam. – Owszem, wściekłam się, ale nie przestraszyłam.

– A więc to... dobrze. W takim razie żałuje, że panią zranił.

– Spuściłam mu łomot.

Pastor poczerwieniał na twarzy.

– Rzeczywiście, dzisiaj nie wygląda najlepiej.

Uśmiechnęłam się.

– Przejdźmy do rzeczy – przynagliłam go.

– Przyszedłem z największą pokorą poprosić panią, czy nie rozważyłaby pani wycofania skargi przeciwko Norvelowi. Bardzo żałuje tego, co się stało. Wie, że nie powinien pić. Zrozumiał, że to źle, bardzo źle mścić się za doznane urazy. Wie, że Bóg zakazuje stosować przemoc wobec bliźniego, a co dopiero wobec kobiety.

Zamknęłam oczy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się posłuchać własnych słów.

Problem polegał na tym – myślałam, gdy McCorkindale rozwodził się nad duchowymi katuszami, jakie przeżywał Norvel – że gdyby nie to, co mi się kiedyś w życiu przytrafiło, kto wie, czy nie nabrałabym się na te brednie.

Uniosłam dłoń, dając mu znak, by przestał.

– Mam zamiar w pełni skorzystać z przysługujących mi praw i oskarżyć go – stwierdziłam zdecydowanie. – Nie zależy mi na tym, czy jeszcze kiedyś mnie pan zatrudni.

Wiedział pan doskonale, że od kilku tygodni znów pije. Nie mógł pan tego nie zauważyć. Wie pan, że gdy tylko zobaczy pełną butelkę, zapomni o wszystkich obietnicach, jakie pan na nim wymusi. Właśnie to jest jego prawdziwe wyznanie. Nie rozumiem, dlaczego go pan nie zwolni. Przecież o jego nałogu wiedzą wszyscy, którzy mają oczy i czasem robią z nich użytek. Może ma na pana jakiegoś haka? Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Ale nie zamierzam wycofywać doniesienia.

Dobrze zniósł moje słowa, co po raz kolejny potwierdziło przytomność jego umysłu. Jakby zastanawiając się nad czymś, umknął wzrokiem na bok.

– Muszę pani powiedzieć, że niektórzy członkowie naszego małego Kościoła mają podobne zdanie o pani. Zastanawiali się, dlaczego nie wyrzuciłem pani z pracy. Nie wszyscy za panią przepadają.

Czułam, że ogarnia mnie niewytłumaczalna wesołość. Najwyraźniej lek zaczynał działać.

– Jest pani skrytą i agresywną osobą – mówił dalej pastor. – W rozmowach ze mną niektórzy ludzie wyrażają wątpliwość, czy powinna pani nadal pracować w Shakespeare, a przynajmniej w naszym małym kościele.

– Jest mi obojętne, czy pracuję w waszym małym kościele, czy nie – odparłam. – Ale powiem panu, że jeżeli się dowiem o jakichkolwiek pana naciskach na moich pracodawców, żeby mnie nie zatrudniali, bo jestem „skryta i agresywna”, podam pana do sądu. Każdy, kto ma ochotę, może sprawdzić moją przeszłość. A co do agresji, proszę mi pokazać listę bójek,

które wszczęłam, albo wyroków więzienia. Przeczytam ją z najwyższym zainteresowaniem.

Zawstydzona tym, że w ogóle podjęłam temat i zniżyłam się do obrony przed wyssanymi z palca zarzutami, wyprosiłam pastora za drzwi i zamknęłam je na klucz.

Łóżko wzywało mnie już bardzo głośno, a ja nigdy nie potrafiłam zlekceważyć wołania. Popłynęłam korytarzem i nawet nie pamiętam, że się położyłam. Gdy się obudziłam, na nocnej szafce zobaczyłam wiadomość. Przyznam, że trochę bym się wystraszyła, gdyby jej autorem był wielebny McCorkindale.

Na szczęście zostawił ją Marshall.

Wpadłem o szóstej, żeby cię zabrać na kolację w Montrose

– zaczynał się liścik napisany małymi, kanciastymi literami charakterystycznymi dla Marshalla.

Pukałem przez pięć minut, zanim podeszłaś do drzwi. Wpuściłaś mnie, wróciłaś do łóżka i zasnęłaś. Martwiłem się, dopóki nie znalazłem koperty z napisem: „Zażyc, gdyby bolało”. Zadzwoń do mnie, kiedy się zbudzisz.

Marshall

Przeczytałam liścik jeszcze dwa razy, dochodząc do siebie po ataku przerażenia. Spojrzałam na zegar. Pokazywał piątą. Hmm. Przewróciłam się ostrożnie na drugą stronę łóżka i wyjrzałam na zewnątrz przez szpary żaluzji. Było ciemno. Dochodziła piąta rano.

– Boże wszechmogący! – zawołałam zdumiona skutecznością leku otrzymanego od doktor Thrush.

Zrobiłam kilka kroków po pokoju i z radością odkryłam, że długi odpoczynek dobrze mi zrobił. Czuję się o wiele lepiej. Najgorszy ból

chyba już minął. Zaniepokoiłam się jednak tym, że wpuściłam Marshalla do domu. Czy go poznałam? A może wpuściłabym nawet obcą osobę? W takim razie to dobrze, że nikt inny nie pukał. A może jednak?

Zaniepokojona obeszłam cały dom. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak dzień wcześniej. Jedynym dodatkiem był liścik od Marshalla i koperta, w której zostały jeszcze dwie kapsułki.

Schowałam je z respektem, zaparzyłam kawę i zastanawiałam się, co zrobić z tak miło rozpoczętym dniem. Niedziela to mój dzień wolny od pracy – nie z przyczyn religijnych, ale dlatego, że żaden z moich klientów nie chce, bym wtedy u niego sprzątała. Poza tym uważam, że co tydzień zasługuję na jeden pełny dzień wolny od pracy. Zwykle sprzątam u siebie w domu albo rano koszę trawnik, a o pierwszej, tuż po otwarciu, idę do Body Time. Często zostaję na dwie godziny, a potem wracam do domu i gotuję jedzenie na cały tydzień.

Pożyczam filmy z Rainbow Video („Kino dla wszystkich”) i co jakiś czas telefonuję do rodziców.

Jednak skoro wcześnie wstałam, a cały tydzień był tak niezwykły, żadna z powyższych rzeczy mnie nie pociągała.

Gdy przekartkowałam grube niedzielne wydanie gazety z Little Rock, starając się omijać historie o maltretowanych żonach, zaniedbywanych dzieciach i głodujących, porzuconych starszuchach, wybierając te, które mogłam przeczytać (co w sumie sprowadzało się do uciezek niebezpiecznych zwierząt domowych – w tym tygodniu boa dusiciel – i stron poświęconych sportowi), ubrałam się ostrożnie, mając nadzieję, że silny ból już nie wróci. Ku mojemu zadowoleniu nie wrócił. Owszem, miejsce urazu pozostało wrażliwe na dotyk i wykonując pewne ruchy, czułam dyskomfort, lecz nie było tak źle jak dzień wcześniej.

A więc dobrze. Na początek postanowiłam uporać się ze swoim niezadowoleniem.

Przydałoby się posprzątać w domu.

Niemal z radością włożyłam gumowe rękawice. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zatelefonować do Marshalla albo o brzasku zakraść się do jego domu i wskoczyć mu do łóżka. Odsunęłam od siebie pokusę – groziło mi, że zacznę na niego liczyć i traktować go jako ważną część mojego życia. Zamyślona gapiałam się na rękawice i myślałam o radości płynącej z kochania się z Marshalllem, o jego cudownym ciele, o podnieceniu płynącym z bycia pożądaną.

Zaczęłam gruntowne sprzątanie.

Mieszkam w małym domku i dobrze wiem, że za bardzo nie śmieczę, bo nie ma gdzie. W półtorej godziny, zanim reszta świata zdążyła się obudzić, mój dom lśnił czystością, a ja niecierpliwie wyczekiwałam chwili, gdy będę mogła się umyć. Właśnie gdy miałam wejść pod prysznic, rozległo się ciche pukanie do tylnych drzwi.

Zakląłam pod nosem, owinęłam się białym frotowym szlafrokiem, cicho podeszłam do drzwi i wyjrzałam przez judasza. Z drugiej strony spoglądał na mnie Marshall. Westchnęłam, nie wiedząc, czy cieszę się z jego widoku, czy też się martwię tym, że coraz lepiej czuję się w jego towarzystwie. Otworzyłam drzwi.

– Jeżeli nie przestaniesz – powiedziałam zdecydowanie – pomyślę sobie, że naprawdę ci się podobam.

– Co za miłe powitanie! – odparł, a jego brwi wygięły się w łuk z zaskoczenia. – Czy tym razem obudziłaś się na dobre?

– Wejdz ze mną pod prysznic, to się dowiesz – rzuciłam przez ramię, wracając do łazienki.

Jak się okazało, zupełnie odzyskałam świadomość.

Gdy mnie całował w strumieniach wody, dręczyło mnie przerażające uczucie, że powinnam na zawsze zapamiętać tę chwilę. Wiedziałam, że nie powinnam liczyć na trwałą związek, bo poniżenie, które przeżyłam, zmieniło mnie na zawsze. Dlatego się bałam.

Potem pożyczyłam mu swój frotowy szlafrok, a sama włożyłam jasny, cieńszy, i obejrzelśmy razem stary film na kablówce. Między nami na sofie położyłam miskę pełną winogron. Unieśliśmy podnózek i spędziliśmy miło czas, podziwiając aktorów i śmiejąc się z intrygi. Gdy film skończył się około południa, wstałam, żeby odłożyć resztę owoców do lodówki. Przez otwarte żaluzje w pokoju gościnnym dostrzegłam dziwnie znajomy czerwony samochód. Jechał ulicą bardzo powoli.

– Kto to jest, Marshall? – spytałam ostro.

Świat zewnętrzny znów dał o sobie znać.

Błyskawicznie zerwał się na nogi i wyrzwał za okno.

– To Thea – oznajmił, ledwo opanowując wściekłość.

– W takim razie przejeżdżała tędy już wcześniej kilka razy.

Ten sam samochód dostrzegłam, gdy całowałam się z Marshalllem pod wiatą. W ciągu ostatnich dni kilkakrotnie widziałam go w pobliżu.

– Niech to szlag, Lily – powiedział. – Przepraszam. Chciałbym, żeby ta sprawa rozwodowa wreszcie się skończyła. Żaden sędzia nie uwierzy, że ktoś z jej urodą jest zdolny do takich rzeczy.

Zamyślona wyrzwałam przez okno. Zobaczyłam przechodzących obok Yorków. Alva i TL. trzymali się za ręce. Ubrani na sportowo, szli dość wolno. A więc nie byli w kościele.

Coś niesłychanego!

Kilka dni temu pewnie zdziwiłabym się bardziej. W ciągu minionego tygodnia prawie wszyscy ludzie, których znałam, zachowywali się nietypowo, nie wyłączając mnie samej.

Pardon zginął, chyba nawet na własne życzenie.

Porządni, religijni Yorkowie bardzo przeżyli rodzinną tragedię.

Po dwóch latach wazeliniarstwa Norvel Whitbread pokazał, na co naprawdę go stać.

Tom O'Hagen zdradzał Jenny O'Hagen.

Deedra Dean widziała zwłoki.

Claude Friedrich nie zachował należytej ostrożności, zostawiając na biurku raport na mój temat.

Carlton Cockroft zaczął trenować karate i ujawnił zupełnie niespodziewane zainteresowanie sąsiadką.

Marcus Jefferson bawił się z synkiem w swoim mieszkaniu.

Marie Hofstettler przesłuchiwała policja.

Wielebny Joel McCorkindale odwiedził mnie w domu.

Marshall Sedaka zainteresował się osobiście jedną z uczennic.

Jedna z jego uczennic natychmiast odwzajemniła to zainteresowanie.

Ktoś zawiózł zwłoki do arboretum.

Ktoś inny podrzucił kajdanki tam, gdzie musiałam je znaleźć, zabił szczura, a na masce mojego samochodu zostawił sugestywnie umalowanego Kena.

– Ogólnie rzecz biorąc – powiedziałam, odwracając się do Marshalla – trudno będzie przebić zeszły tydzień.

– Możemy spróbować – zasugerował i zdziwił się, kiedy wybuchnęłam śmiechem.

– W poniedziałek wieczorem widziałam coś ciekawego – wyjaśniłam i opowiedziałam mu, co zobaczyłam podczas powrotu z nocnego spaceru.

– Widziałaś mordercę?

– Widziałam tylko kogoś, kto podrzucał ciało.

Marshall się zamyślił.

– Rozumiem, dlaczego nie chciałaś o tym powiedzieć policji – powiedział w końcu. – Ktoś użył twojego wózka. Problem w tym, że skoro jeszcze nikogo nie aresztowali, możesz być w niebezpieczeństwie.

– Jak to?

– Zabójca może pomyśleć, że widziałaś więcej, niż faktycznie widziałaś – wyjaśnił. – Przynajmniej w filmach tak postępują mordercy. Zawsze dobierają się do osób, które ich zdaniem za dużo wiedzą, bez względu na to, czy to prawda.

– Takie rzeczy dzieją się tylko w kinie, a tu jest Shakespeare.

Nagle zrozumiałam, co powiedziałam, i roześmiałam się. Marshall znów przyjrzał mi się ze zdziwieniem, więc musiałam mu wyjaśnić.

– Lily, myślę, że im wcześniej policja kogoś zatrzyma, tym lepiej dla ciebie.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Wtedy postaramy się odkryć, kto prześladowa ciebie i Theę.

W jego głosie wyczułam dziwną nutę.

– Czy to znaczy, że znów coś jej się przytrafiło? – spytałam.

– Zatelefonowała do mnie dziś rano koło szóstej. Na kuchennych drzwiach ktoś namalował farbą w sprayu słowo „suka”.

– Naprawdę?

Zdziwił się trochę moją beznamiętną reakcją.

– Powiedz mi, przyszedłeś tutaj po to, żeby spędzić kilka miłych chwil w moim towarzystwie czy też chciałeś przekonać się, czy przypadkiem nie biegam po ogrodzie z puszką farby w aerozolu?

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Myślę, że gdybyś była wściekła na Theę, wyzwalałabyś ją na pojedynek albo zupełnie zignorowała na resztę życia. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić,

jak zakradasz się w ciemnościach pod jej dom i malujesz napis na tylnych drzwiach.

Nie byłam pewna, czy mi wierzy. Miałam wrażenie, że poczuł ulgę, gdy zażądałam od niego wyjaśnień.

Usiadłam w fotelu i spojrzałam na niego z uwagą.

– Może to moja wina, bo stałam się nadwrażliwa, ale czy zachowanie Thei przypadkiem nie sprawiło, że przestałeś ufać własnemu instynktowi?

Nie odpowiedział mi od razu, co mnie ucieszyło. Chciałam, żeby dobrze się nad tym zastanowił.

– Pewnie jedno i drugie – powiedział w końcu. – Chodźmy, czas poćwiczyć.

Wkładając wiekowe popielate spodnie od dresu i granatowy T-shirt, pomyślałam, że chociaż lubił się ze mną kochać, nigdy nie powiedział mi otwarcie, czy uważa mnie za atrakcyjną kobietę. A może cieszył się odzyskaną męskością i nie dbał o to, czy przypadkiem nie dręczę jego żony?

Kontakty damsko-męskie bardzo często przypominają spacer po polu minowym – pomyślałam z niezadowoleniem. Marshall był już w salonie i czekał na mnie. Przebrał się w strój treningowy – niebieskie spodnie i rudą koszulkę z logo Body Time.

Dziwiłam się, że mogę stać w korytarzu, patrzeć, jak Marshall rozciąga swoje boskie ciało, i czuć pożądanie. Nie odwrócił się ode mnie, gdy opowiedziałam mu o moich przejściach, mimo to co jakiś czas czułam potrzebę odsunięcia się od niego.

Dzisiaj był jeden z takich dni.

Do Body Time pojechaliśmy moim samochodem. Po drodze prawie nie rozmawialiśmy, lecz perspektywa robienia czegoś, co lubię, w towarzystwie kogoś, kogo lubię, sprawiła, że poczułam się bardziej odprężona.

Gdy weszliśmy do sali, Janet Shook ćwiczyła na bieżni. Wytrzeszczyła oczy.

Najwyraźniej dopiero teraz coś jej zaświtało w głowie. Pomachałam do niej przelotnie.

Marshall zamienił kilka słów z Derrickiem, który w jego zastępstwie otworzył siłownię, a potem zaplanowaliśmy trening. Ten dzień był przewidziany na ćwiczenia mięśni nóg. Nie przepadałam za nimi, ale w towarzystwie nie jest tak źle.

Marshall zakładał i zdejmował obciążenia, a potem mnie asekurował. Z radością odwzajemniłam tę przysługę.

Ludzie, którzy wcześniej tylko kiwali mi głową na powitanie, widząc, że jestem w towarzystwie Marshalla, podchodzili do nas, żeby zamienić kilka słów. Wiedzieli, kim jestem i jak mam na imię. Chociaż zadrapania na mojej twarzy przyciągnęły kilka ukradkowych spojrzeń, nikt nawet nie wspomniał o Norvelu.

Było mi miło, ale po wymianie powitań stwierdziłam, że nie mam nic do powiedzenia, więc tylko przysłuchiwałam się pogawędkom gości z Marshalllem. Odniosłam wrażenie, iż pełni on w Shakespearze funkcję biura wymiany informacji. Wszyscy, którzy go zagadywali, przekazywali mu najświeższe plotki i komentowali niedawne wydarzenia. Mimo mojej obecności czuli się bardzo swobodnie, co mnie trochę zdziwiło.

Już druga osoba z kolei wspomniała o tym, że mam w mieście reputację osoby zachowującej dyskrecję. Z jednej strony zdziwiłam się, iż ludzie w ogóle zawracają sobie mną głowę, powinnam jednak pamiętać, że w małych miasteczkach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Kiedy mimo klucia w boku skończyłam wyciskanie stu czterdziestu kilogramów, Brian Gruber, dyrektor działu w fabryce materacy, jednego z większych przedsiębiorstw w Shakespearze, podszedł do Marshalla i zaczął

mu coś szeptać do ucha. Właściciel Body Time słuchał, często kiwając głową z wyraźnym niezadowoleniem. Zrozumiałam, że sprawa jest poważna, więc zrobiłam dodatkową serię ćwiczeń, czekając, aż skończą. Przecież Marshall powiedział, że muszę popracować nad mięśniami ud.

Kiedy skończyłam, po prostu położyłam się i głęboko oddychałam ze zmęczenia.

Brian poszedł popracować nad bicepsami, podczas gdy Marshall dołożył sobie po dziesięć kilogramów na każdą nogę. Od razu zauważyłam, że coś go trapi. Gdy do niego podeszłam, nawet na mnie nie spojrział. Wzięłam ręcznik i zaczęłam wycierać czoło.

Niech sobie nie myśli. Nie chce mi powiedzieć, to nie. Pierwsza go nie zapytam.

Marshall usiadł na ławce i złączył stopy. Lekko nacisnął suwnicę, uwalniając obciążenie z zabezpieczeń, i jednocześnie odepchnął je na boki. Potem zacisnął zęby z wysiłku i zaczął swoją serię. Może chciał dodać mi otuchy – maksymalnie mogłam wycisnąć sto dwadzieścia, ale wiedziałam, że jego rekord jest dwa razy wyższy. Nie odzywając się, czekałam, aż skończy. Zabezpieczył suwnicę i ręką dał znak, żebym usiadła obok niego.

Wieści były złe.

– Brian usłyszał, jak Thea rozpowiada każdemu w kościele, że w sprawie podziału majątku nie pójdzie na żadne ustępstwa. Ale potwierdził też twoje słowa. Wczoraj wieczorem miała towarzystwo, co będzie dla niej okolicznością obciążającą w sądzie.

– Ty też miałeś towarzystwo.

Marshall znów się zachmurzył.

Wstałam i zakryłam twarz ręcznikiem, jakbym tonęła w pocie, chociaż w rzeczywistości dochodziłam do siebie. Musiałam znów przyjąć obojętny wyraz twarzy.

Poczułam przemożną ochotę, by zabrać torbę treningową i wyjść bez słowa, ale zachowałam się wtedy jak tchórz.

Odwróciłam się plecami do suwnicy i zwróciłam uwagę na leżącą na ławce treningowej ładną nastolatkę, która z radością pokazywała Bobo Winthropowi, jak ciężko jej podnieść dwa pięciokilogramowe ciężarki. Bobo wytrzeszczył oczy, gdy zauważył zadrapania na mojej twarzy. Bezgłośnie zapytał: „Okej?”, a ja odpowiedziałam skinieniem głowy. Wtedy poprosiła go o coś dziewczyna z hantlami. Spojrzałam w inną stronę, żeby nie czuł się zobowiązany podchodzić do mnie i dotrzymać mi towarzystwa.

Poczułam na ramionach czyjeś dłonie i wzdrygnęłam się jak koń próbujący pozbyć się muchy.

– Trudno, będę musiał poszukać sobie czegoś nowego – stwierdził Marshall spokojnie.

Zaczął zdejmować z suwnicy dziesięciokilogramowe ciężary.

– Zostaw je – poprosiłam.

Położyłam się na ławeczce, ułożyłam nogi, zwolniłam zabezpieczenia i zaczęłam wyciskać.

Udało mi się zrobić pięć powtórzeń, zanim zorientowałam się, że za chwilę bardzo rozboleją mnie mięśnie.

Na koniec zrobiliśmy oboje po trzy serie trzydziestu wypadów i wymachów nogami w sali do aerobiku. Kiedy po krótkim odpoczynku wstaliśmy, oznajmiłam mu to, czego moim zdaniem ode mnie oczekiwał.

– Myślę, że dopóki nie dostaniesz rozwodu, powinniśmy na jakiś czas przestać się widywać. Thea jest niezrównoważona, a na dodatek ma kłopoty w pracy i w domu. Nie ma sensu utrudniać jej życia, bo na dłuższą metę tylko ty na tym stracisz – na podziale majątku i w ogóle.

– Nie chcę, żeby jakaś zboczona kobieta dyrygowała moim życiem – oburzył się.

Mówił poważnie, lecz wyczułam w jego głosie coś w rodzaju ulgi. Nie mogłam go za to winić, bo sama też ciężko pracuję na to, co mam.

– Poza tym zostaje jeszcze sprawa z podrzucaniem tych rzeczy – po dłuższym milczeniu podjęłam wątek. – Nie chcę się bać, że za każdym razem, kiedy wychodzę z domu, ktoś położy mi na progu albo zostawi na samochodzie jakieś świństwo. Może jeżeli nie będziemy się widywać przez jakiś czas, ten ktoś da sobie spokój. Jeżeli to ta sama osoba, która chce postraszyć Theę, nie można wykluczyć, że poważnie się tobą interesuje. Jeżeli mnie nie będzie w pobliżu, może da ci znać, co czuje. Wtedy ty załatwisz sprawę, a ja będę się czuć bezpieczna.

– Nie wiem, co powiedzieć, Lily – mruknął Marshall. – Nie chciałbym cię stracić, bo wreszcie...

– Nigdzie się nie wybieram – zakończyłam i zerwałam się na równe nogi, nie zwracając uwagi na ukłucie bólu w boku. – Będziemy się widywać na treningach i na siłowni.

Wysłałam, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

W drodze do domu uświadomiłam sobie, że czuję coś, czego nie czułam od lat: rozczarowanie.

Gdy tylko skręciłam w moją ulicę, zauważyłam radiowóz zaparkowany przy krawężniku pod domem. O maskę opierał się Claude Friedrich, sprawiając wrażenie, że nigdzie mu się nie spieszy.

W mgnieniu oka zmieniłam plany i postanowiłam zrobić zakupy. Obejrzałam się, czy nikt za mną nie jedzie i zawróciłam na najbliższym podjeździe, zanim Friedrich zdążył mnie zobaczyć. Nie miałam teraz ochoty z nikim rozmawiać, a już najmniej ze zbyt spostrzegawczym policjantem.

Od lat nie byłam w sklepie bez listy. W niedzielę zwykle gotuję posiłki na cały tydzień, a moja mała lodówka zaczynała już świecić pustkami.

Ostatnim razem w supermarkecie Krogera robiłam zakupy dla siebie i dla Yorków przed ich powrotem do domu... Właśnie – nie zwrócili mi pieniędzy za zakupy ani nie zapłacili za środowowe sprzątanie. Widząc ich przygnębienie po rozprawie gwałciciela ich wnuczki, nie chciałam zawracać im głowy takimi drobiazgami, lecz skoro czuli się już na tyle dobrze, że wybrali się na spacer, czas wrócić do sprawy.

Właśnie próbowałam przypomnieć sobie wszystkie składniki mojej ulubionej zapiekanki z tortilla, gdy ktoś staranował mój wózek z zakupami. Rozejrzałam się wokół i zrozumiałam, że wzbierający we mnie gniew za chwilę znajdzie doskonałe ujście. Jego celem będzie młoda kobieta ubrana w skromną szmizjerkę i mokasyny.

Od razu poznałam Theę. Umyślnie mnie zaczepiła. Spojrzenie, które we mnie wbiła, miało zapewne wyrażać skruchę, lecz był w nim tylko wstręt.

Dawno nie widziałam jej z tak bliska. Była śliczna jak zawsze. Delikatna i drobna, przyszyła ekspansi Sedaka ma słodką owalną twarz okoloną doskonale uczesanymi, opadającymi na ramiona ciemnymi włosami. Zawsze czuję się przy niej jak niezgrabna dojarka przy pełnej wdzięku księżniczce. Nigdy nie miałam okazji się przekonać, czy to wynik świadomego działania Thei, czy też mojego przewrażliwienia.

Teraz, gdy wiedziałam już co nieco o jej charakterze, mogłam się przekonać, jak żona Marshalla osiąga ten efekt. Uniosła głowę znacznie wyżej, niż musiała, sprawiając, że poczułam się jeszcze wyższa, i pchnęła swój wózek, lekko marszcząc brwi, jakby nie mogła sobie poradzić z jego ciężarem.

Ciemnozieloną sukienkę Thei pokrywał dyskretny kwiatowy motyw w kolorze słodkiego rózu – nic krzykliwego. Pogardliwie wyduła wargi,

widząc mój strój treningowy.

Manewrując wózkiem, zrównała się ze mną w samym środku alejki z puszkowanymi warzywami. Widząc, jak wykrzywia wargi w jadowym uśmiechu, zorientowałam się, że powie coś, czym chce mnie urazić.

Postanowiłam ją uprzedzić.

Pochyliłam się i z najszerszym uśmiechem, na jaki było mnie stać, warknęłam: – Przejedź jeszcze raz pod moim domem, to każę Friedrichowi cię aresztować.

Wyraz twarzy Thei był wart wszystkich pieniędzy, lecz odgryzła się szybko.

– Marshall jest mój – zachnęła się, przypominając mi jako żywo przedstawienie z siódmej klasy szkoły podstawowej. – Polujesz na cudzych mężów. Za wszelką cenę chcesz rozbić szczęśliwe małżeństwo.

– Pudło – powiedziałam. – Lepiej powiedz Meicklejohnowi, żeby sobie znalazł inne miejsce parkingowe.

Po raz kolejny celnie trafiłam, lecz Thea wcale nie miała zamiaru się poddawać.

– Jeżeli to ty podrzucasz te okropieństwa do mojego domu – w tym miejscu udało jej się nawet rzeczywiście wycisnąć z oka małą łzę – proszę cię, przestań.

Wypowiedziała te słowa na tyle głośno, by usłyszała je staruszka, która nieopodal porównywała ceny puszkowanej zupy. Kobieta obrzuciła mnie pełnym zgrozy spojrzeniem.

– Jakie rzeczy? – zapytałam niewinnie. – Biedactwo, ktoś ci zostawia pod drzwiami jakieś okropieństwa? A co na to policja?

Thea poczerwieniała. Wiedziałam, że nie wezwała policji, bo Tom David Meicklejohn był już pod ręką.

– Wiesz co? – powiedziałam z udawanym niepokojem – jeżeli koło twojego domu kręci się ktoś podejrzany, poproś Claude’a Friedricha. Na pewno przyśle ci kogoś na całą noc.

Starsza pani skinęła głową z aprobatą i przeszła do kolejnego regalu, gdzie zajęła się porównywaniem cen różnych marek przecieru pomidorowego.

Pogratulowałam sobie w duchu refleksu i pomysłowości. Od dawna nikomu nie powiedziałam niczego tak przewrotnego.

Thea musiała się zadowolić cichym: „Jeszcze pożałujesz”. Wzburzona, z udawanym wysiłkiem pchała wózek ku ladzie z mięsem. Mistrzyni ciętej riposty.

Wyszłam ze sklepu z naręczem toreb. Gdy dotarłam do domu, poczułam, że odzyskuję spokój.

Komendant policji nadal na mnie czekał. Niech go szlag. Prawdopodobnie zaparkował samochód w swoim boksie za blokiem, a później wrócił piechotą. Wjechałam pod wiatę i otworzyłam bagażnik. Nikt mi nie zabroni wejść do własnego domu. Friedrich rozłożył ręce i zbliżył się wolnym krokiem.

– O co panu chodzi? – spytałam zaczepnie. – Dlaczego bez przerwy mnie pan nachodzi? Co ja takiego zrobiłam?

– Gdybym pani tak dobrze nie znał, pomyślałbym sobie, że nie jestem tu mile widziany – mruknął basem Friedrich. – Pani twarz wygląda o wiele lepiej. A jak żebra?

Otworzyłam kuchenne drzwi i zniosłam do środka torebkę i torbę treningową.

Wróciłam do samochodu po pierwsze dwie torby z zakupami. Friedrich bez słowa wziął dwie następne i poszedł za mną do kuchni.

W milczeniu ułożyłam puszkę w spiżarni, zapakowałam mięso do zamrażarki i do dwudrzwiowej lodówki włożyłam kartony z sokiem. Kiedy skończyłam, starannie poskładałam torby i schowałam pod zlewem w wyznaczonym miejscu. Usiadłam przy prostym drewnianym stole naprzeciwko Friedricha, który postąpił tak samo, nie czekając na zaproszenie.

– Czego pan chce? – spytałam.

– Proszę mi powiedzieć, co pani widziała tamtej nocy, kiedy zginął Pardon.

Nagle zainteresowałam się swoimi dłońmi, myśląc o całej sprawie. Dotąd milczałam, bo chciałam powstrzymać policję przed grzebaniem w mojej przeszłości. Lecz skoro Friedrich i tak już to zrobił, wykazując się przy okazji nadmiernym zaufaniem do podwładnych, wszystko wyszło na jaw. Nie stało się nic tak strasznego, jak się obawiałam. A może to ja się zmieniłam?

Gdyby tylko Claude Friedrich chciał wysłuchać, co mam mu do powiedzenia, i gdybym nie musiała znów iść na komisariat, mogłabym mu powiedzieć wszystko, co wiem. I tak nie było tego wiele.

Poza tym Marshall trochę mnie przestraszył, wspominając o losie „tych, którzy wiedzą za dużo”.

Friedrich czekał cierpliwie. Czułabym się o wiele pewniej w jego obecności, gdybym nie miała nic do ukrycia. Podświadomie liczyłam na jego aprobatę. Kąciki moich ust powędrowały w górę w zgryźliwym uśmiechu. Umiejętność tworzenia właściwej atmosfery niewątpliwie sprawiała, że Claude był tak dobrym policjantem.

– Opowiem panu, co widziałam, ale nie sądzę, żeby to coś zmieniło – zaczęłam, w mgnieniu oka podejmując decyzję. Spojrzałam mu w oczy i położyłam dłonie płasko na stole.

- Właśnie dlatego nie chciałam wcześniej o tym mówić.
- To pani telefonowała do mnie tamtej nocy?
- Tak, ja. Nie chciałam, żeby tam leżał w krzakach przez całą noc, ale najbardziej bałam się, że rano przypadkiem znajdą go dzieci.
- Dlaczego nie powiedziała mi pani wszystkiego od razu?
- Bo nie chciałam zwracać na siebie uwagi. Nie uznałam tego, co widziałam, za na tyle ważne, by ryzykować telefon do Memphis i wyjście na jaw historii o moich przejściach. Nie chciałam, żeby ludzie o tym plotkowali. Mimo to i tak wszystko się wydało. – Z tymi słowami spojrzałam na niego wymownie.
- To błąd, którego nie mogę pani w żaden sposób wynagrodzić – powiedział. – Nie powinienem był zostawiać tego raportu na biurku. Ale podejmuję kroki, żeby zminimalizować szkody.
- Tylko na takie przeprosiny mogłam liczyć. Poza tym co więcej mógł mi powiedzieć?
- Wzruszyłam ramionami. Złość na niego zaczynała mi przechodzić. Spodziewałam się, że pewnego dnia moja przeszłość i tak wejdzie mi w paradę.
- Widziałam, jak ktoś ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem wiózł zwłoki do arboretum – powiedziałam jednym tchem. – Nie wiem kto, ale jestem pewna, że to jeden z mieszkańców bloku. Musiał pan się tego domyślić, bo ciało Pardona tyle razy pojawiał się i zniknęło. Zniknęło, kiedy Tom O’Hagen płacił czynsz, i znów się pojawiło, gdy płaciła Deedra.
- W międzyczasie ktoś ukrył je w innym mieszkaniu, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego miałby je przenosić z miejsca na miejsce.
- Proszę o więcej szczegółów.
- Ciało okrywały dwa worki na śmieci, jeden od dołu, drugi od góry. Ktoś załadował je na mój wózek, na którym trzymam pojemniki na śmieci,

i przewiózł do parku. – Znów poczułam wściekłość, gdy przypomniałam sobie, że morderca użył mojego wózka.

– Gdzie są teraz te worki?

– Trafiły do spalarni śmieci.

– Dlaczego je pani zniszczyła?

– Były na nich moje odciski palców. Rozsunęłam je, żeby sprawdzić, co jest w środku, a potem czy ta osoba naprawdę nie żyje.

Friedrich rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Co znowu? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

– Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć wszystko od początku – powiedział swoim głębokim głosem.

Zaczęłam od spaceru. Brwi Friedricha powędrowały w górę, kiedy dotarło do niego, że dość często chodzę po mieście sama w środku nocy, ale nie odezwał się ani słowem, dopóki nie doszłam do końca.

– Niech pani mi zrobi przysługę, Lily – powiedział w końcu.

Uniosłam brwi i czekałam.

– Następnym razem proszę najpierw zadzwonić do mnie.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że żartuje, i uśmiechnęłam się. Odwzajemnił się szczerym, przyjaznym uśmiechem. Czułam emanujące z niego ciepło i cieszyłam się, jak każdy podejrzan, który właśnie się przyznał. Dlaczego nie? – pomyślałam, besztając się za to, że zachowałam się jak bałwan. Myślałam, że teraz sobie pójdzie, ale został, siedząc przy moim pustym stole kuchennym. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– No tak – odezwał się wreszcie. – Mniej więcej w tym samym czasie mamy morderstwo Pardona Albee, a Lily Bard i Thei Sedace ktoś podrzuca dziwne prezenty.

Oficjalnie Thea nigdy nas nie wzywała. Ale Tom David opowiedział Dolphowi o kilku sprawach, o których ten mi zameldował. Lubię wiedzieć, co się dzieje w moim mieście.

Trochę to dziwne, że tyle niezwykłych rzeczy zdarza się w tym samym miejscu, nie sądzi pani?

Skinęłam głową, chociaż miałam własne zdanie na temat „dziwnych prezentów”.

Starając się nie uronić ani słowa z jego opowieści, wzięłam deskę do krojenia, nóż i paczkę piersi kurczaka. Zaczęłam obierać je ze skóry i usuwać kości.

– Yorkowie wyjechali w poniedziałek i wrócili późnym wieczorem – myślał głośno Claude.

Przygotowywałam mięso i słuchałam.

– Pani Hofstettler przez cały czas była w domu, lecz ma słaby słuch, a niekiedy zupełnie się nie rusza. Jenny była zajęta, a Tom O’Hagen spał. Gdy się obudził, wybrał się do klubu za miastem na partyjkę golfa. Po powrocie poszedł na górę i zapłacił za milczenie Norvelowi, który tamtego dnia zwolnił się z pracy, bo był „chory”. Potem Tom zszedł na dół, a w tym samym czasie pani otwierała mieszkanie Yorków. Kiedy zastał otwarte drzwi do mieszkania Pardona, nie było tam ciała, ale w pokoju panował dziwny nieporządek. Półtorej godziny później z pracy wróciła Deedra, wzięła czek od matki i poszła zapłacić czynsz. A wędrujące ciało Pardona znów znalazło się na tapczanie, lecz ułożone tak naturalnie, że Deedra uznała, iż śpi.

– Kiedy płacili czynsz inni mieszkańcy? – spytałam przez ramię, myjąc ręce nad zlewem.

Uznałam tę godzinę szczerości za coś bardzo dziwnego, ale w zasadzie nie miałam nic przeciwko temu.

– Po drodze na komisariat wsunąłem mu czek pod drzwi – odparł Friedrich. – Za Norvela czynsz płaci kościół. McCorkindale powiedział mi, że sekretarz wysłała Pardonowi czek. Marcus Jefferson też wsunął swój czek pod drzwi Pardona, kiedy wychodził do pracy.

Pardon musiał być w banku po jego otwarciu, bo kiedy do nich telefonowałem, czeki Marcusa, mój i pani Hofstettler zdążyły już wpłynąć na jego konto.

– A ten, który wysłał kościół?

– Trafił do skrzynki Pardona dopiero dzień po jego śmierci.

Odwróciłam się do Friedricha i powiedziałam, że to w stylu Pardona pójść do kościoła albo do Norvela i upominać się o pieniądze.

– Norvel utrzymuje, że Pardona u niego nie było – powiedział policjant, a ja wróciłam do pracy.

Nasza rozmowa wydała mi się coraz dziwniejsza.

– Tylko że on kłamie – stwierdziłam.

– Jak to?

– W poniedziałek Pardon sam odkurzał. Pamięta pan, jak starannie zwinięty był kabel? Więc musiał wcześniej pójść do Norvela, żeby sprawdzić, co się dzieje. W poniedziałek Norvel zaczyna później pracę w kościele, bo ma sprzątać w bloku. Z tego tytułu kościół płaci niższy czynsz.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, Claude Friedrich wyglądał na zaskoczonego.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Jeżeli sprawa dotyczy sprzątanania, po prostu wiem. Pardon wyjaśnił mi kiedyś, dlaczego zatrudni w budynku Norvela zamiast mnie.

Jak zwykle Pardon chciał tylko zamienić ze mną parę słów. Nie miałam oporów przed rezygnacją ze słabo płatnej i nudnej pracy pod jego stałym nadzorem.

Claude (jak teraz o nim myślałam) przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zanim podjął na nowo opowieść o feralnym poniedziałku.

– Tamtego rana Pardon zatrzymał się u pani Hofstettler, odebrał od niej czek, a potem poszedł do banku z trzema czekami.

Przygotowałam marynatę i wrzuciłam do miski pokrojone na paski filety. Dzisiaj wieczorem miałam ochotę na podsmażanego kurczaka po chińsku. Zaczęłam również dusić na patelni mięso na potrawkę, jednocześnie obierając ziemniaki, marchewkę i cebulę, które miałam wrzucić za chwilę do garnka. Zamieszałam sos do przygotowywanej równocześnie zapiekanki po meksykańsku. Zostały mi resztki mielonego mięsa, więc wrzuciłam je do sosu, dodałam pokrojonego pomidora, a na koniec wkruszyłam trzy gotowe placki tortilli. Podałam Claude’owi tarkę i ser. Posłusznie zabrał się do pracy.

– Ile? – zapytał.

– Filizankę – powiedziałam, kładąc przed nim naczynie. – Przerwałam panu.

– Kilka razy rozmawiał też przez telefon – kontynuował Claude. – Telefonował do fabryki, w której pracuje Marcus. Niestety, nie wiemy, z kim rozmawiał. Oczywiście może to zupełnie nie mieć związku z Marcusem. Pracuje tam przynajmniej dwieście osób. Około jedenastej zatelefonował do kogoś w wiejskiej części hrabstwa Creek – do kumpla, z którym był na roku na uniwersytecie, ale gość wyjechał w podróż służbową do Oklahoma City i nie mieliśmy jeszcze możliwości skontaktować się z nim.

Wszystkie składniki potrawki postawiłam na małym palniku i wyjęłam woka. Gdy się podgrzewał, przełożyłam zapiekankę, warstwami, posypując ją startym serem i włożyłam do zamrażarki. W tle rozbrzmiewał miły głos Claude’a, który skojarzył mi się z nagraniem znanej książki.

Z chińszczyzny będą dwie porcje – pomyślałam – a potrawkę podzielę przynajmniej na trzy. Raz zjem na kolację pieczone ziemniaki z warzywami, a na koniec zostanie mi zapiekanka po meksykańsku i sałatka.

Po włożeniu ryżu do kuchenki mikrofalowej zaczęłam podsmażać kurczaka z warzywami w woku. Prawie nie zauważyłam, że Claude zamilkł. Mieszałam szybko, zadowolona z tego, co robię. Lubię gotować i robię to dobrze. Ryż, mięso i warzywa były gotowe prawie jednocześnie. Wtedy pojawił się pewien mały dylemat.

Zawahałam się przez chwilę, gdyż wspólne spożywanie posiłków stanowiło kolejne naruszenie mojego wzorcowego planu dnia. Wyjęłam z szafki dwa talerze i nałożyłam na nie potrawkę. Jeden z nich położyłam przed policjantem wraz z widelcem, serwetką i szklanką herbaty. Potem obsłużyłam siebie. Pod ręką położyłam sos sojowy, sól i pieprz. Wreszcie usiadłam. Skinęłam krótko głową na znak, że wszystko gotowe, a on wziął widelec i zaczął jeść.

Wbiłam wzrok w talerz. Kiedy znów spojrzałam przed siebie, skończył jeść i starannie wycierał usta serwetką, upewniając się, czy ma czyste wąsy.

– Bardzo smaczne – powiedział.

Wzruszyłam ramionami, po czym zorientowałam się, że nie najszcześliwiej dobrałam odpowiedź na komplement. Zmusiłam się do tego, by spojrzeć mu w oczy.

– Dziękuję – wykrztusiłam. Wieloletni brak kontaktów towarzyskich nigdy nie doskwierał mi bardziej. – Może dokładkę? – zaproponowałam.

– Nie, dziękuję. Porcja była ogromna – odpowiedział uprzejmie. – Pani też skończyła?

Skinęłam głową zaintrygowana. Chwilę później dowiedziałam się, dlaczego pytał.

Sięgnął po mój talerz, widelec i podszedł do zlewozmywaka. Odkręcił kurki, znalazł płyn do mycia naczyń i zajął się wszystkimi po kolei naczyniami stojącymi na kuchennym blacie.

Przez jakiś czas siedziałam przy stole z rozdziawionymi ustami. Wreszcie otrząsnęłam się z oszołomienia. Wstałam i uprzątnęłam resztki. Z wahaniem położyłam pusty wok przy zlewie. Czystą szmatką przetarłam stół i blaty, a kiedy skończył zmywać, zamiotłam podłogę.

Potem, nie wiedząc, co jeszcze zrobić, wytarłam naczynia, które położyłam na ociekaczu, i odłożyłam je na miejsce.

Gdy skończyliśmy się krzątać, zanim zdążyłam się na dobre zaniepokoić, co będzie dalej, Claude podał mi na pożegnanie ogromną dłoń i powiedział: – Bardzo sobie cenię dobrą kuchnię. Własnej mam już po dziurki w nosie.

Z tymi słowami skierował się do wyjścia.

Poszłam za nim, tak jak powinna postąpić uprzejma gospodyni, lecz w odruchu obronnym zaplotłam ręce na piersiach.

– Do widzenia – wykrztusiłam, czując, że powinnam coś dodać.

Niestety nic nie przychodziło mi do głowy. Zupełnie niespodziewanie uśmiechnął się do mnie i zrozumiałam, że nie znałam go od tej strony. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, kąciki ust powędrowały ku górze, a popielate oczy nagle zrobiły się skośne, gdy dotarł do nich uśmiech.

– Dobranoc – powiedział donośnym głosem.

Z podjazdu skręcił na chodnik, a potem skierował się ku blokowi. Nie obejrzał się za siebie.

Machinalnie zamknęłam drzwi na klucz i przed pójściem spać jeszcze raz sprawdziłam, czy w kuchni panuje nieskazitelny porządek. W łazience uśmiechnęło się do mnie odbicie z lustra. Przyłapałam się na tym, że myślę, jak Claude Friedrich radzi sobie w łóżku, i pokręciłam głową.

– Schodzisz na psy, Lily – powiedziałam do lustra.

Jednak z tej perspektywy moja twarz wyglądała na dość zadowoloną.

ROZDZIAŁ 10

Telefon zadzwonił, gdy nakładałam makijaż. Westchnęłam z irytacją. Miałam nadzieję, że wraz z rozpoczęciem nowego tygodnia pracy moje życie wróci w dobrze znane, utarte koleiny.

– Słucham – powiedziałam szorstko.

– Lily? – spytał dość znajomy głos.

– Tak.

– Mówi Alva York. T.L. i ja przypomniałiśmy sobie wczoraj, że nie oddaliśmy ci pieniędzy.

– Mogę do państwa wpaść dzisiaj o wpół do jedenastej.

O tej porze na pewno już skończę sprzątać u pierwszego klienta.

– Będziemy czekać.

Sprawdzając zestaw do sprzątania i pakując go do samochodu, zastanawiałam się, czy powinnam zagadnąć Yorków o ich wnuczkę, czy też starać się omijać ten temat. Osobiście bardziej mi odpowiadało to drugie. Czas wrócić do starego, znajomego dystansu.

Podczas dwugodzinnego sprzątania u państwa Althaus (bardziej przydałoby się pięć godzin, ale nie wytrzymałby tego budżet moich zleceniodawców) myślałam o mieszkańcach bloku. Jeden z nich zamordował Pardona Albee, którego nieco irytująca postać zaczynała się już zacierać w mojej pamięci. Przy wszystkich jego drobnych wadach – wtykaniu nosa w nie swoje sprawy i determinacji w kolekcjonowaniu plotek – nie zasłużył na to, co go spotkało.

Zeskrobując zaschniętą gumę do żucia przylepioną do kuchennego linoleum przez jedno z wielu Althausiątek, myślałam o gwałtownej śmierci Pardona i braku szacunku dla jego ciała.

Myśl o tym, gdzie je ukrywano podczas intrygujących wędrówek z miejsca na miejsce, nie dawała mi spokoju.

Po pierwsze, mogło znajdować się w głębi jego własnego mieszkania. Jednak Claude, który poprzedniego wieczora rozmawiał ze mną tak otwarcie, powiedziałby mi o tym, gdyby policja znalazła jakieś ślady przemawiające za tą hipotezą. A więc to miejsce odpada. Nie było go także w pomieszczeniu gospodarczym pod schodami. Najwyraźniej tylko Pardon i ja mieliśmy do niego klucze, a morderca raczej się tam nie dostał, bo w środku panował zbyt duży porządek.

W takim razie zostawały inne mieszkania. A może powinnam też uwzględnić garaże?

Miałam wrażenie, że gdzieś w mojej głowie błąka się brakujący fragment układanki. Gdyby tylko udało mi się przypomnieć sobie coś, co powiedział mi jeden z mieszkańców bloku, coś, na co wtedy nie zwróciłam uwagi... Ale mój Boże, z tyloma ludźmi ostatnio rozmawiałam.

Nic dziwnego, że zapomniałam. Gdy tylko przestanę się na tym skupiać, z pewnością sobie przypomnę. Wróciłam myślą do miejsc, w których sprawca zbrodni mógł ukryć ciało Pardona.

Bez wątplenia mogłam wyeliminować mieszkania pani Hofstettler i Claude'a. Mimo trapiących ją dolegliwości Marie Hofstettler nie mogła nie zauważyć ciała – musiałaby być zupełnie niedołączna. A Claude... Claude po prostu nie zabił Pardona. Nie wiedziałam, na jakiej podstawie tak sądzę, lecz byłam tego pewna. Yorkowie byli poza miastem aż do wieczora. Zostali więc O'Hagenowie – co oznaczało Toma, bo Jenny była w pracy – oraz Deedre Dean, Norvela Whitbreada i Marcusa Jeffersona.

Gdy włączyłam do kontaktu wtyczkę starożytnego odkurzacza Alhausów, pomyślałam o Tomie O'Hagenie. A jeżeli Tom kłamał, mówiąc, że salon w mieszkaniu Pardona był pusty? A jeżeli ciało Pardona

rzeczywiście leżało na tapczanie, jak powiedziała Deedra, tylko że o godzinę wcześniej?

Próbowałam przeanalizować tę możliwość ze wszystkich stron, ale po jakimś czasie stwierdziłam, że to droga donikąd. Po prostu nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego Tom O'Hagen miałby kłamać w tej sprawie. Co mu szkodziło zeznać, że Pardon sprawiał wrażenie śpiącego, jak to zrobiła Deedra? Mógł powiedzieć, że wszystko wyglądało normalnie, więc przyjął, że gospodarz wyszedł z mieszkania albo do łazienki. Tom jednak upierał się, że łóżko było przesunięte, dywan pozwijany, jakby w pokoju rozegrały się jakieś dramatyczne wydarzenia.

Wreszcie z niechęcią skreśliłam Toma O'Hagena. Kolejną osobą na liście podejrzanych był Marcus Jefferson. Z pewnością wystarczyłoby mu sił, by przenieść ciało Pardona. Oprócz tego miał z nim na pieńku. Uwielbiał swojego syna, a regulamin Apartamentów Ogrodowych uniemożliwiał przyprawianie dzieci do domu. Jednak moim zdaniem Marcus Jefferson nie miał wystarczająco silnego motywu. Mogłabym sobie wyobrazić coś takiego tylko wtedy, gdyby Albee w jakiś sposób sprowokował Marcusa, na przykład gdyby mu zagroził, że powie jego byłej żonie o romansie z białą kobietą. Czy wtedy utrudniałaby mu kontakty z dzieckiem? Z drugiej strony, czy w dzisiejszych czasach takie rzeczy kogokolwiek obchodzą? Co prawda w dniu swojej śmierci Pardon telefonował do pracy Marcusa. W tym samym czasie jednak w fabryce oprócz niego pracowało ponad dwieście osób, a wśród nich, jak sobie przypominałam, Jerrell Knopp – ojczym Deedry Dean, którego znałam jako prawego, uprzejmego, dobrodusznego bigota. On z pewnością mógł gwałtownie zareagować na doniesienie o związku swojej pasierbicy z czarnoskórym mężczyzną.

Szkopuł w tym, że Jerrell, gdyby miał kogoś zabić, to nie Pardona, lecz raczej Marcusa. Poza tym ten ostatni pracował od ósmej do piątej, a zabójstwo prawie na pewno nastąpiło tuż przed piątą. Nie można wykluczyć, że popełnił zbrodnię podczas przerwy obiadowej. Niestety, jeżeli ktokolwiek widział lub słyszał Pardona między godzinami jedenastą, kiedy przez telefon rozmawiał z kolegą, a trzecią, gdy zapukał do niego Tom, nie wiedziałam o tym.

Przyszedł czas na Deedrę. Była w pracy mniej więcej do wpół do piątej. Zwolniła się wcześniej, żeby dostarczyć Pardonowi czek. Wszyscy mieszkańcy Apartamentów Ogrodowych wiedzieli, że miał bzika na punkcie punktualności. Dlaczego już o trzeciej w jego mieszkaniu miał więc panować nieporządek, skoro Deedra zabiła go później?

Spróbowałam sobie wyobrazić rozjuszoną Deedrę, jak podnosi coś ciężkiego i zadaje właścicielowi bloku śmiertelny cios. Tylko czym? Przy drzwiach do mieszkania nie było nic, co mogłoby jej posłużyć za narzędzie zbrodni, a Pardon nie był chyba na tyle głupi, żeby rozmawiać z młodą kobietą trzymającą pogrzebacz w dłoni. Co ważniejsze, o ile znałam Deedrę, w trudnej sytuacji wolałaby raczej użyć swoich wdzięków niż przemocy.

Westchnęłam i ją też skreśliłam z listy.

Przyszedł czas na mało rozgarniętego pechowca – Norvela. Miałam nadzieję, że samotnie gnił w więzieniu, które było tak stare i zrujnowane, że miasto zastanawiało się, kiedy, a nie czy zbudować nowe. Z pewnością Norvel był na tyle głupi, by popełnić zbrodnię w chwili, gdy w budynku panował duży ruch. Mógł spanikować i próbować ukrywać ciało w różnych miejscach. Przekonałam się też na własnej skórze, że wściekłość niekiedy odbiera mu rozum.

Ale chociaż myślałam o różnych rzeczach podczas opróżniania koszy na śmieci w pokojach, nie przychodziło mi do głowy nic, czym Pardon mógł szantażować Norvela, a co mogło go sprowokować do aż takiego wybuchu wściekłości. Poza tym po latach picia Norvel podupadł na zdrowiu, marnie się odżywił i unikał ciężkiej pracy. Śmiertelny cios zadał ktoś silny i bardzo wzburzony. Nie mogłam całkowicie wykluczyć Norvela, ale jego wina wymagałaby spełnienia tak wielu dodatkowych warunków, że byłam skłonna w nią wątpić.

Gdy wynosiłam worki ze śmieciami do plastikowych pojemników, wrzucałam je do środka i zamykałam wieka, żeby nie rozgrzebały ich bezpieczeństwa psy lub szopy, cieszyłam się, że wybrałam sprzątanie domów jako sposób na utrzymanie, a nie zostałam prywatnym detektywem. To morderstwo – myślałam, robiąc przerwę na rozciągnięcie mięśni grzbietu – było zbrodnią w afekcie, lecz nie miałam zielonego pojęcia, kto mógł znaleźć się w takim stanie.

W swoim życiu pełnym podpatrywania, wścibstwa i plotkarstwa Pardon wreszcie powiedział coś, czego nie mogła znieść jedna ze słuchających go osób.

Osoba ta zadała mu dwa ciosy. Drugi zamknął mu usta na zawsze.

Przekręciłam klucz w drzwiach domu Althausów, czując satysfakcję, że chociaż na chwilę uporałam się z chaosem. Nie potrafiłam odgadnąć tożsamości mordercy Pardona Albee, lecz potrafiłam zamieniać chaos w porządek.

Muszę przyznać, że u Althausów bardziej przykładałam się do pracy niż u wszystkich innych klientów. Carol budzi moje współczucie, a to niełatwe. Jest miłą, niezbyt urodziwą i niezbyt rozgarniętą kobietą, która ma na głowie rodzinę złożoną z dwojga własnych i dwójki dzieci jej męża. Ciężko pracuje na niskopłatnym stanowisku, wraca do domu, gdzie stara się

nakarmić i rozwieźć na zajęcia czwórkę dzieci w wieku poniżej dziesięciu lat. Co jakiś czas odbiera telefon od męża, którego praca polega głównie na podróżowaniu po kraju. Często wyobrażam sobie Jaya Althausa w cichym motelowym pokoju, leżącego na łóżku zasłanym czystą pościelą, z pilotem do telewizora w dłoni, i porównuję jego życie z życiem Carol.

Od wpół do jedenastej przyszedł czas na półtoragodzinną przerwę. W południe zaczynałam pracę w kancelarii adwokackiej, która właśnie wtedy miała przerwę obiadową.

Co tydzień załatwiam wtedy różne sprawy i płacę rachunki. Pierwszą rzeczą na mojej dzisiejszej liście było odebranie pieniędzy, jakie byli mi winni Yorkowie. Po drodze do miasta po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Jay Althaus może rozpaczliwie tęsknić za żoną i dziećmi każdej nocy, którą spędza w podróży.

Nie, chyba raczej nie.

Zamiast parkować przy zbyt wąskiej ulicy, pojechałam za blok. Wiedziałam, że o tej porze w dzień roboczy znajdę tam dużo wolnych miejsc.

Ponieważ kiedyś przyszło mi do głowy, że ciało Pardona mogło przez jakiś czas przebywać w jednym z garaży, postanowiłam sprawdzić tę hipotezę. Zaparkowałam na miejscu postojowym Norvela – numer mieszkania znajduje się nad każdym z miejsc bardzo przypominających boksy dla koni przy dużym torze wyścigowym – i zaczęłam się uważnie przyglądać pomalowanej na biało konstrukcji z drewna.

Garaż, który nigdy nie zaliczał się do cudów świata, pusty nie wyglądał najlepiej.

Ponieważ w Apartamentach Ogrodowych nie ma piwnic – jak to zwykle w Arkansas – wszyscy mieszkańcy używają swoich boksów jako

pomieszczenia gospodarczego do przechowywania najróżniejszych drobiazgów.

Zaczynając od lewej strony, lukę między pierwszym boksem a ogrodzeniem otaczającym blok zapełniał kontrowersyjny kamper Yorków. Pierwszy boks należał do Norvela, który nie ma samochodu, ale w pomieszczeniu trzyma różne rzeczy – zauważyłam pęknięte lustro oprawione w ramy i zestaw narzędzi do obsługi kominka; pewnie znalazł je gdzieś na śmietniku i miał zamiar sprzedać. W kącie garażu Marcusa dostrzegłam drewnianą paczkę, z której sterczał gruby czerwony plastikowy kij do bejsbola i mały kosz z tablicą do koszykówki. Claude Friedrich wstawił do swojego boksu metalowy regał, na którym trzymał jakieś części samochodowe i narzędzia. W boksie Deedry zauważyłam złożony namiot i parę zabłoconych gumiaków. Zawsze uważałam, że biwakowanie pod gołym niebem do niej nie pasuje. Oczywiście nie chodzi mi o czas spędzany samotnie. Intrygowało mnie, że kobieta jej pokroju co jakiś czas potrafi zrezygnować z papilotów.

W boksach mieszkańców piętra nie znalazłam żadnych skarbów. Marie ma samochód, którym czasami ją wożę, ale poza nim niczego nie zauważyłam. Yorkowie, podobnie jak Claude, mają regał, ale prawie pusty. Odniosłam wrażenie, że Alva co jakiś czas go odkurza – to zupełnie w jej stylu. Pod tylną ścianą boksu O'Hagenów stały dwa drogie rowery przykryte brezentem. W boksie właściciela bloku zauważyłam tylko samochód i kosiarkę do trawy.

Patrząc na nie, poczułam smutek. Jest coś przygnębiającego w oglądaniu rzeczy należących do zmarłej osoby, bez względu na to, jak bardzo są anonimowe. A już kosiarka do trawy z pewnością nie należy do rzeczy osobistych.

Staranna wizja lokalna nie powiedziała mi zupełnie nic. W garażach z zewnątrz widać wszystko, więc trudno przypuszczać, by właśnie w jednym z nich ktoś schował ciało Pardona.

A może w boksie pani Hofstettler między samochodem i ścianą? Albo w tym samym miejscu w garażu właściciela bloku? Zabójca mógł przypuszczać, że tylko tych dwóch samochodów nikt nie będzie ruszał. Nieśmiało sprawdziłam oba pomieszczenia. Ani jednej plamy, ani śladu nitek odprutych z zielono-pomarańczowej koszuli.

W kamperze ciało z pewnością by się zmieściło, lecz w chwili śmierci Pardona Yorkowie znajdowali się jeszcze w drodze do domu.

Nadszedł czas, by odebrać pieniądze od tych uczciwych ludzi. Skręciłam w stronę budynku i przeżyłam nieprzyjemne zaskoczenie. W drzwiach stał Norvel Whitbread.

– Jak wyszedłeś? – spytałam.

– Kościół wpłacił za mnie kaucję.

Rozciągnął usta w ironicznym uśmiechu, co zawsze wywołuje u mnie odruch wymiotny ze względu na niekompletność jego uzębienia. Kto wie, może sama wybiłam mu część z nich? Miałam nadzieję, że tak. Na jego spuchniętym nosie można było zobaczyć prawie wszystkie kolory tęczy.

– Zejdź mi z drogi – powiedziałam.

– Nie muszę. Jestem u siebie, a ty nie.

Jak zdążyłam wyczuć i zauważyć, Norvel nie marnował czasu i pocieszał się jak mógł po przeżyciach kilkunastu ostatnich godzin.

– Tym razem policja nie przyjedzie, a ja nie przestanę – zagroziłam.

Po wyrazie jego twarzy poznałam, że postanowił się usunąć, lecz zanim zdążył zrobić choć krok, silne pchnięcie z tyłu sprawiło, że zataczając się, wyleciał na zewnątrz. Udało mu się jednak utrzymać na nogach.

W drzwiach pojawił się T.L. z zaciśniętymi ustami.

– Ty śmieciu – wycedził z pogardą do Norvela, który odwrócił się, żeby zobaczyć, kto tak niespodziewanie go zaatakował. – Jeżeli następny właściciel cię stąd nie wyrzuci, to na pewno nie dlatego, że się nie starałem. Zostaw tę kobietę w spokoju i zejź mi z oczu.

T.L. mówił zupełnie szczerze i najwyraźniej jego słowa wywarły silne wrażenie na Norvelu, mimo że był pijany. Spojrzał na nas spode łba, lecz nie ociągał się. Odwrócił się na pięcie i zniknął.

Teraz musiałam podziękować T.L., na co nie miałam szczególnej ochoty.

– Wygląda na to, że chciałaś mu jeszcze dołożyć – powiedział starszy mężczyzna z uśmiechem, który przypomniiał mi dawne czasy. – Ale nie mogę siedzieć cicho, kiedy słyszę takie rzeczy. Poza tym tymczasowo pełnię obowiązki administratora. Prawnik Pardona prosił mnie, żebym wieczorem zamykał drzwi na klucz.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam wreszcie.

– Wybierasz się do nas? Alva mówiła mi, że wpadniesz.

– Tak.

– W takim razie zapraszam do środka.

Drzwi do mieszkania Yorków były otwarte. Nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam okiem na wejście do mieszkania Pardona, nadal zabezpieczone taśmą policyjną. Poszłam za T.L. do salonu, w którym Alva wyszywała ściegiem krzyżykowym coś w kolorze niebieskim i różowym.

Odniosłam wrażenie, że o ile T.L. powoli odzyskuje równowagę ducha, o tyle jego żona zdecydowanie nie. Ze ściśniętym sercem patrzyłam na jej pomarszczoną twarz, o wiele starszą niż przed tygodniem. Z trudem wstała i powłócząc nogami, poszła po pieniądze.

– Chce pani, żebyśmy razem dokończyły sprzątanie? – zapytałam.

Nie wiedziałam, o co ją zagadnąć, lecz wyglądała na tak przygnębioną, że za wszelką cenę chciałam przerwać milczenie.

– Już prawie skończyłam – odparła apatycznie.

Jedno szybkie spojrzenie powiedziało mi, że zasłon nadal nie zawieszono, a wentylator pod sufitem nad ich małym stolikiem w jadalni nie był odkurzany.

T.L. ułożył się w swoim ulubionym skórzanym fotelu. W dużej kieszeni przy podłokietniku znajdował się pilot do telewizora, program telewizyjny i ilustrowany magazyn sportowy. Otworzył ten ostatni, lecz odniosłam wrażenie, że tak naprawdę nie czyta.

– Harley Don Murrell się zabił – zakomunikowała Alva, wręczając mi pieniądze.

– Och – powiedziałam ze zdziwieniem. – To znaczy... – głos uwiązł mi w gardle.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy. Dobrze – bo zły człowiek nie żyje? Źle – bo nie miał czasu w pełni przerazić się tym, co oznacza odsiadywać wyrok więzienia? Ulga – bo ich wnuczka nie musiała już więcej obawiać się dnia, w którym jej prześladowca wyjdzie na zwolnienie warunkowe?

– Jak to się stało? – spytałam szybko, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Był na trzecim piętrze. Przeskoczył przez barierkę i wylądował na głowie.

Alva wbiła wzrok w moją twarz, ale pomyślałam sobie, że patrzy na mnie tak samo jak T.L. na swoją gazetę – nie widząc mnie naprawdę.

– Szybko poszło – powiedziałam prawie bez zastanowienia. – Do zobaczenia wkrótce.

Gdy tylko wyszłam na korytarz, usłyszałam trzask zamykanych drzwi i szcęk zamka.

Ta krótka wymiana zdań wyprowadziła mnie z równowagi. Zastanawiałam się, co teraz poczną Yorkowie.

Poszłam do kancelarii i zabrałam się do pracy, ale byłam do tego stopnia pogrążona w myślach, że zupełnie nie pamiętałam, co robiłam. Ocknęłam się dopiero wtedy, gdy nadszedł czas pożegnać się z sekretarką przy wyjściu. Teraz czekał mnie krótki wyjazd za miasto do pani Rossiter. A niech to, zapomniałam o zatyczkach do uszu.

Dzisiaj, tak jak co dwa tygodnie, wypadał dzień kąpieli Durwooda. Durwood to stary cocker–spaniel należący do pani Rossiter, która lubi, by ładnie pachniał, co skazuje ją na ciągłą walkę z naturą. Gdy pokłóciła się z miejscowym weterynarzem, pojawił się kłopot, bo jej pupil źle znosi jazdę samochodem, więc nie mogła go wozić do Montrose. Przedstawiła swój problem na spotkaniu w kościele i pani Hofstettler – niech ją Bóg błogosławi – podsunęła jej myśl, że Lily Bard z pewnością nie odmówi pomocy.

Durwood nie jest złym psem, lecz kąpanie go to trudna praca, wycieranie – jeszcze gorsza, nie wspominając o sprzątaniu łazienki. Jednak gdy stanęłam pod drzwiami domu pani Rossiter z gumowym fartuchem pod pachą, po raz chyba dwudziesty pomyślałam, że najgorszą rzeczą ze wszystkich jest to, iż pani Rossiter zawsze uważa moje wizyty za sposobność do wygłaszania niekończących się monologów. Mnie przypada niewdzięczna rola słuchacza. Próbowałam zrobić wszystko, co w mojej znowu nie tak ograniczonej mocy, by umilkła. Bez powodzenia. Na domiar złego zapomniałam zatyczek do uszu.

Słowotok pani Rossiter rozpoczął się, gdy tylko otworzyła drzwi. Powiedziała, że zostałam pobita przez tego pijaczynę Norvela Whitbreada, a w kościele chodzą słuchy, że to dlatego, iż rozgniewałam go w kościele,

choć nie wyjaśniła, dlaczego ten incydent miałby mu dawać prawo do ukrycia się w moim ogrodzie i użycia wobec mnie przemocy.

Gdy napełniałam wodą wannę w łazience dla gości, położyłam w zasięgu ręki szampon i wciągnęłam gumowe rękawice, dodała, że mieszkam w pobliżu Pardona Albee, którego zamordowano tydzień temu, i słyszała, iż spotykam się z muskularnym młodym mężczyzną, właścicielem klubu fitnessu. Zapytała, czy wiem, że jest mężem tej uroczej dziewczyny, która pracuje w przykościelnym przedszkolu. Opowiedziała mi też o podrzuconym szczurze na kuchennym stole Thei i o brzydkim słowie napisanym sprayem na drzwiach.

Zdziwiłam się, bo nie wspomniała o pewnym incydencie z udziałem moim i członków gangu motocyklowego, jaki miał miejsce kilka lat temu w pobliżu Memphis.

Do tego czasu zdążyłam już zacząć mydlić drżącego Durwooda. Pozwalając słowom pani Rossiter spływać po mnie jak woda, delikatnie wcierałam szampon w psią sierść aż do powstania piany, zastanawiając się nad przyczyną pominięcia przez nią tak ważnego szczegółu.

Dotychczas nikt – nikt, oprócz pracowników komisariatu policji w Shakespeare – nie napomknął w mojej obecności o wydarzeniach w Memphis ani nawet nie sprawiał wrażenia, że cokolwiek na ten temat wie. Po prostu nie mogłam uwierzyć, iż Tom David Meicklejohn nie chciał podzielić się sensacyjnymi szczegółami tej sprawy ze swoimi kompanami od kieliszka. A może zachowuje dla Thei co bardziej krwawe szczegóły na później?

Zastanawiałam się nad tym, podczas gdy pani Rossiter siedziała na zamkniętym sedesie, by nie uronić ani minuty z mojego milczącego towarzystwa, i po omówieniu wszystkich możliwych plotek przeszła do

analizy własnego ciśnienia krwi, która zawsze zaliczała się do najważniejszych punktów porządku dnia.

Przerwałam jej dwa razy – najpierw prosząc o włączenie elektrycznego promiennika na suficie, żeby pies szybciej wysechł, a potem o podanie ręcznika, który spadł z wieszaka.

Gdy osuszyłam Durwooda, dumnie udał się ze swoją właścicielką do kuchni, gdzie czekała na niego nagroda – psi przysmak. A mnie przyszedł do głowy jedyny możliwy powód, dla którego policjanci w Shakespeare nie puścili już więcej pary z ust: Claude zagroził im zwolnieniem ze służby. A więc to miał na myśli, wspominając, że podjął kroki w celu naprawienia spowodowanej przez siebie szkody.

Poląłam wannę z włókna szklanego delikatnym mleczkiem do czyszczenia, wyciągnąwszy wcześniej gumową matę, którą po drodze do wyjścia wrzucę do kosza z rzeczami do prania. Powoli szorowałam wannę, zastanawiając się nad tym wszystkim.

Chociaż starałam się, jak mogłam, nie znalazłam żadnego innego wyjaśnienia, które lepiej pasowałoby do faktów.

Skończyłam, pani Rossiter podała mi dwudziestodolarówkę, a ja skinęłam głową i skierowałam się do wyjścia.

– Zobaczymy się za dwa tygodnie, prawda, Durwood? – zaszcebiotała, spoglądając na pachnącego spaniela.

Pies wyglądał, jakby miał nadzieję, że jednak nie, ale pomerdał ogonem, skoro pani tego od niego oczekiwała.

Reszta dnia zapowiadała się znacznie mniej intrygująco. Wieczorem na treningu miałam się spotkać z Marshalllem i po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Shakespeare, nie cieszyłam się z tego powodu. Byłam wdzięczna Claude'owi Friedrichowi za próbę naprawienia błędu, ale żywiłam pewne podejrzenia co do czystości jego motywów. Wizyta u

Yorków wyprowadziła mnie z równowagi – nie, nie dlatego, że przejęłam się śmiercią takiego śmiecia jak Harley Don Murrell, lecz dlatego że było mi przykro, iż widziałam ich w takim stanie.

Na żadną z tych rzeczy nie mogłam nic poradzić.

W ostatniej pracy tego dnia wiele myślałam, potem poszłam do domu po karategę. Nie spieszyłam się. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie opuścić zajęć, ale nie mogłam się na to zdobyć, gdyż wyglądałoby to na tchórzostwo. Zamiast tego umyślnie odczekałam do ostatniej minuty, żebym nie musiała rozmawiać z Marshalllem przed rozpoczęciem treningu.

Mimo wszystko poczułam lekkie rozczarowanie, gdy ukloniłam się i zorientowałam, że nie ma go na sali. A więc on też obawiał się spotkania ze mną. Ta myśl sprawiła, że poczułam się lepiej. Byłam z siebie dumna, że odważyłam się przyjść.

– Ty dzisiaj prowadzisz zajęcia? – zapytałam Raphaela, jedyne trenującego dłużej niż ja.

– Polecenie służbowe – odparł obojętnym tonem, lecz nie udało mu się ukryć satysfakcji. – Dobrze się czujesz? Jak tam twoje żebra? Słyszałem, że gość trafił na pogotowie. Tak trzymać!

Ku mojemu zdumieniu uczestnicy zajęć po kolei podchodzili do mnie, żeby mi pogratulować. Zrozumiałam, że z ich punktu widzenia moje krótkie starcie z Norvelem potwierdzało sensowność tego, co robią – czasu i wysiłku poświęcanego na treningi, a także naukę technik samoobrony. Janet Shook nawet poklepała mnie po plecach. Z dużym wysiłkiem zachowałam spokój. Zająłam miejsce w szeregu. Nie opuszczało mnie oszołomienie. Spodziewałam się wszystkiego, tylko nie tego.

Kątem oka dostrzegłam Carltona. Większość niezadowolonych odpadała po drugim treningu, więc uznałam jego obecność za dobry znak. Sądząc po tym, jak ruszał się w czasie rozgrzewki, mięśnie nie bolały go już tak

bardzo. Niedługo będzie mógł robić rzeczy, które jeszcze niedawno wprawiłyby go w zdumienie. Na komendę Raphaela ukłoniliśmy się i po raz kolejny zaczęliśmy męczące ćwiczenia.

Przysiady sprawiły, że znów rozboleł mnie bok i musiałam przerwać po serii trzydziestu.

– Idziemy na łatwiznę, co? – skomentował Raphael, a Janet się roześmiała.

Zorientowałam się, że żartują, i uśmiechnęłam się. Carlton podszedł i wyciągnął do mnie rękę, żeby pomóc mi wstać. Skorzystałam z propozycji, po raz kolejny zaskakując samą siebie.

– A tak poważnie, uważaj na siebie, Lily. Marshall kazał mi pilnować, żebyś się nie przemęczyła – powiedział Raphael, gdy powoli wracaliśmy do sali po przerwie na łyk wody.

Spuściłam głowę, żeby ukryć wyraz twarzy, i wróciłam na miejsce, lecz kiedy odwróciłam się ku niemu, czekając na następne polecenie, zobaczyłam, że przygląda mi się podejrzliwie. Przyszedł czas na chwytty obezwładniające. Wszystkie przerabialiśmy wcześniej. Każdy udawał, że boi się ćwiczyć ze mną.

– A więc, kobieto ze stali, kiedy planujesz następną walkę? – zapytał Carlton, gdy po treningu wkładaliśmy buty. W sali oprócz nas zostali tylko Raphael i Janet.

Nawet się roześmiałam.

– Wiecie, że Norvela zwolnili za kaucją? – powiedziałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Zakład, że nigdy więcej nie wejdzie ci w drogę – powiedziała sucho Janet.

Domyśliłam się, iż zwleka z wyjściem, czekając na Carltona. Pewnie miała nadzieję na jakąś poważniejszą deklarację zainteresowania z jego

strony, a może zaproszenie na drinka.

– Lepiej, żeby nie próbował – przyznałam szczerze.

Na chwilę zaległa cisza. Wymienili między sobą spojrzenia.

– Sprawilo ci to przyjemność? – zapytał nieoczekiwanie Raphael. – Ćwiczmy tu przez tyle godzin, walczymy ze sobą na niby, a czasami wszystko boli mnie tak bardzo, że żona pyta, po co to robię. Nie wspominając już o tym, że odkąd skończyłem gimnazjum, z nikim się nie biłem. A ty, kobieta, walczyłaś. Jak to jest? Co wtedy czułaś?

– A bo ja wiem... – odpowiedziałam po chwili zastanowienia. – Byłam jednocześnie przerażona i podekscytowana. Mogłam naprawdę zrobić mu krzywdę, gdyby policja nie przyjechała tak szybko.

– Rozdzielili was? – chciała wiedzieć Janet.

– Nie. Leżał na ziemi i krwawił z nosa. Miał dość. Ale chciałam mu jeszcze dołożyć.

Raphael i Carlton wymienili niespokojne spojrzenia.

– Adrenalina – próbowałam wyjaśnić. – Pokonałam mężczyznę w walce wręcz, ale wystraszył mnie, bo zaatakował niespodziewanie. A skoro byłam przestraszona, byłam też wściekła. Byłam tak zła na niego, że naprawdę chciałam mu zrobić krzywdę.

Przyznanie, iż się przestraszyłam, nie było łatwe.

Raphael i Carlton zastanawiali się nad moimi słowami, lecz Janet chodziło o coś innego.

– A więc trening ci się przydał – stwierdziła, pochylając się ku mnie, żeby spojrzeć mi w twarz. – Zareagowałaś tak jak na zajęciach. Nie wahałaś się ani chwili i automatycznie zastosowałaś to, czego się nauczyłaś, prawda?

Zrozumiałam, czego się obawia. Odpowiedziałam krótko: – Tak, automat zadziałał.

Skinęła głową, co oznaczało potwierdzenie głęboko skrywanej nadziei. Potem na jej ustach pojawił się chłodny uśmiech. Ta niewysoka, drobna kobieta po raz pierwszy zrobiła na mnie wrażenie. Teraz z kolei ja pochyliłam się ku niej i jeden jedyny raz umyślnie spojrzałam komuś innemu w oczy, szukając potwierdzenia własnych podejrzeń. I znalazłam. Tak samo jak ja musiała kiedyś przeżyć coś strasznego.

Nie chciałam jednak o tym rozmawiać. Za wszelką cenę pragnęłam uniknąć kobiecych wspominków i powodzi emocji. Czegoś takiego nie znosiłam, więc zgarnęłam swoje rzeczy, mruknęłam, że jadę do domu się odświeżyć, i dodałam, że umieram z głodu.

W drodze do domu zaczęłam myśleć o koszuli Pardona. Wiem, jak wyglądają ubrania prane setki razy. Zaczniemy od tego, że koszula, o której mowa, była tania, a on nosił ją i prał wielokrotnie od wielu lat. Była tak cienka, że zrobiła się prawie przezroczysta. Zapamiętałam, iż w świetle latarki zauważyłam rozerwaną kieszeń na piersi i postrzępione nitki. Nie wątpiłam, że kilka z nich musiało zostać na miejscu zbrodni, czyli prawdopodobnie w jego mieszkaniu. Więcej powinno się znajdować tam, gdzie ukrywano ciało. I dlaczego dotąd nie odnalazły się klucze Pardona?

Po powrocie do domu odgrzałam pieczone ziemniaki z warzywami, ale ledwo skubnęłam kolację. Ciało najpierw ukryto w okolicy, którą uważałam za swój własny teren, a potem wywieziono do parku moim własnym wózkiem. Teraz, gdy nie myślałam już o Marshallu – powiedzmy, że starałam się o nim nie myśleć – zaczęłam się koncentrować na domysłach związanych ze śmiercią Pardona.

Nagle przyszło mi do głowy coś, co dotyczyło garaży. Zaniepokoiłam się. Czy zauważyłam coś niepokojącego? A może coś, co tam widziałam, odświeżyło mi pamięć?

Myśl ta nie dawała mi spokoju, gdy myłam naczynia i gdy weszłam pod prysznic.

Zanosiło się na kolejną bezsenłą noc. Ubrałam się w czarne szorty ze spandeksu i czarny sportowy biustonosz. Na to naciągnęłam czerwoną bluzę z nadrukiem University of Arkansas.

Do kompletu włożyłam czarne skarpetki i czarne sportowe buty do biegania. Wystukałam numer telefonu Claude'a. Tym razem wiedziałam, że jeżeli usłyszę jego głos, będę miała mu coś ważnego do powiedzenia. Niestety, w słuchawce usłyszałam automatyczną sekretarkę.

Nie zostawiam wiadomości maszynom. Niespokojnie chodziłam tam i z powrotem po mieszkaniu. Po jakimś czasie spróbowałam znowu.

Wreszcie musiałam wyjść. Ciemność. Chłodne powietrze mile łechtalo mnie po gołych łydkach. Ruszyłam. Poczulałam ulgę, że wreszcie jestem na zewnątrz i że poruszam się w milczeniu. Minęłam dom Thei, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Potem znalazłam się obok domu Marshalla. Nie zauważyłam jego samochodu. Szłam dalej. Usłyszałam, jak ulicą Indian Way biegnie jeszcze ktoś, i dałam nura za krzewy azalii. Minął mnie Joel McCorkindale w dresie, butach sportowych firmy Nike i ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

Odczekałam, dopóki odgłos jego stóp nie umilkł w mroku, po czym wróciłam na ulicę. Powiew wiatru sprawił, że wiosenne liście zaszeleściły, zaszumiały jak morze.

Szłam coraz szybciej, aż wreszcie puściłam się biegiem środkiem ulicy cichego, spokojnego miasteczka Shakespeare. Nie widziałam nikogo i zastanawiałam się, czy sama nie jestem przypadkiem niewidzialna.

Wbiegłam do arboretum od drugiej strony i ukryłam się wśród drzew. Przystanąłam, by trochę odpocząć.

Już wiedziałam, co robić. Musiałam jeszcze raz zajrzeć do garaży. Lepiej zobaczyć coś na własne oczy, niż wyobrazić sobie, jak wygląda. Jeżeli pobędę tam wystarczająco długo, przypomnę sobie, co nie daje mi spokoju.

Musiał już dochodzić kwadrans przed północą, gdy cicho zakradłam się pod blok od północnej strony. Przemykałam się, przyciśnięta do ceglanego muru, żeby nie mógł mnie zauważyć żaden z mieszkańców, któremu akurat przyszyłaby ochota wyjrzeć przez okno. Jak mogłam się spodziewać, u pani Hofstettler było ciemno. Lekka poświata sączyła się z sypialni Yorków – może jedno z nich czytało w łóżku? Jednak trudno mi było sobie to wyobrazić. A może to lampka nocna? W mieszkaniu Norvela na drugim piętrze było ciemno, podobnie jak u Marcusa.

Chodziłam wokół budynku, patrząc kolejno na wszystkie okna.

W pokojach Pardona było ciemno, podobnie u O'Hagenów – Tom był w pracy, a Jenny o tej porze z pewnością już spała. Na piętrze w mieszkaniu Deedry światła również się nie świeciły. Była w łóżku sama lub z kimś. Z okna łazienki Claude'a padał snop światła, więc obeszłam budynek od frontu, żeby sprawdzić okno jego sypialni. Tam też paliło się światło.

Nie chciałam wchodzić do budynku. Kucnęłam i po chwili wymacałam na ziemi kamyk wielkości paznokcia. Rzuciłam nim w okno. Rozległ się dość głośny hałas. Znów przypadłam do ściany na wypadek, gdyby usłyszał go ktoś inny niż Claude. Nikt się nie zainteresował, nawet on.

Więc dobrze, sama dam radę.

I nagle sobie przypomniałam.

Musiałam jednak wejść do budynku. Wiele ryzykując, podeszłam do tylnych drzwi. Z biustonosza wyjęłam klucz, którego nikomu nie przyszło do głowy mi odebrać. Otworzyłam drzwi tak cicho, jak mogłam, a potem wśliznęłam się do środka. Pod ścianą schody skrzypią ciszej, więc poszłam na górę, ostrożnie stawiając kroki. Minęłam mieszkanie Claude'a i

podeszłam pod drzwi Deedry. Wisiał na nich wieniec z liści winorośli, owinięty fioletową wstążką i ozdobiony suchymi kwiatami. Dyskretnie zapukałam.

Drzwi otworzyły się błyskawicznie. Miałam wrażenie, że Deedra leżała na podłodze tuż za nimi. Miała towarzystwo. W nikłym świetle dochodzącym z korytarza zauważyłam nogę mężczyzny. Kolor skóry zdradzał, iż Marcus Jefferson po raz kolejny uległ pokusie.

Deedra wyglądała na bardzo wkurzoną i nie mogłam jej za to winić, ale nie miałam czasu.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tym, kiedy wcześniej wróciłaś do domu z pracy, żeby dać Pardonowi czek z czynszem.

– Przysięgam na Boga, że jesteś najdziwniejszą sprzątaczką w całym Arkansas – warknęła Deedra.

– Proszę cię. Tym razem posłucham, co masz mi do powiedzenia.

– A potem na pewno dasz mi święty spokój? Nie będziesz mi więcej zawracała głowy?

– Bardzo możliwe.

– Okej. Przyjechałam do domu z pracy, pobiegłam na górę po czek i zaniiosłam Pardonowi. Drzwi były uchylone. Leżał na tapczanie odwrócony plecami do drzwi. Dywan był pofałdowany, a tapczan przesunięty na bok. Zawołałam: „Panie Albee!”, w ogóle dużo mówiłam, ale on się nie ruszał. Pomyślałam, że pewnie coś wypił i zemdlał albo zasnął jak kamień, więc położyłam czek na jego biurku, na lewo od drzwi. O to ci chodzi?

Gestem dałam jej znać, żeby mówiła dalej.

– A potem... potem... wróciłam do samochodu. Musiałam wrócić do pracy na tych kilka minut. Zupełnie bez sensu. Nie uwierzyłybyś, jakiego bzika na tym punkcie ma Celie Schiller...

– Mów ciszej i streszczaj się – syknęłam.

– Moja sprzątaczką mówi mi, co mam robić – westchnęła. – Nie do wiary.

Spojrzała na moją napiętą twarz i podjęła przerwany wątek.

– Wsiadłam do samochodu... wyjechałam tyłem z boksu i ruszyłam. Musiałam manewrować bardzo ostrożnie przez Yorków i ich głupiego kampera...

Przyłożyłam palec do ust, bo zaczęła mówić coraz głośniej.

– Tyle mi wystarczy – szepnęłam.

– A więc nie chcesz usłyszeć, że w nowych pończochach puściło mi oczko? – zapytała z morderczym sarkazmem, a potem zamknęła mi drzwi przed nosem.

Zanurzyłam dłonie we włosy i pokręciłam głową. Stałam pod drzwiami Deedry z zamkniętymi oczami i zastanawiałam się, co robić dalej. Pokonałam kilka kroków i jednym palcem zastukałam do drzwi Claude'a. Nie mogłam ryzykować niczego więcej.

Bez odpowiedzi. Obróciłam gałkę. Zamknięte na klucz.

Cicho zeszłam po schodach. Nawet gdybym stała na dolnym korytarzu, nie usłyszałabym się.

Nie wiedziałam, dlaczego czuję aż takie zdenerwowanie, dlaczego chciałam wszystko załatwić od razu. Ale nigdy nie lekceważę swoich przeczuć, a tym razem po plecach tabunami przebiegały mi ciarki. W powietrzu czułam napięcie. Cisza w budynku aż dzwoniła w uszach.

Z ulgą otworzyłam drzwi, wyszłam tak cicho, jak mogłam, i zamknęłam je za sobą na klucz.

Przejście z oświetlonego korytarza na mroczny parking sprawiło, że częściowo ośleplam. Stałam bez ruchu, żeby dać oczom czas na przystosowanie się. Dla bezpieczeństwa Pardon zainstalował w środku garażu jedną lampę, której nie gaszono na noc. Jak reflektor w teatrze

rozświetlała pewien jego fragment, jednak snop światła nie sięgał do garaży leżących na skraju. W ciemności podeszłam do zewnętrznej ściany garażu. Przez pięć minut nasłuchiwałam. Zrobiłam krok i nagle coś zachrząściło mi pod stopą.

Przykucnęłam w chwastach, które znalazły sobie miejsce przy ścianie garażu, wyrastając ze szpar między płytami chodnika. Delikatnie pomacałam palcami po ziemi.

Odnalazłam znajomy kształt i zorientowałam się w jego położeniu. Brelok z kluczami Pardona Albee. Chciałam je podnieść, żeby nie zadzwoniły. Przysunęłam do twarzy. Nie miałam ich gdzie schować, a na metalowym kółku znajdowało się przynajmniej piętnaście kluczy. Najbezpieczniejszym miejscem było to, w którym je znalazłam, więc delikatnie położyłam je w trawie, gdzie leżały od dnia śmierci swojego właściciela.

Żadnego ruchu. Nie usłyszałam niczego oprócz cichego odgłosu samochodu przejeżdżającego w pobliżu. Po chwili nawet ten odgłos zanikł. Jednak mimo pozornego spokoju wiedziałam, że gdzieś blisko są ludzie. Czułam, jak jeżą mi się włosy na karku.

Powoli wstałam i miałam zamiar ukryć się w bezpiecznym zaciszu mojego domu, zastanawiając się, czy uda mi się do niego dotrzeć.

Oparłam dłoń na klamce od drzwi kampera. Nie miałam już wątpliwości. Ciało Pardona ukryto właśnie tam, więc tylko tam mogłam znaleźć jakiegokolwiek dowody.

Tamtego dnia Yorkowie mieli wrócić do domu dopiero wieczorem, ale wrócili wcześniej. Właśnie się o tym dowiedziałam.

Nacisnęłam klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem i w chwili gdy brałam oddech triumfu, z ciemnego wnętrza rzuciła się na mnie potężna sylwetka.

Nie miałam szans się bronić. W pełnej napięcia ciszy potrzebowałam wszystkich sił, by odpiierać zadawane z furją uderzenia. Walczyłam o życie. Wiedziałam, że jest tam tylko jeden człowiek, lecz atakował mnie, jakby opętał go demon, jakby miał więcej niż dwie ręce.

Wiedziałam, że muszę stawić opór lub zginę, lecz ból, jakiego przysparzał mi grad uderzeń, pozostawiał niewiele miejsca na myślenie. Zwinęłam dłoń w pięść i uderzyłam pierwszą część ciała, jaka nawinęła mi się pod rękę. Chyba trafiłam w żebra. Nie był to skuteczny cios, ale dobrze jest od czegoś zacząć. Traciłam siły i wiedziałam, że wkrótce znajdę się na ziemi, a wtedy będzie po mnie. Zakrawało na cud, że udało mi się utrzymać na nogach tak długo.

Nagle kątem oka dostrzegłam fragment nieosłoniętej szyi i grzbietem dłoni uderzyłam z całych sił. Napastnik stęknął i zachwiał się na nogach, a ja z całej siły kopnęłam go nogą wykroczną, naprawdę nie zwracając uwagi na to, w co trafię, o ile tylko trafię w niego.

Zatoczył się, co dało mi czas na załapanie tchu. W tej samej chwili jakiś głos przemówił zza moich pleców: – Stać. Nie ruszać się!

Kto? Kto miał stać i się nie ruszać? Napastnik nie miał żadnych wątpliwości i rzucił się teraz na mówiącego. Poruszał się tak szybko i z tak ogromną determinacją, że osoba wydająca polecenie i ja byliśmy na to zupełnie nieprzygotowani.

Bójka przeniosła się na oświetlony lampą środek parkingu. Zauważyłam tarzających się po ziemi T.L. Yorcka i Claude'a. Walczyli o broń, którą, jak się domyślałam, komendant musiał trzymać w dłoni. Ich ręce i nogi były tak ze sobą splątane, a ja, otumaniona lawiną wydarzeń, jakie rozgrywały się od kilku chwil, przez jakiś czas gapiłam się na nich w osłupieniu, jakby wynik walki nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Byłam tak słaba, że drżałam, lecz musiałam ruszyć na pomoc. Tylko komu?

– Lily! – jęknął Claude, choć pewnie chciał krzyknąć.

I to sprawiło, że podjęłam decyzję. Tylko niewinny wzywa pomocy.

Krążyłam wokół nich, szukając sposobności do interwencji. Pojawiła się, gdy T.L.

znalazł się nad Claude'em, trzymając go za nadgarstki. Skoczyłam na nich, jedną ręką złapałam T.L. za włosy, drugą chwyciłam pod brodę i mocno szarpnęłam. W głowie usłyszałam cichy głos Marshalla, który zalecał ostrożność podczas ćwiczenia tego chwytu na treningu, bo jeden niewłaściwy ruch mógł spowodować poważny uraz.

No cóż, właśnie nadszedł czas na poważne urazy. Skręciłam głowę napastnika w bok i szarpnęłam w górę. Nie miał wyjścia. Musiał wstać, w przeciwnym razie skręciłabym mu kark. Z rykiem puścił Claude'a i zaczął wymachiwać rękami do tyłu, starając się mnie trafić, lecz zdążyłam mocno wczepić się palcami w jego gęste włosy. Wyjąc z bólu, starał się mnie rzucić, lecz zablokowałam go kolanami, więc został mu jedyny sposób kontrataku – przewrócił się do tyłu i wylądował na mnie. Owinęłam go nogami, gdy się podniósł, i ani na chwilę nie rozluźniłam uchwytu. Wbiłam mu pięty w brzuch, a on kołysał się z boku na bok, próbując uwolnić się ode mnie.

– Stój, do jasnej cholery! – ryknął głos, w którym ledwo rozpoznałam Claude'a, i znów nie wiedziałam, czy miał na myśli mnie, czy T.L.

Nie miałam zbyt wielkiego wyboru, bo nie mogłam oddychać. Tylko wściekłość dodawała mi sił.

Wtedy padł strzał. Ogłuszył mnie. T.L. krzyknął, a skoro rozluźniłam chwyt na odgłos wystrzału, stoczył się ze mnie i nadal krzyczał. Nagle mogłam oddychać, jednak nie miałam ochoty wstawać. Wystarczyło mi, że leżę na brudnym betonie i patrzę w górę na ćmy krążące pod lampą.

ROZDZIAŁ 11

Nie pojechałam do szpitala, lecz znalazłam się w areszcie domowym. Komendant policji wydał mi zakaz wychodzenia z domu przez tydzień. Przekonał panią Hofstettler, by zatelefonowała do wszystkich moich klientów i wyjaśniła (jakby już nie wiedzieli!), że zostałam trochę poturbowana, a mój powrót do zdrowia zajmie nieco czasu.

Miała im też przekazać wiadomość, że nie spodziewam się od nich pieniędzy, skoro nie pracuję. Nie wiem, czy jej się udało, bo wszyscy oprócz Winthropów przysłali mi czeki, co dało mi trochę do myślenia. Nie zapomniał o mnie Bobo – przyniósł kosz z owocami. Powiedział, że to od matki, lecz ja byłam pewna, że kupił je sam.

Marshall naprawdę wyjechał z miasta, a więc mnie nie unikał. Zadzwoił z Memphis i powiedział, że jego ojciec miał atak serca. Razem z resztą rodziny dyżurowali na zmianę pod salą szpitalną, czekając na rozwój wydarzeń. Opisałam mu swoje obrażenia ze szczegółami i zapewniłam kilkakrotnie, że nic mi nie będzie. Wyjaśniłam też, czym i jak się leczę. Chyba po jakimś czasie udało mi się go przekonać, że przeżyję. Telefonował do mnie co drugi dzień.

Pewnego dnia z zaskoczeniem odebrałam kwiaty z jego imieniem na bileciku. Wymownie milczał, kiedy mu powiedziałam, że jest ze mną Claude, kiedy znów zatelefonował do mnie pewnego wieczoru.

Pani Rossiter przyszła w odwiedziny ze swoim przeklętym psiskiem. Claude powiedział jej, że śpię.

Zajrzała też doktor Carrie Thrush.

– Powinna pani leżeć w szpitalu – zawyrokowała surowo.

– Nie mogę – mówiłam. – Moje ubezpieczenie nie pokryje wszystkich kosztów.

Nie wracała już do tematu, bo nie chciała mnie wypytywać o stan moich finansów, lecz wszystkie leki, które mi przynosiła, znajdowały się w opakowaniach reklamowych.

Claude odwiedzał mnie codziennie. Pojechał ze mną karetką do szpitala, w ślad za ambulansem wiozącym T.L.

Postrzelił go w nogę.

– Chciałem go walnąć rękojęścią pistoletu w głowę – wyjaśnił, kiedy czekaliśmy na lekarza na izbie przyjęć. Cieszyłam się, że w ten sposób odwraca moją uwagę od bólu, więc nie skompromitowałam się i nie jęczałam. – Nigdy wcześniej do nikogo nie strzelałem, a przynajmniej nie tak, żeby trafić.

– Mhm – mruknełam, koncentrując się na brzmieniu jego głosu.

– Ale byłem pewien, że trafię ciebie zamiast niego, a nie chciałem zrobić krzywdy komuś, kto jest po mojej stronie.

– Miałam szczęście.

– Więc musiałem do niego strzelić. – Uniósł rękę i pogłaskał mnie po plecach. Bolało jak diabli, ale nie zareagowałam.

– Skąd się tam wzięłeś? – spytałam po długiej chwili milczenia.

– Przez cały zeszły tydzień prawie nie spuszczałem oka z kampera.

– No nie – powiedziałam, myśląc, że moje natchnienie na nic się nie zdało.

Claude rozwiązał zagadkę całe wieki przede mną.

– Myślałem, że ktoś inny zabił Pardona. Uznałem, że Yorkowie nie chcieli nikomu powiedzieć, że ciało Pardona było w ich kamperze, ale sami go tam nie ukryli.

– Zasłony – wtrąciłam.

– Zasłony? Jakie zasłony?

Właśnie wtedy do pokoju zabiegowego wszedł lekarz z izby przyjęć i kazał Claude'owi wyjść za przepierzenie. Ten sam, który przed chwilą odesłał T.L. do sali operacyjnej. Wytrzeszczył oczy, kiedy zobaczył moje blizny, ale ten jeden raz nic mnie to nie obeszło.

– Pani zdjęcia – oznajmił.

– I co?

– Nie widać żadnych złamań – stwierdził, jakby to była najbardziej zdumiewająca rzecz pod słońcem. – Ale ma pani silnie naciągnięte mięśnie i jest bardzo potłuczona. Na szczęście widać, że dużo pani trenuje, więc oprócz tego nic pani nie jest. Położyłbym panią w szpitalu na dzień lub dwa na obserwację. Co pani na to?

Przypatrywał mi się uważnie zza okularów, których szkła odbijały silny blask sufitowej lampy. Włosy miał schludnie związane w koński ogon.

– Wolę do domu – wystękałam.

– Ma pani kogoś, kto się panią zajmie?

– Ja – zagrzmiął Claude z za przepierzenia.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, lecz doktor stwierdził: – Więc dobrze, jeżeli ma pani opiekę... Ale ostrzegam, przez kilka dni nie dojdzie pani sama nawet do łazienki.

Patrzyłam na niego zaniepokojona.

– Ma pani parę urazów, które jeszcze się goją. Mam wrażenie, że nie unika pani kłopotów – zauważył lekarz, zakładając długopis za ucho.

Usłyszałam prychnięcie Claude'a.

W szpitalu dostałam kilka tabletek przeciwbólowych, a doktor Thrush zajrzała do mnie i uzupełniła zapas. Claude okazał się nadspodziewanie dobrym pielęgniarzem. Potężne dłonie pielęgnowały mnie zaskakująco delikatnie. Już wcześniej wiedział o bliznach z protokołu policyjnego z

Memphis i dobrze, bo nie mogłabym ich ukryć przed kimś, kto pomagał mi się myć. Pomagał mi też kuśtykać do toalety i zmieniał pościel. Jedzenie, które wcześniej zamroziłam, bardzo się przydało, bo nie mogłam ustać na tyle długo, by cokolwiek ugotować, a kiedy byłam sama, mogłam je po prostu podgrzać.

Kilkakrotnie Claude zamawiał posiłki do domu. Jedliśmy wspólnie, za pierwszym razem w mojej sypialni, na zaimprovizowanym stoliku do łóżka. Następnym razem usiadłam przy stole, chociaż bardzo mnie to zmęczyło.

Opuchlizna prawie zeszła, a odcień sińców zmienił się z czarnego i niebieskiego w niezdrowy odcień zieleni i żółci, kiedy wreszcie zaczęliśmy rozmawiać o Yorkach.

– Skąd wiedziałeś, co się dzieje? – zapytałam.

Czułam się lepiej. Właśnie zażyłam pigułkę przeciwbólową, wykąpana leżałam spokojnie w czystej pościeli, udało mi się nawet uczesać. Ręce położyłam wzdłuż ciała, trochę senna i odprężona. W tamtym obfitującym w wydarzenia tygodniu nic lepszego nie mogło mnie spotkać.

– Po kilka razy analizowałem wszystkie zeznania. Zrobiłem sobie rozkład zajęć i listę alibi wszystkich osób, zupełnie jak w programie telewizyjnym o przestępcach – mówił z wygodnie wyciągniętymi przed siebie nogami i z palcami zaplecionymi na brzuchu.

Przyniósł sobie fotel do mojej sypialni.

– Dość długo moim głównym podejrzanym był Marcus – kontynuował.
– Tylko że po prostu nie mógł tak sobie wyjść z pracy. Miał zbyt wielu świadków. Tak samo Deedra. Nie było jej w pracy może przez pół godziny, a kiedy do parku podrzuciono ciało Pardona, była na randce. Kiedy mi wreszcie o tym powiedziałaś – tu posłał mi pełne wyrzutu, lecz łagodnie spojrzenie – mogłem ją wyeliminować. Marie Hofstettler jest zbyt stara i

słaba. Nie mogłem wykluczyć Norvela ani Toma O'Hagena. Ale w chwili zabójstwa Tom był zajęty, a Jenny pracowała przy dekoracjach do wiosennego balu w klubie za miastem. Tłumy świadków, więc ona też nie mogła zabić Pardona. Po kilku dniach wykluczyłem również ciebie.

– Dlaczego?

Tabletki przeciwbólowe najwyraźniej zaczynały działać, więc jego odpowiedź umiarkowanie mnie interesowała.

– Chyba dlatego, że zabiłabyś tylko po to, żeby twój sekret nie wyszedł na jaw. A kiedy wysnęło mi się, że wiem o wydarzeniach w Memphis, nie próbowałaś mnie zabić.

Trochę mnie tym rozbawił. Uciekłam wzrokiem w kąt pokoju.

– Został jeszcze Norvel – powiedziałam cicho.

– Chyba że Yorkowie wcześniej wrócili do domu.

– Ja obstawiałam Norvela.

– Jednak on trochę mi nie pasował. Miałem wrażenie, że do czegoś takiego trzeba więcej sprytu. Chociaż z drugiej strony wszystko wskazywało na niego. Pijany Norvel nie mógł się zdecydować, gdzie ukryć ciało, więc przenosił je z miejsca na miejsce.

Przepatrzyliśmy wszystkie mieszkania w budynku.

Nie miałam zamiaru zadawać więcej pytań.

– Nigdzie nie było śladów ciała. Pardon trochę krwawił z ust. Nie było żadnych włosów, a jedyne włókna znalezione na jego ciele pochodziły z bawełnianej tkaniny w kolorach ciemnoczerwonym, jasnym odcieniu złota i błękitnym.

– Zasłony z mieszkania Alvy – mruknęłam.

– Nie miałem pojęcia o zasłonach – odparł Claude. – Ale w żadnym mieszkaniu nie zauważyłem niczego, co pasowałoby do nitek.

Przypomniałam sobie, jak rozglądał się po moim domu, gdy znalazł się w nim po raz pierwszy. Szukał czegoś kojarzącego się ze śladami.

– Przeszukaliśmy garaże, żeby sprawdzić, w którym mogło być ciało. Bez rezultatu.

Tego samego dnia zauważyłem, że tam zaglądasz, i zastanawiałem się, co knujesz.

– Skąd mnie zauważyłeś?

– Z mieszkania Pardona. Siedziałem w nim przez kilka dni i co noc. Obserwowałam ludzi, czym się zajmują, i próbowałam wpaść na pomysł, co z tym wszystkim zrobić.

Zdecydowanie czułam się coraz bardziej senna.

– W dniu, w którym znaleziono ciało Pardona, przeszukaliśmy kosze na śmieci.

Uśmiechnęłam się do siebie.

– Zaglądaliśmy do każdego mieszkania. Przez dzień albo dwa śledziliśmy wszystkich, a potem tylko Norvela i Yorków.

– Z Norvelem jakoś wam nie wyszło.

– Cholera, Lily, facet wychodzi na spacer i skąd mamy wiedzieć, że trzyma w kieszeni kominiarkę? Kij od miotły musiał schować wcześniej gdzieś przy ogrodzeniu. Nigdy go nie widziałem z czymś takim.

– A jak to się stało, że tak szybko znalazłeś się na dole? Nie spałeś czy umyślnie ściągnąłeś koszulę?

– Tak – przyznał, wyglądając na zakłopotanego. – Pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli wszyscy pomyślą sobie, że zbudziły mnie krzyki Norvela.

– Więc obserwowałaś i jego, i Yorków.

– Wiedziałem, że Deedra wspominała o kamperze, chociaż z drugiej strony mogło jej się coś pomylić. Codziennie po kilka razy przyjeżdża i wyjeżdża. Ale tym razem miałem wrażenie, że wie, co mówi. Nie mogłem

za bardzo się dopytywać, bo nawet ona zorientowałaby się, co w trawie piszczy, ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawało mi się możliwe, że Yorkowie wrócili wcześniej. Zatelefonowałem do sądu w hrabstwie Creek. Rozprawa Harleya Dona Murrella skończyła się na tyle wcześnie, że mogli zdążyć wrócić do domu. Wspomniałem o tym mimochodem, kiedy rozmawiałem z ich córką, a ona mi powiedziała, że wyjechali o pierwszej, zaraz po lunchu, zbyt poruszeni, żeby zostać choćby chwilę dłużej. Alva i T.L. mówili, że zatrzymali się przy pchlim targu w Hillside i trochę pospacerowali, żeby rozprostować nogi, ale jeżeli to nie była prawda, mogli tutaj dotrzeć już przed trzecią.

– Dotarli. Alva zdążyła podlać kwiaty w kuchni. Ziemia była wilgotna, kiedy zajrzałam do nich o trzeciej – wtrąciłam. – Rolety w jej sypialni były zwinięte. To były pierwsze rzeczy, które zrobiła po przyjeździe do domu. A zasłony w ich salonie były ściągnięte. Nie zauważyłam tego w poniedziałek, dopiero we środę. Myślałam, że Alva zaczęła wiosenne porządki, ale jak widać T.L. owinął nimi ciało.

Tego wszystkiego domyśliłam się sama.

Claude założył długie ręce za głowę i wrócił do poprzedniej pozycji.

– Alva powiedziała mi dzisiaj, że kiedy wrócili do Shakespeare, weszła do mieszkania ze swoją walizką i zostawiła TL., który rozpakowywał resztę rzeczy. Podlała kwiaty i zwinęła rolety. – Zasalutował, wyrażając uznanie dla mojej przenikliwości. – Na zewnątrz usłyszała głosy. Drzwi do ich mieszkania były otwarte, podobnie jak do mieszkania Pardona. T.L. zajrzał do niego, żeby mu zapłacić. Albee dowiedział się o procesie i wyroku od kolegi w hrabstwie Creek, ale zamiast pocieszyć Yorków, wolał zacytować to, co żona Murrella mówiła o wnuczce Yorków. Po najgorszym dniu swojego życia T.L. nie mógł tego znieść.

Doszło do kłótni, po czym T.L. uderzył Pardona w twarz. Pardon wpadł na tapczan, a T.L. rzucił się na niego. Chciał go trafić w szczękę, ale Pardon w ostatniej chwili poślizgnął się, więc z całej siły trafił go w szyję. Cios zmiażdżył gardło Pardona.

– A ciało przenieśli do kampera – dopowiedziałam.

– Tak. T.L. wpadł do mieszkania, minął Alwę, nie pytając jej o zdanie, zdarł zasłony i pobiegł z powrotem do mieszkania Pardona. Alva poszła za nim. Owinięte zasłoną ciało ukryli w kamperze. Właśnie wtedy wypadły mu klucze. Trochę pojeździli z ciałem dookoła.

Zupełnie stracili głowę. Nie mogli się zdecydować, co dalej robić. Yorkowie nigdy w życiu nie złamali prawa. Mieli zamiar podrzucić ciało przy jakiejś bocznej drodze, żeby nikomu nie przyszło na myśl, że zamordował go któryś z mieszkańców bloku. Ale gdy się zorientowali, że skoro nikt nie widział ich powrotu, będą mogli sobie stworzyć lepsze alibi, jeżeli ciało zostanie znalezione bliżej bloku. Kiedy jeździli z ciałem, Tom poszedł do mieszkania Pardona, żeby zapłacić czynsz. Drzwi otwarte, nie ma właściciela. Potem Yorkowie wrócili, podjechali pod tylne wejście, otworzyli drzwi kampera i wnieśli ciało Pardona z powrotem do jego mieszkania.

– Dlaczego nie słyszeli, jak Deedra pukała do jego drzwi? – zapytałam.

– Alva dostała mdłości – wyjaśnił Claude, przyglądając się swoim dłoniom. – Musiała pobiec do siebie do toalety, a T.L. poszedł razem z nią. W tym samym czasie Deedra wyjechała do pracy. Nie wiedzieli, że zauważyła ich kampera. Miała dużo szczęścia. Gdy Alva lepiej się poczuła, znów wyjechali. Nie pomyśleli o tym, jak pozbyć się zasłon, w które zawinięty był Pardon. Kiedy wpychali go do auta, nie pomyśleli o nitkach z zerwanej kieszeni. Nie pomyśleli o ludziach płacących czynsz, którzy dziwili się nieobecności właściciela bloku. Nie mogli zatrzaskać drzwi do

mieszkania Pardona, bo musieli dostać się do niego z powrotem, a kluczy nie mogli znaleźć. Wygląda na to, że mieli straszny mętlik w głowie. Wrócili do domu mniej więcej o tej porze, o której planowali – między siódmą i ósmą wieczorem. Wypakowali resztę bagaży i przenieśli je do mieszkania. Po naradzie postanowili, że ciało podrzucą gdzieś w pobliżu bloku, w miejscu, do którego Pardon mógł pójść na piechotę – żeby zasugerować, że właśnie tam natknął się na bandytę. Uznali, że najlepsze do tego celu będzie arboretum. To pewnie jedyna rozsądna decyzja, jaką wtedy podjęli. T.L. pamiętał o twoim wózku z pojemnikami na śmieci. Widział, jak stawiasz go przy krawężniku w dniach, w których wywożono śmieci. Wpadł mu w oko. Czekał więc, nie sądząc, by ktokolwiek w Shakespeare tak długo nie kładł się spać. I prawie miał rację.

– Kiedy stwierdziłeś, że to nie był Norvel?

– Wtedy, kiedy zobaczyłem, jak T.L. wyskoczył na ciebie z kampera. – Uśmiechnął się do mnie, żartując z siebie. – Myślałem, że Norvel ukrywał ciało w kamperze, a Yorkowie bali się, że będą w to zamieszani, i dlatego zacierali ślady. Nie chciałem, żeby to oni okazali się sprawcami.

– Wiedziałam, że to Yorkowie – powiedziałam spokojnie. – Ze względu na zasłony.

– Domyśliłaś się, kiedy zniknęły?

– Jeżeli z salonu zniknęły zasłony, musiał być jakiś powód. Tylko T.L. mógł je ściągnąć. Gdyby Alva wiedziała, co planuje jej mąż, wzięłaby raczej prześcieradło albo obrus, na co zwróciłabym uwagę. Ale nie zwróciłam uwagi na zasłony – powiedziałam sennie. – Poza tym zauważyłam, że ktoś podlał rośliny.

– Dlaczego... dlaczego poszłaś do kampera?

– Chciałam zobaczyć, co jest w środku – odpowiedziałam.

Oczy same mi się zamknęły.

– Aha, jeszcze jedno – wymamrotałam niewyraźnie, zmuszając się do otwarcia oczu. – Nie wiedziałaś, że T.L. jest w środku?

– Wiedziałem – odparł, starając się, by w jego głosie nie pobrzmiwała złość na mnie. – Czekałem, aż wyjdzie z jakimś dowodem. Nie mógł go zniszczyć w aucie, więc musiał zabrać ze sobą do mieszkania. Nie dostałbym nakazu rewizji kampera, bo nie miałem wystarczająco mocnych poszlak.

– Okej. Wiem już wszystko.

– Zostało jeszcze jedno.

– Mhm?

– A kajdanki na schodach u Drinkwaterów? A zabity szczur?

– Ach, to Thea. Byłam tego pewna od chwili, gdy Marshall opowiedział mi o jej sekrecie. Twoje słowa tylko to potwierdziły. Zorientowałam się, że zagroziłeś śmiercią całej załodze komendy, jeżeli pisną chociaż słówko o tym, co mi się stało. Z tym że Tom David zdążył już wszystko wypaplać swojej ukochanej. Zabronił jej mówić o tym komukolwiek innemu. A ona wiedziała i miała ochotę mnie podręczyć. Kiedy się tego domyśliłam, przestałam się przejmować, bo z Theą sobie poradzę.

Spojrzałam na Claude'a półprzytomnie.

– O jej sekrecie? – podchwycił z nadzieją. – To Thea Sedaka ma jakieś sekrety?

– Może kiedyś ci o nich opowiem – obiecałam.

– Podobno jutro wraca Marshall – dodał Claude, kiedy prawie zasypiałam. – Co zrobisz?

– Pójdę spać – wymamrotałam i zasnęłam.

Chwyliłam nadgarstek w miejscu, w którym powinnam wyczuć tętno. W środku chłodnej nocy w Shakespeare kucalam wśród drzew, trzymając za rękę martwego mężczyznę. A teraz na plastikowych workach bezmyślnie zostawiłam odciski palców.

Lily Bard unika towarzystwa i strzeże mrocznej tajemnicy z przeszłości. Kiedy nie sprząta cudzych domów, trenuje karate. A odkąd znalazła zwłoki Pardona Albee, wszyscy kają ją z brudną robotą każdego rodzaju.

Czy szuflady nocnych stolików i kosze na śmieci kryją w sobie wystarczająco dużo informacji, by Lily odkryła, kto naprawdę sprzątnął Pardona?

Książki Charlainy Harris sprzedały się na świecie w kilkunastu milionach egzemplarzy. To pierwsza autorka, której siedem książek równocześnie znalazło się na liście bestsellerów „New York Timesa”. W nowej serii Harris przedstawia Lily Bard, młodą wielbiczkę siłowni i karate, która rozwiązuje zagadki kryminalne.

W serii również:

Czyste szaleństwo (maj 2011)

Czyste intencje (czerwiec 2011)

INTERIA.PL

GILDIA.PL

STYL

Zet

www.znak.com.pl

książki z dobrej strony

Cena detal. 32,90 zł

ISBN 978-83-240-1632-7



9 788324 016327